

Maciej Parowski

Twarzą ku ziemi

Przeczytał gdzieś czy usłyszał, że obraz malarski jest jak okno wychodzące na inną fantastyczną rzeczywistość. Postanowił podejść do tego okna, wychylić się zeń i rozejrzeć. Wcale nie myślał o tym, że przecież może wypaść.

“Swego czasu postawił ktoś wniosek w senacie, aby niewolnicy różnili się strojem od wolnych obywateli. Wnet jednak stało się dla wszystkich jasne, jak straszne niebezpieczeństwo zawisło-by nad naszymi głowami, gdyby niewolnicy zaczęli nas liczyć!”

*Lucius Annaeus Seneka Młodszy:
Pisma filozoficzne (O łagodności)*

ŚLAD KRWI

“To się dotychczas nigdy nie zdarzyło”.

Franz Kafka "Proces"

Łupnęło zdrowo w pobliżu STAREGO MIASTA. Mówiąc ściślej, na skraju MIASTA, obok wieżowców Cebuli i Sałaty. Najpierw byt to łoskot metalu uderzającego w twardą niewzruszoną przeszkodę, zgrzyt blach, szczególny odgłos pękających ram i osłon. Na to nakładał się chrzęst tłuczonego szkła i bolesciwe okrzyki rannych - wszystko pomnożone echem dawało kaskadę dźwięków niesioną długo między ścianami wieżowców. Ledwo pierwsza fala hałasów ucichła, o zaraz później nadchodził z krańców miasta łopot i świst śmigieł helikopterów, a od strony Centrum rozległy się jęki syren karetok pogotowia. Bezpośrednio na miejscu wypadku grzmiąły już po chwili tuby porządkowych wzywające gapiów do cofnięcia się. Powietrze przeszły też ostre dźwięki gwizdków i zaraz odpowiedział tym gwizdkom niechętny szmer zawiedzionego tłumu.

Wszystko to znalazłem niemal na pamięć. Jeden dźwięk wywoływał następne, każdy był znany, każdy zdawał się drugiemu niezbędny. Całość, przenikliwa, niesiona nad miastem jak na skrzydłach ogromnych gigantofonów zdawała się docierać w najdalszy kraniec miasta, a nawet na przedmieścia miast sąsiednich.

Był to już trzeci wypadek w tym miesiącu. Obejrzałem je z bliska i na własne oczy. Biegłem tam więc nie spodziewając się niczego innego poza tym, co powinienem zastać. Wiadomo, że będzie rozbity Pojazd oraz gromada ludzi, którzy przekazują sobie szczegóły wypadku. Należało ponadto oczekiwać Policjantów nie dopuszczających nachalniaków do pokrwawionej karoserii. Poza tym - nosze, pośpiech, granatowe mundury i białe kitle; wiatr spowodowany śmigłami helikopterów, światła karetok błyskające upiornym błękitem i ich syreny wysyłające dźwięki, od których dreszcze biegają po grzbiecie.

Tym razem naprawdę było na co popatrzeć. W każdym razie był to najbardziej widowiskowy wypadek tygodnia. Obok kierowcy siedziała Luksusowa blondynka wciśnięta teraz siłą bezwładności w zegary i zgruchotane osłony przeciwuderzeniowe. Mężczyzna, wyrzucony siłą zderzenia ze słupem trakcji Video-Tele-Trans, leżał na jezdni. Było oczywiste, że znalazł się tam nie od razu. Musiał najpierw uderzyć w słup, wylądować na ruchomym chodniku, skąd przeniosło go w tył, za Wóz, i wyrzuciło na bok, gdzie leżąc obok szarego płata nie sprzątniętego śniegu zdawał się absurdalnie w stosunku do wypadku przesunięty w czasie i

przestrzeni. Właściwie powinien wstać i zakwestionować wypadek, zaprotestować przeciw syrenom, gapiom i w ogóle całej sytuacji, która kazała mu spoczywać na zimnym asfalcie, krwawić i nie wydawać żadnego dźwięku.

Nie wstawał. Ludzie w granatowych mundurach robili pomiary przy pomocy metrowej taśmy i jakichś małych niby-lornetek, w ogóle nie zwracając na leżącego uwagi. Podobnie ci w białych kitlach. Służba medyczna bandażowała głowy i dłonie dwóm postrzelonym staruszkom, które zdążyły się poranić okruciami niekaleczącego szkła, i nadużywała sztucznej skóry w sprayu pryskając z pojemniczków na ich podrapane kolana.

Obok zaczęła histeryzować młoda dziewczyna o nienaturalnie białych włosach i bardzo bladej twarzy. Tą zajęli się także - zaraz podbiegło dwóch masywnych facetów i krzyżującą, wijącą się i zrzucającą z siebie czerwone szatki zwinęli błyskawicznie do wnętrza karetki.

Kierowca Wozu leżał i nie wstawał.

Wtedy uświadomiłem sobie, że jest trupem. Nie była to pewność. Zaledwie przypuszczenie. Cień przypuszczenia. Dotychczas nie widziałem jeszcze trupa. Ranni z łokciami opartymi o krawędź noszy wodzący wokół nieprzytomnym wzrokiem, ich jęki, uspokajające gesty służby medycznej, polewanie z gaśnic palących się Wozów, pokrwawione głowy, płacz - to tak, Trupa nie!

Było tak, jakbym uderzył czołem w zimna lodowa tafłę. Wyciągnąłem chusteczkę, ale wytarcie czoła niewiele pomogło. Coś dziwnego działo się z moim żołądkiem - zachowywał się, jak ciało absolutnie niezależne, nie mające wobec mnie żadnych zobowiązań. Poczułem, że mdłości szybko nie ustąpią, i znowu wytarłem czoło, Zroszone było zimnym niezdrowym potem nie przynoszącym mi zaszczytu jako mężczyźnie. Tamten leżał i nie wstawał, podobnie blondynka wpasowana w zegary, a ja z chorobliwie chłodnym czołem usiłowałem zrozumieć, wmówić sobie, że rozumiem majestat śmierci. I nic. Tylko zimny pot i mdłości.

- Jak to było? - zapytałem stojącego obok faceta. Miał chusteczkę tak samo jak ja przyciśniętą do czoła i bladą twarz. Odpowiedział głosem niepewnym i drżącym, że sam przybiegł dopiero przed chwilą, pytał już paru osób, ale nikt nic nie widział, nikt nic nie wie.

Ten chłód na czole mógł równie dobrze pochodzić od helikoptera, który w studni między ścianami wieżowców opuścił się nad nasze głowy. Ogromne śmigła z ogłuszającym hukiem przegarniały powietrze, pomarszczone kałuże krwi rozlażyły się po powierzchni asfaltu. Włosy blondynki wciśniętej w tablicę Wozu zmieniły konfigurację. lekko falując. Wóz był przechylony na bok, pod kątem niewiele mniejszym od czterdziestu pięciu stopni; kiedy w gęstniejącym tłumie gapiów przecisnąłem się na drugą stronę, zobaczyłem podwozie Samochodu: bezbronne koła i osie wystawione na widok wszystkich postronnych oczu. Przez chwi-

lę wydało mi się także, że widzę biegnącą pod korpusem silnika połyskliwą rurkę z promieniotwórczego mosiądzu, ale musiało to być złudzenie.

Gapiów przybywało, zjawiły się Wozy TV, jak spod ziemi wyrosły ogromne reflektory. wiec od razu skończyły się błyski fotograficznych fleszy. Zrobiło się nienaturalnie jasno i gorąco; poza obszarem oświetlonym reflektorami późne szare południe stało się raptem podobne do nocy. W kręgu mundurowych, do którego stłoczony tłum z zewnątrz nie miał dostępu, uwijali się kamerzyści i widać było, że dobrze znają się na swojej robocie.

Na moje pięty napierał jakiś agresywny i sapiący nieprzerwanie tłusciuch o nieposkromionej wprost ciekowości. Nie pomagała uniesiona stopa, o patem wystawiany do tyłu łokieć - lekceważył te przeszkody, mimo że końcem łokcia dobrze wysondowałem grubość jego sadła.

- Panie - parsknął mi w kark - o co tu chodzi?

Miał tustą, spoconą twarz. W małych niebieskich oczkach widniał wyraz zainteresowania zmieszanego z wielką przebiegłością. Spojrzałem na niego z góry, nie kryjąc obrzydzenia. Widząc to zasapał.

- Pytałem już paru osób. Nikt nic nie widział.

- I co z tego!

Wzruszył ramionami. Skulił się jak bokser albo zapaśnik I po chwili był już przy najbliższej rozgestykulowanej grupce. Brylowała tam starsza kobieta rysująca w powietrzu palcami trajektorię zderzenia. Widziałem, że tłusciuch jej przerwał, począł gwałtownie coś wykrzykiwać i wymachując rękami, przecząco kręcił głową.

- Wyraźnie widziałem i mówię pani... - doleciały do mnie jego słowa wypowiedziane piskliwym głosem i poszarpane helikopterowym wiatrem.

- Ulica była zablokowana - powiedział młody człowiek w spranych teksasach stojący obok mnie. - Roboty ziemne albo coś w tym stylu. Nie mógł palant nic widzieć.

Ale nie było żadnych śladów po robotach ziemnych.

- Nieprawda - krzyczała staruszka. - Najpierw się ruszał, dobrze widziałam...

Wysoki, szczupły mężczyzna nie wyglądający jeszcze staro, lecz za to z dużą ilością wątrobianych plam na twarzy i dłoniach tłumaczył dobrotliwie chłopakowi obok mnie, że tak oto kończy młodzież, która żyje bez celu.

- Za moich czasów... - zaczął i zaraz urwał, jakby i w przeszłości nie mógł znaleźć niczego wartościowego.

Właśnie wtedy to nadeszło - poczułem coś dziwnego, coś na kształt niezupełnie określonego Podniecenia. Musiałem kilkakrotnie połykać ślinę i przyłapałem się na tym, że podej-

rzanie często wracam wzrokiem do zakrwawionego mężczyzny na poboczu i do wprasowanej w zegary blondynki. Sprawiało mi to przyjemność i miałem wrażenie, że coś podobnego przeżywają otaczający mnie ludzie.

Żeby choć na chwilę uwolnić się od kłopotliwego Podniecenia, spojrzałem w górę. Pierwsze, co poczułem, to mocniejsze uderzenie wiatru, ale było w górze coś jeszcze, co robiło znacznie silniejsze wrażenie. Wszystkie domy dookoła, wszystkie balkony i loggie wypełnione były tysiącami głów. Błyskały szkła lornetek, obiektywy aparatów fotograficznych oraz domowych kamer filmowych i video. Nawet w wieżowcach Cebuli i Sałaty obsługa wyległa na opasujące budowlę tarasy. Kilkaset metrów w górę, we wszystkich wkoło wieżowcach mrowiły się tysiące obserwatorów.

Z helikoptera rzucono linę zakończoną potężnym hakiem. Przynaglony przez Policjantów tłum niechętnie i z oporami cofnął się, a jeden z Policjantów zaczepił w tym czasie hak o karoserię Pojazdu. Świsł śmigieł zmienił tonację. Pojazd, niezbyt duży sportowy Wóz w rodzaju tych, jakimi rozbija się majętna uprzywilejowana młodzież, drgnął, uniósł się, a potem opadł na cztery koła z chrzęstem szkielek i blach.

Blondynka zmieniła pozycję, kształtna główka drgnęła, strużka krwi popłynęła inaczej i teraz także w jasnych włosach zjawily się pasemka czerwieni. Wydałem chyba westchnienie, niby jęk zawodu czy czegoś trudnego do nazwania, a umiejscowionego w połowie między odczuciem bólu i Rozkoszy. Nie wiem dokładnie, co to było, ale chciałem, - by mogło trwać dłużej i bym nie musiał się tego wstydzić. Zresztą i tak nie musiałem, ten dźwięk zaczęty na dole odezwał się szerokim echem, wspiał się w górę, zajrzał do każdego z mieszkań, dotarł do każdego zakamarka, z którego można było dostrzec i z którego obserwowano wypadek.

Jeden z Policjantów odczepił hak od maski Samochodu. Helikopter pochylił się, wiało teraz nie z góry, lecz z boku. Ostatni poryw wiatru niespodziewanie wyrwał mi z dłoni chusteczkę, a ogromna maszyna wzbiła się wyżej, by ruszyć w stronę Centrum. Chusteczka niesiona powietrznym wirem furknęła za nią i po chwili opadła na maskę Wozu, a o później, zdawałoby się, prowadzona niewidzialną ręką, łopocząc i falując, wyminęła najeżoną odłamkami ramę przednią, przejęła trochę czerwieni od tablicy rozdzielczej, od szkielek zegarów i przyłgnęła do szyi kobiety.

Tylko przez chwilę czułem się jak ostatnia ofiara godna wyśmiania. Po paru sekundach wiedziałem już, że mi zazdroszą. Poczucie Szczęścia i Wyróżnienie - to chyba były właściwe słowa. Rzuciłem się w przód, parłem przez niechętny tłum aż do miejsca, w którym zatrzymała mnie ręka w granatowym mundurze.

- Zaraz oddamy panu jego własność - powiedział z godnością starszy Policjant o dostojnej twarzy i siwych skroniach. - Proszę tutaj poczekać.

Pełne przenikliwości niebieskie oczy mundurowego, opalenizna w najlepszym odcieniu, melodyjny głos, którego zapewne nigdy nie musiał podnosić, bo i tak był niesamowicie przekonujący, gesty spokojne i pewne - wszystko to domagało się szacunku. Pomyślałem, że facet trafił do Policji niedawno i zapewne przypadkiem. Może był to jakiś Urzędnik-Arystokrata, który mimo spadku koniunktury potrafił zachować dawną klasę. Jeśli tak, niebawem winien wrócić tam, skąd go wydalono.

Jego podwładni przekazywali sobie z rąk do rąk zakrwawiony skrawek materii. Pięćdziesiąt procent syntetycznego lnu, plus drugie tyle syntetycznego jedwabiu. Duża rzecz, biel niemal fosforyzowała; w świetle reflektorów plamy zdawały się bliższe czerni niż czerwieni. I krew, i białe tło wydzielały opalizujące blaski.

- Masz pan Szczęście - rzekł młodszy Policjant, który sądząc po rysach mógłby być synem lub synem brata tego starszego.

Oddawał chusteczkę z ociąganiem, jakby zastanawiając się czy nie wręczyć mi swojej, czystej, a tej ze śladami nie zatrzymać do wyjaśnienia.

Chciałbyś! Szarpnąłem z całej siły i zrobiłem krok w tył uprzedzając ewentualne gesty, gdyby postanowił się rozmyślić. Teraz dotknąłem plecami pierwszych rzędów gapiów. Czułem na szyi gorące oddechy, ich Podniecenie, zazdrość i zawiść. Było oczywiste, że też pragną posiąść chusteczkę; niewykluczone, że część nich myślała, by rzucić się na mnie i potem między siebie podzielić Trofeum. Możliwe, że po namyśle pomogliby im w tym Policjanci.

Należało działać szybko. Kobieta, którą potrąciłem robiąc gwałtowny zwrot i rozpoczynając bieg z wystawionymi na boki łokciami, miała na twarzy smutek i zdziwienie. Potem krzyknęło jeszcze jakieś dziecko i jednocześnie jęk bólu wydal z siebie mężczyzna w nieokreślonym wieku. stojący tuż obok. W sumie przewróciłem najwyżej cztery osoby. Później wytworzył się przede mną mały krąg pustki. Uciekałem w ruchomej szczelinie zamykającej się za plecami wśród przekleństw i okrzyków zawodu.

Biegłem jeszcze, kiedy skończył się gęsty tłum. Biegłem mimo iż nikt ze spóźnionych gapiów zmierzających w stronę miejsca kraksy nie mógł mi zagrozić. Kilkadziesiąt metrów dalej minąłem mknący w stronę MIASTA błękitny kombajn drogowy do czyszczenia ulic. Jechało za nim, pedałując powoli i statecznie, dwu niewczesnych rowerzystów, którzy nie mogli się doczekać prawdziwego początku Wiosny. Dalej był już normalny i nie tak gęsty jak na miejscu wypadku beład miejskiego mrowiska. Zapragnąłem zawołać do tych nieświadomych

niczego przechodniów, pochwalić się co mam, co zdobyłem, podzielić się euforią Zwycięstwa - lecz w tej samej chwili spostrzegłem, że wszystko traci sens bez świadectwa tych, którzy zostali przy Wozie. Bardzo wątpliwe czy ktokolwiek uwierzy w autentyczność - krwi. na chustce, w całą resztą. A przecież własna wiara nie wystarczy. Zwolniłem więc, a po paru krokach stanąłem na dobre, zgięty w pół, z drżącymi dłońmi opartymi a miękkie kolana. Jakaś słona i lepka substancja, której nie mogłem przełknąć ani odpędzić kasznięciami i przyspieszonym oddechem, podchodziła mi do gardła.

Nikt nie biegł za mną oni nie jechał. Od strony MIASTA nie było widać żadnego pościgu.

DEC

“(...) wszedł mężczyzna (...) Był wysmukły, a jednak silnie zbudowany, miał na sobie czarne, obcisle ubranie podobne do stroju podróżnego, zaopatrzone w różne kieszenie, fałdy, guziki i sprzączki oraz pasek, tak że wyglądało nadzwyczaj praktycznie, mimo iż nie było jasne, do czego by mogło służyć.”

Franz Kafka “Proces”

Dec zjawiał się rzadko, ale momenty, w których stawał w drzwiach mojego mieszkania, nieodmiennie kazały mi podejrzewać, że to ja sam w przedziwny sposób prowokowałem jego przybycie. Już widząc jego twarz w wizjerze krzychałem zawsze do Kay, żeby przecierała kieliszki. Ukrywał teraz za sobą przedmiot, którego kształt, zawartość i działanie znałem tak samo jak on. On wiedział, że ja wiem, a mimo to nie wyciągał ręki zza pleców - oto stała część ceremoniału, którą ofiarowywaliśmy sami sobie, celebrując ją w nieskończoność, dzięki czemu nasze sporadyczne pijaństwa stawały się czymś więcej, niż były w istocie.

- Można na chwilę? - spytał z nieodmiennie tym samym wyrazem twarzy, który już dawno powinien się znudzić nam obu.

- Jasne - powiedziałem i zamknąłem za nim drzwi. - Nigdy nie potrzebowałem tego bardziej niż teraz. Kay wybyła, miałem też przygodę między wieżowcami.

Dec szeroko otworzył oczy.

- Trupek, pierwszy trupek w moim życiu. Właściwie dwa. Ona, bardzo stylowa dziewczyna, rozsmarowana na zegarach, on najpierw na słupie, później rzuciło go samobieżnym w tył i wylądował na jezdni. Rozbili się o VTT, Maszyna do niczego...

- Przy MIEŚCIE?

- Jasna sprawa, tylko tam VTT leci na słupach - powiedziałem i z dumą, ale także z drżeniem, czy uwierzy, pokazałem mu chusteczkę. - Jest tu trochę jej krwi.

Obejrzał kawałek tkaniny bardzo uważnie, ale potem zapytał z ironią.

- A po mężczyźnie żadnej pamiątki nie zdobyłeś? Zgrywał się, choć niekoniecznie musiała to być zazdrość. Oddał chusteczkę, wszedł do pokoju, postawił butelkę na stole i rozejrzał się po wnętrzu, które znał na pamięć.

- Zrobisz coś do jedzenia?

Rozłożyłem ręce.

- Nie ma Kay - powiedziałem, ale tym razem moje zmartwienie nie było szczerze.

Kay to był powód, dla którego nie wszystko podobało mi się w jego wizytach. Kiedy patrzył na moją żonę, jego oczy robiły się inne: nie żeby większe - to banał - ale stawały się oczami faceta, który zobaczył przed sobą jeden cel w życiu więcej i ani myśli tracić nadziei. Kay nie ukrywała, że go lubi. Teraz na jakiś czas utracił ten cel, ale została mu, podobnie jak mnie, jak tyłu innym w nowym osiedlu i innych osiedlach, ochota na wódkę.

- Więc nie będzie kanapek? - zapytał jeszcze dla pewności.

Pokręciłem głową.

- Ani kanapek, ani zapiekanek z syntetyków, ani pasty z tubek. Mam tylko kilka oliwek, tosty i trochę kawy. Lodówka pusta, stołuj ę się w biurówcu.

- Co z Kay?

Stał przy balkonie i obojętnie przerzucał pismo, które musiał już znać, bo widziałem, że nie otrzymuje się nawet przy najciekawszych, najładniej przegiętych panienkach. Nie zwrócił również uwagi na leżące obok żółte pudełko z kolorową taśmą najwyższej jakości.

- Wakacje - powiedziałem. Mówiłem to już facetom w biurze, dzisiaj, wczoraj i przedwczoraj, wiele razy i zawsze tak samo. - Dwa tygodnie z PTASZKAMI, WODĄ i DRZEWA-MI. Zapisala się do kolejki, kiedy jeszcze nie byliśmy małżeństwem, i teraz dali jej do wyboru: albo od razu sama, albo ze mną za dwa lata. Wołała sama, mówiła, że już nie może wytrzymać. Poza tym nie była pewna drugiego terminu. Ten przedwczorajszy opóźnili jej o półtora roku.

- Różne głupie rzeczy.. - odłożył pismo na regał i machinalnie wziął do ręki następne - mnóstwo głupich rzeczy przychodzi człowiekowi do głowy, kiedy żona wyjeżdża.

- Masz jakieś złe doświadczenia? - była okazja, żeby zapytać, więc spytałem.

Potrafił nadać oczom błysk groźny i odstraszący. Prelegenci, którym kazali gadać przed projekcjami dreszczowców, interpretowali to tak: "Człowiek przybiera wojowniczą postawę niekoniecznie dlatego, że chce zaatakować, lecz raczej ze strachu, że sam zostanie zaatakowany". Dlatego postanowiłem złagodzić sytuację.

- Myślisz o MasturbEli?

- Niekoniecznie, jest tyle innych rzeczy.

Miał taki wyraz twarzy, jakbym zrobił mu zawód.

- AunaturEla - podjąłem wyliczankę - PulsatingPaula, MasturbElux i nowy model Adonisa-XXI z efektami zapachowymi dla pedałów. To ostatnie mnie nie interesuje, a na Hermafroda mnie nie stać. Mogę też pojechać na dół i podrywać panienki. Jak dobrze pójdzie, nawinę panienkę już w windzie. Może akurat napatoczy się Util. Tylko skąd mogę wiedzieć,

czy mąż, narzeczony albo inna zazdrosna łajza nie nafaszerował każdej z tych dziewczyn pastylkami antyciał na każde białko męskie oprócz własnego. I co wtedy? Słyszałeś, co dzieje się z babką? Rzyga pianą, puchnie pod oczami i przez cztery albo i więcej dni leży sztywna! Max, kumpel z pracy, miał taką przygodę, a szykowali się z dziewczyną na cały tydzień. Zamiast tego wylądował z nerwicą u seksuologa.

Dec machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

- Nie a to cho... - zaczął, ale nie dałem mu skończyć.

- Mogę też - ciągnąłem - ustawić się w kolejce do któregoś z kin, mogę kupić żarcia, wody i zamknąć się tutaj sam albo nawet z tobą, dopóki nie pękne. Mogę zasnąć przed telewizorem i przed telewizorem się obudzić, mogę wykręcać VTT wszystkie numery samotnych dup, jakie znajdę w książce, i pokazywać im kutasa... Tylko, że wtedy od razu mnie zamkną. Mogę próbować przyspieszyć przypadającą na mnie dopiero za trzy lata wizytę w STARYM MIEŚCIE. Nie robiłem tego dotychczas ze względu na Kay, bo nie była zapisana, a nie chciałem iść bez niej... Mogę spróbować lektury tego śmiecia - pokazałem. półki. - Zresztą nie, wolę MIASTO, chyba że masz jakieś lepsze propozycje...

Uśmiechnął się blado.

- Do dup możesz dzwonić z ulicznych automatów, ale potem musisz szybko uciekać. Oni jedni mają dziś Wozy, a z Samochodem nie wygrasz.

- Mogę spieszyć do metra.

- Możesz, ale tam służba porządkowa natychmiast wyłapuje wszystkich podejrzanych.

Wiesz przecież, że mają na wszystko oko.

- Ja szybko biegam...

- Ale ich jest więcej... Poza tym w budkach VTT mogą być magnesy - zatrzasną cię w budce i jak wyglądasz? Trudno sobie wyobrazić, żeby takie numery jak twój nie przyszły im wcześniej do głowy i żeby nie próbowali się przed nimi zabezpieczyć.

Jeszcze nie siadł, stał na środku pokoju z butelką, którą podniósł z powrotem ze stołu. Nie otwierał jej, ja nie wyjąłem kieliszków. Wyglądał na człowieka, który się zastanawia. W końcu zrobił zwrot na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

- Jeśli rzeczywiście zostały ci tylko suchary, to chodź do mnie. Aha, i weź ze sobą oliwki. Mam nadzieję, że jednak czegoś się nauczyłeś od Kay.

W windzie zastanawiałem się, czy mu powiedzieć, czego naprawdę nauczyło mnie życie z Kay. Ale to ale było właściwe miejsce do rozważań o roli małżeństwa w życiu mężczyzny. On nie byłby najlepszym słuchaczem zwierzeń człowieka, który poznając dobrze jedną kobietę traci, ale jednocześnie jakoś przewrotnie nabiera ochoty na wszystkie inne. Patrzył na

moją Kay i za każdym razem coś dziwnego działo się z jego oczami. Rozumiałem, co czuje, ale ten typ uczuć w stosunku do Kay miałem już chyba za sobą. Gdybym próbował wyjaśnić, jak irytuje mnie i pociąga to, co jest w niej kobietą - nerwową, niepewną, zupełnie różną od obrazu doskonałego sprzętu Seksualnego wciskanego i jemu, i mnie przez TV, kino, magazyny. Różną także od tego, co chcąc nie chcąc, wyobraża sobie człowiek na widok lał z ekranów i tych wędrujących po ulicach. Jak powiedzieć mu o nagości, nie tej zastygłej w Erotycznym geście - ale porannej, niereżyserowanej i bezbronnej nagości małżeńskiego łóżka, jaką odsłania przypadkiem uchylona kołdra. A jeszcze gdybym się przyznał, że ta małżeńska wiedza ucłowieczająca mój obraz kobiety i uodparniająca mnie na przeróżne sztuczki rozsypuje się dzisiaj pod wpływem trzydniowej zaledwie nieobecności Kay. Że zostaje tylko tęsknota i rzeczywiście przeróżne głupstwa przychodzące do głowy.

- Masz rację - przyznałem skwapliwie. - Kay pokazywała mi to porę razy. Zupełnie nieźle radzę sobie z zapiekankami.

Mieszkam na siedemnastym. Do dwudziestego piątego jechaliśmy powolną windą pierwszej sekcji w jasnej kabinie wykończonej wykładziną Drewnopodobną. To owoc mody sprzed dwudziestu paru lat, kiedy jako młodzianki szczeniak sprowadziłem się tu z rodzicami do świeżo wybudowanego bloku.

Na dwudziestym piątym przesiadka. Od razu po wyjściu wpadliśmy na starą babę wyłożoną długim oczekiwaniem. Dec bezskutecznie próbował ukryć butelkę przed jej zgorzonym wzrokiem. Baba mamrotała wściekle, wchodząc do windy, powoli zniknęła w szybie, zniknęła wreszcie, a na twarzy Deca pozostawały jeszcze ślady przeproszającego uśmiechu.

Przez poziom suszarni-pralni Sekcji pierwszej trzeba było iść na piechotę. Później następował zapuszczony jak nieszczęście poziom piwniczny II. Od ostatniej wizyty elektryków pozostała tu masa zepsutych świetlówek, szliśmy więc w rozmigotanym półmroku, potracając rozrzucone po surowym betonie pudełka od papierosów, strzępki gazet i inne nieco bardziej tajemnicze odpadki. Śmierdziało tu, podobnie jak w piwnicach na dole, długotrwałą obecnością szczurów i bezpańskich kotów.

Poziom Piwniczny II to nie było najlepsze rozwiązanie; pod tym względem nasz dom był wyjątkiem. Już dość dawno zrezygnowano z przydzielania nowym sekcjom tradycyjnych piwnic, które wprost zachęcają do gromadzenia niepotrzebnych przedmiotów. Tak zaczęli mówić o tym w TV i pisać w magazynach, kiedy kończyłem szkołę. Do dziś nie zrezygnowano natomiast ze wznoszenia na starych blokach dodatkowych sekcji dziesięcio-, a nawet piętnastopiętrowych zbudowanych z lżejszych materiałów. Dlatego mój blok ma teraz trzydzieści

pięć, a nie dwadzieścia pięć pięter, jak było przed laty, kiedy zjawilem się w nim po raz pierwszy.

Sekcję II obsługiwała już para wind szybkobieżnych. Wykładzina z plastikowych płytek w różnych odcieniach zieleni dodawała kabinom przytulnego wyglądu. Co prawda kilka płytek było już oderwanych, na paru innych wydrapano wizerunki Seksualne o komplikacji i skali niektórych narządów wziętych raczej z marzeń niż z rzeczywistości. Pokazałem je Decowi. Roześmiał się szczerze i głośno, a jego palce powędrowały ku parze Spółkującej w pozie, jaką wymyślić może tylko nienasycona głowa nastolatka.

- Ta ja - powiedział rechocąc - rysowałem ich w dwudziestym drugim albo dwudziestym trzecim roku. Strasznie byłem później zawiedziony, kiedy żadna z kobiet nie chciała spróbować tej pozycji. To była klęska marzeń - ciągnął - z którą długo nie mogłem się pogodzić.

Dojeżdżaliśmy do szczytu. Hamowaniu tych szybkich wind towarzyszyło przykre wrażenie w uszach. Przełknąłem ślinę raz i drugi, drzwi, przeciwnie niż w windach mojej sekcji, otworzyły się samoczynnie.

Na wprost były wejścia do paru mieszkań. Mijając je i wspinając się ponownie po schodach z surowego betonu, wyszliśmy na poziom drugiego korytarza, który biegnąc szczytem budynku łączył wszystkie klatki schodowe górnej sekcji. Z okien umieszczonych na wysokości oczu widać było wyasfaltowany dach, mokry teraz i zapewne śliski od deszczu, a na nim jakieś wentylatory, przewód instalacji odgromnikowej, rozmiękle ptasie odchody, rzucone także tutaj niedopałki, pominięte strzępki staniolu i inne drobne odpadki.

Na drugim planie, niezbyt widoczne przez zakurzone szyby, widniały grupki wysokich budynków rozrzuconych w nieregularnej zabudowie. Wszystkie bardzo do siebie podobne, różniły się tylko zblakłymi kolorami balkonów i ilością kondygnacji. Na każdym sterczały zbiorcze anteny telewizyjne. Całe serie podobnych do siebie wydłużonych w górę albo na boki prostopadłościanów z antenowym rynsztunkiem przypominającym ostatni włos na głowie łysego. Był to w końcu niemal taki sam widok jak z mojego okna, tyle tylko, że tutaj oglądany z wyższego poziomu i przez to definitywnie rozwiewający nadzieję. Kiedyś na krańcu tych zabudowań był jakiś skrawek Łąka, Staw i kilka Drzew, chodziłem tam jako dziecko w poszukiwaniu wytchnienia. i potem, nie wiadomo kiedy i jak, wkroczyła na ten teren sąsiednia aglomeracja. Teraz to wszystko nie miało końca - bloki wyższe i niższe, wszystkie prostopadłościennie, wszystkie bez Ozdób, bez indywidualności - cała szara zabudowa ciągnęła się aż po horyzont, za którym zaczynały się kolejne miasta takie same jak nasze.

Wędrowaliśmy szczytowym korytarzem, a szmery zainstalowanych tu transformato-

rów i silników od wind towarzyszyły odgłosom naszych kroków. Dec mieszkał w tym samym bloku, dwie klatki dalej, podobnie zresztą jak ja w sekcji I, tyle że na osiemnastym piętrze. Właściwie nikt nas nie zmuszał do jazdy w górę, do spaceru długą obskurną kiszka o brudnych ścianach i tynku łuszczącym się, zwłaszcza w miejscach spojeń segmentów. Nikt nam nie kazał zjeżdżać następnie w dół windą sekcji II, leżeć ponownie przez ciemny i zapaskudzony poziom piwnic II i przesiadać się w windę sekcji I, by wylądować w końcu na osiemnastym. Po prostu i Dec, i ja ustaliliśmy to bez słów, lubimy urozmaicone podróże. Poza tym jadąc od razu na dół i wędrując z klatki do klatki chodnikiem obok bloku zmoklibyśmy na deszczu. Wariant podróży dołem miał jeszcze jedną wadę. Na dole trzeba strasznie zadzierać głowę, kiedy się chce spojrzeć w niebo. No i nie sposób sprawdzić stamtąd, czy rzeczywiście nic nie zmieniło się na horyzoncie.

Byłem pewien, że u niego wrócimy do rozmowy o zakrwawionej blondynce. Mogło być i ciekawe, i podniecające wspólne obserwowanie na ekranie skomentowanych już wydarzeń - migawki z wypadków zawsze pokazywali w Wiadomościach Wieczornych. Cóż zresztą innego moglibyśmy robić w tym wnętrzu identycznie rozplanowanym, a i umeblowanym niemal tak samo jak moje własne. Cóż mądrzejszego można było wymyślić niż wspólne popijanie wódki krótkimi łykami ze wzrokiem utkwionym w telewizorze i pogryzanie urozmaiconych ziołami i oliwkami zapiekanekek z tostów, sera i rybnej oraz pomidorowej pasty.

Sądziłem, że zaraz po Wiadomościach, zarejestrowaną na domowym rypidzie, obejrzymy tę scenę kilkakrotnie. A więc na pierwszy ogień pójdzie zapewne zbliżenie leżącego mężczyzny i twarzy kobiety z włosami rozsypanymi wśród zegarów. Na przebitkach ruch tłumu, panoramowanie wieżowców z wychylającymi się z okien gapiami, potem Wóz z różnych stron i moment zakładania haka rzuconego z helikoptera... Tak należało to pokazać, tak w każdym razie ja bym to kręcił, gdybym był tam na miejscu facetem od reflektorów i kamer, a nie bohaterem przypadkowej sceny z chusteczką. Naprawdę dopiero teraz, nagle uświadomiłem sobie, że i ja mogę znaleźć się w kadrze. Niewykluczone więc, że się rozpoznam i Dec mnie rozpozna, zobaczymy, jak Policjant wręcza mi chusteczkę i nagle ja odskakuję, uciekam, przepadam w tłumie. To ostatnie zresztą niekoniecznie - nie muszą tego pokazywać. Ucieczki, pogonie, gwałtowne sceny, wszystko, czego dusza pragnie naprawdę, pojawiała się nie w wiadomościach, lecz w filmach. W kryminalnych, dreszczowcach i Erotexach, w cyklu szpiegowskich i kowbojskich, w kosmicznych serialach, w sprawozdaniach z meczy i w montowanych na podstawie starych materiałów scenach polowań na dzikie Zwierzęta.

Dec zaprosił mnie do kuchni i zostawił tu z piekarnikiem, blachami i zawartością lo-

dówki, a sam zniknął. Lubię tę robotę, lubię kroić ser, wyciskać pastę z tubek, układać to warstwami na tostach, sypać przyprawy, polewać blachę olejem i potem misterne i fantazyjne zestawy wsuwać do piekarnika. Lubię później myć ręce i noże, wycierać stół i chować resztki do lodówki - słowem, usuwać ślady po całej wstępnej robocie - by potem promieniujące ciepłem i pachnące ziołami zapiekanki zjawiały się jak prezent, jak zaskoczenie w tym wyczyszczonym świecie, który zdążył już o ich przygotowywaniu zapomnieć. "Myślę, że jednak nauczyłeś się czegoś od Kay"... co za bzdura! To Kay z trudem i bez polotu przejmowała moje zdolności. Nie mógł o tym wiedzieć, bo wobec niego zawsze zachowywałem pozory i tylko szeptem instruowałem Kay, że zapomniała o serze, że trochę trzeba jeszcze dosypać ziół czy pieprzu.

W największym pokoju Dec nakrył ławę i postawił na niej kieliszki. Fotele skierowane w stronę ekranu czekały, by na nich zasiąść, kieliszki, by je napełnić, rozmowa, by ją pociągnąć.

- Piętnaście minut - powiedziałem - może dwadzieścia i będą gotowe. Jeżeli chcesz. strzelimy po jednym bez podkładu.

Chciał i ja także chciałem. Udało mi się nie kaszlnąć, jemu to nie wyszło. Wytarliśmy usta, on wewnętrzną stroną dłoni, ja zewnętrzną.

- Ta dziewczyna - zacząłem - ona miała nie więcej niż dwadzieścia lat...

- Poważnie myślisz o MIEŚCIE? - zapytał od rzeczy.

-Jeszcze nie wiem. To jedyne miejsce, do którego mógłbym teraz próbować się wybierać. Starzy, kiedy żyli, nie mieli tyle rozumu, żeby wpisać mnie na DRZEWA-WODEĘ -PTASZKI.

Jasne, że powiedziałem to z żalem. Jakże inaczej mógłbym to powiedzieć.

- A znajomości? Nie próbowałeś z nikim gadać? Potrafią czasem przyspieszyć, nawet o więcej niż pięć lat.

- Tobie przyspieszyli?

- Może przyspieszą.

- Tak czy nie? - prawie krzyknąłem, bo rozmowa robiła się beznadziejna.

Nie miałem nigdy i nigdzie żadnych kontaktów. Kay także. Niewykluczone, że byłoby inaczej, gdyby trzy lata temu zdecydowała się na kogoś innego. Znalazłoby się przecież jeszcze paru chętnych. Może dzięki któremuś z nich miałyby jakieś dojścia. Tylko co z tego wynikałoby dla mnie?

- W MIEŚCIE byłem jako mały chłopak, WODEĘ-DRZEWA-PTASZKI zaliczyłem rok temu - wyjaśniał spokojnie Dec; dolewając jednocześnie do kieliszków. - Frajda, ale nie

aż taka, żeby po dwóch tygodniach człowiek nie tęsknił do wygod. Dlatego ostatnio, miesiąc temu, zrezygnowałem z MIASTA. Na dłuższą metę pewnie i to staje się męczące.

- Tak po prostu, dziękuję, nie idę? Przecież mogłeś odstąpić komuś miejsce i zgarnąć niezłą forszę.

Skrzywił się. Od razu było widać, że rozważał ten wariant

- Trzeba uważać, bo za kombinacje są kary. Lepiej zgłosić rzecz w Biurze. Oddają wtedy zaliczkę z procentami.

- Dużo tego jest?

- Wiesz przecież, że nie. Zaliczki nie były wielkie. Z procentami zostaje na trochę czystej - kiwnął dłonią w stronę butelki. - Ale jeśli podpiszesz oświadczenie, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat nie wystąpisz z ponowną prośbą o wpuszczenie do MIASTA, wtedy dodają ci gratis - wstał, wziął kieliszek i skinął na mnie. - Dziabnij to szybko, coś zobaczysz w drugim pokoju.

Opuścił zasłony, w tym drugim pomieszczeniu było prawie całkiem ciemno. Bardziej posługując się pamięcią niż wzrokiem odnalazłem oparcie krzesła stojącego po prawej obok drzwi. Kontakt powinien być wyżej, skierowałem tam dłoń, ale Dec w milczeniu ją zatrzymał.

- No, co jest?

Oczy przyzwyczajały się do ciemności: zobaczyłem, że Dec położył palec na ustach, przestałem pytać. A więc niespodzianka. Pobiegłem oczami ku przeciwległej ścianie, nie dostrzegając tam jednak ekranu, na którym mógłbym wyświetlać zdobytą w zamian za wizytę w MIEŚCIE taśmę z panienkami lub jakąś podobną atrakcję. Za to na stole stał jakiś przedmiot wysoki na metr, szeroki mniej więcej na pół metra. Po chwili było już widać, że jest to ażurowa konstrukcja z rurek i prętów splecionych na przeróżne sposoby. Rurki przenikały się nawzajem, były chyba szklane albo wykonano je z jakiegoś innego przezroczystego i doskonale wypolerowanego materiału. Ostatki tego, co było w tym pokoju światłem, łamały się i przełykały na ich powierzchniach, dzięki temu jakby fosforycznych. Ten przedmiot, ta rzecz wyglądała, jak maszyna do wysysania resztek światła z zaciemnionych pomieszczeń. Prawie już wiedziałem; prawie przypomiąłem sobie, co by to być mogło.

Dec podszedł do stołu i włączył urządzenie. Rozległa się cicha muzyka i naraz wszystkie rurki wypełniły się kolorowym pulsującym światłem, a ich końce jarzyły się z największą jasnością. Barwy tańczyły zgodnie z rytmem melodii. Teraz to kolory, nie rurki. przenikały się i spletały nie tracąc jednak czystości. Pokój zmalał, platanina rurek jakby podrosła.

Rzeźba na miarę naszych czasów - recytował Dec za moimi plecami z namaszczeniem, ale bez dumy. - Kalejdoskop XXI, inaczej BarwoMobil. Model nieobecny na razie na

rynku. Zastrzeżony dla wybranych, dla Rozsądnych, którzy rozumieją Ducha Czasu i nie oglądają się wstecz. Zazdrościsz?... Powiedz, że zazdrościsz, to pocuję, że jestem prawdziwie Szczęśliwym facetem i będę miał lepsze trawienie!

Kiedy przygotowywałem tosty, musiał czyścić to odkurzaczem i pewnie jeszcze przecierać ściereczką zmaczaną w specjalnym płynie. Dlatego rurki połyskiwały nawet w półmroku. Teraz sobie przypomniałem - kiedyś zanim zostaliśmy małżeństwem, - widziałem z Kay podobną rzeźbę w Muzeum Sztuki Współczesnej. Rzeźba była większa, mniej więcej wysokości średniego mężczyzny; licząc z postumentem, przewyższała mnie o metr co najmniej. Stała samotnie, pokryta grubą warstwą kurzu, w dużej sali, do której prawie nikt nie zaglądał. W dodatku jakieś złośliwe łebki poprzyklejały do szkła kawałki żujgumy, na rurkach widać było bezsensowne białe placki i uwiecznione w kurzu odciski drobnych palców; zresztą razem z Kay także dotknęliśmy eksponatu. Salowy kustosz, znudzony stary dziadek nie mógł albo nie chciał znaleźć przewodów zasilających, nie zaciemniał okien: czekaliśmy z Kay, dziad się ociągał, rzeźba stała matowa, duża i bezkształtna. Po kwadransie wyszliśmy. Ta tutaj wyglądała jednak o wiele korzystniej.

- Są programy - Dec dopełniał prezencji. - Możesz zmienić kasetę i wtedy będzie seans zorzy polarnej albo tęcza, albo zachód słońca, albo abstrakcyjna kompozycja jak ta... Obejrzałem wszystko do znudzenia.

- Nie jest wcale złe, można popatrzeć - broniłem BarwoMobilu głównie po to, żeby dać sobie samemu chwilę czasu na przeniknięcie zasady jego działania. Światłowody, tak? - spytałem. - A w podstawie, pod dziurkami, do których wprowadzone są rurki, kręcą się różnobarwne żarówki na specjalnych płytkach. Zgadłem?

Prawie. Nie żarówki, tylko barwne filtry, ale rzeczywiście ruchome. Źródło światła jest jedno.

- Zrobili jakąś synchronizację między ruchem filtrów a muzyką?

- Oczywiście.

- Praktycznie rzecz biorąc nie było to konieczne. Człowiek już po minucie sam kojarzyłby dźwięk z obrazem. Nawet gdyby nie było to celowe.

- Wiem - powiedział - ale jest celowe. Zresztą niewiele to zmienia.

Krótką wymianę zdań wyczerpywała całą dyskusję na temat Dzieła Naszych Czasów. Pomyślałem jeszcze, że raczej się na Deca nie zrujnowali i że znacznie lepiej by było, gdyby dostał od nich domową holografię. Ale nie powiedziałem tego na głos. Natomiast, żeby sprawę domknąć ostatecznie, obszedłem dookoła BarwoMobil z powagą brnąc po puszystym dywanie.

- Żałujesz teraz, że nie wybrałeś MIASTA?

- Staram się nie żałować niczego - wyjaśnił bez złości. - Za to ty wiesz już, jak to wygląda, więc możesz wybierać świadomie. Mnie powiedzieli tylko, że jeśli zrezygnuję z MIASTA, dostaję Współczesne Dzieło Sztuki o dużej wartości artystycznej i niebagatelnych walorach wizualnych.

- Masz to na piśmie?

- Jasne, tyle że nie mogłem wiedzieć, o co chodzi, o propozycja brzmiała przecież zachęcająco.

Z całą stanowczością, na jaką było mnie stać, powiedziałem.

- Wybiorę MIASTO, nigdy nie zgodzę się na tak bezsensowną zamianę.

- Twoja sprawa - mruknął Dec.

Ożywił się nieznacznie przy zapiekankach. Siedzieliśmy znowu w większym pokoju przed ekranikiem, na którym jak co dzień migały obrazki, łowiliśmy je kątem oka, pijąc i pogryzając w milczeniu. Cały czas nie traciłem nadziei, że przystąpimy w końcu do najważniejszego dla mnie wydarzenia dnia, że rozwinę temat, zanim ci z Wiadomości streszczą go przy pomocy krótkich i jak zwykle doskonale zrobionych migawek. Ale to Dec splatając i rozplatając dłonie kiwając się nerwowo sprawiał wrażenie faceta, który nie myśli słuchać innych, bowiem sam ma coś bardzo ważnego do powiedzenia.

- Stało się coś? To powiedz... Przecież widzę, że się czymś męczysz...

- U mnie w robocie... - zaczął z desperacją, wychylając kolejny kieliszek i zaciął się nagle. - Jak wychodziliśmy z pracy, to nikt o niczym innym... - pociągnął rzecz od drugiego końca i też mu nie wyszło. - Mieliśmy dzisiaj samobójstwo - wydusił wreszcie. - Chłopak skoczył na bruk dwunastego. Bez szans, nikt nie próbował go ratować.

Usta miałem pełne jedzenia i uwagę bardzo akurat zajęta pokazem mody damskiej na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Aparat Deca nie odbierał najlepiej, kolory trochę się przesunęły, więc skąpe czerwone najczęściej albo błękitne szatki biegały po ekranie za gołymi Murzynkami i za nic nie mogły ich dogonić. Było na co popatrzeć. Dlatego nie odwracając oczu i nie przestając żuć, bardziej gestem niż stawem zapytałem o szczegóły.

Młody facet zaledwie tydzień w robocie, a już wszyscy zdążyli go polubić...

Dojadałem ostatnie kęsy. Dec urwał. Ciszę zakłócały jedynie muzyczne hity towarzyszące tanecznym pas kolejnej czarnej Piękności brylującej na podeście dla modelek.

- Jak taki fajny - spytałem w końcu - to po co skakał? Zawsze myślałem, że robią to ci, którzy już z nikim nie mogą się dogadać.

- Nie wychodziło mu z żoną. Chciała odejść.

- Skąd wiesz?

- Mówił. W ogóle dużo opowiadał o sobie. Jedna z naszych maszynistek już zaczynała się do niego przystawiać, ale podobno były jakieś trudności z uzyskaniem rozvodu.

- I co, ruszył tę maszynistkę?

- Nie bardzo.

- Pił?

- W pracy nie, a tak, skąd mogę wiedzieć. W każdym razie na co dzień nie wyglądał na skacowanego.

- To co on robił do diabła? Jak się ratował?

I wtedy zorientowałem się, że mówię trochę za głośno. Dec wstał. W jego oczach widziałem podobny wyraz, z jakim pochylała się nade mną pielęgniarka, kiedy pierwszy raz w życiu zemdlałem, gdy w wieżowcu wysiadło napięcie, a ja z dziesiątką osób stanąłem między piętrami w windzie, w której w dodatku nawaliła awaryjna klimatyzacja.

Biurowiec nie należał do najwyższych, ale z dwunastego na dół i tak cholernie długa droga. Obejrzałem tę drogę kilkakrotnie na ekranie telewizora; kamerzyści filmowali fasadę budynku jak szaleni. Człowiek musi jednak myśleć o diabelnie dużej ilości rzeczy, kiedy spada tak nieodwracalnie i nic już nie może poradzić. Może się rozmyślić, ponownie się zdecydować, może umrzeć ze strachu, a potem znowu ucieszyć się, że wszystko ma z głowy. I tak bez końca.

Była pełnia dnia, dwunasta z minutami, więc na dole praktycznie obyło się bez reflektorów. Najpierw stało zaledwie paru gapiów, a ulica była pusta, później wszystko się zapełniło, tłum gęstniał i ci z noszami z trudem torowali sobie drogę. Faceci z kamerami musieli być jeszcze wcześniej, teraz wchodzili sobie nawzajem w kadr i mocno przeszkadzali w robocie. Pewnie było między nimi paru gości ze stacji zagranicznych, a oni nie muszą poczuwać się wobec naszych do żadnej solidarności. W sumie deptali sobie po piętach pakując w kadr to łokieć, to tył głowy, to kawałek własnej kamery i od czasu do czasu zasłaniali jedni drugim ciekawe ujęcia.

Leżący nie utracił nawet kształtów człowieka. Z rozrzuconymi rękami, z głową skierowaną w dół tym, co było kiedyś twarzą, a teraz miazgą wbitą w powierzchnię asfaltu, wydziełał z siebie rosnącą wciąż plamę czerwieni, którą defekt telewizora przesuwiał cały czas w bok na prawo od ciała, niezależnie od miejsca, z którego pokazywała je kamera. Stwarzało to w sumie dziwne wrażenie, jakby się zwłoki wykrwawiły przez rurkę. Facet wyglądał na pogodzonego ze wszystkimi i wszystkim. Nawet z żoną. Pokazali jeszcze raz biurowiec od góry do

dołu, a potem dopiero jego kobietę. Standardowa szatynka, ale równie dobrze mogłaby być ruda, w ogóle nic specjalnego, baba jak każda rozmażywała dłońmi nadwyrężony już łzami makijaż, powtarzając w kółko: "Gdybym wiedziała, och, gdybym wiedziała, przecież mogło być jeszcze wszystko dobrze. Wykrzykiwała też niewyraźnie jego imię, ale nie mogłem doślyszć, jak ono brzmiało.

- Idioci - warknął Dec. - A gdyby wiedziała, gdyby od początku nie mogła i nie chciała niczego naprawiać, kazaliby jej gadać to samo - łyknął szybko dużą porcję. - Zresztą nie musieliby jej kazać, one zawsze potrafią zachować się jak trzeba.

Pokazywali teraz parę amatorskich zdjęć uśmiechniętego jak gdyby nigdy nic samobójcy. Później jeszcze bardziej radosne zdjęcia z żoną i jakimiś barwnymi dekoracjami na drugim planie, chyba było to Wesole Miasteczko. Nie wiadomo czemu wydało mi się, że znam skądś twarz ofiary, że jest ona podobna do jedyne go człowieka, jakiego dobrze znam i darzę zaufaniem naprawdę. Nie mogłem sobie jednak przypomnieć żadnej takiej osoby. W tle dźwiękowym spiker mówił o tragicznym wypadku, o załamaniu, o konieczności prowadzenia małżeńskich rozmów, dzięki którym można uniknąć wielu niepotrzebnych kłótni i kryzysów. Komentarze nigdy nie były najsilniejszą stroną Wiadomości.

- Oto zupełnie niepotrzebny skutek zupełnie błahego nieporozumienia - powiedział głos na zakończenie pierwszej sekwencji wypadkowej.

Dec wykonał taki gest, jakby chciał rozwalić ekran kieliszkiem i jakby w ślad za kieliszkiem miała polecieć butelka.

- Tak jest, wszystko z dobrobytu - krzyknął ze złością. Masz rację, palancie!

Pokazali jeszcze parę ofiar, bogaty plon całego zwariowanego dnia. Kiedy indziej nie mógłbym oderwać oczu od ekranu - teraz rejestrowałem te historyjki kątem oka, oczekując najważniejszej dla mnie sekwencji przy Cebuli i Sałacie. Powiedziałem o tym Decowi. Od-rzekł, że uważał mnie za trochę normalniejszego człowieka, sam jednak nie przestawał się gapić. Powiedz jeszcze, że Kay zasłużyła na kogoś znacznie bardziej wartościowego niż ja, pomyślałem, ale nie zdobył się na żadną, nawet najcieńszą aluzję.

Poza jednym wypadkiem zwyczajnym, tym od Deca z pracy, reszta to byli sami degeneraci. Jacyś pomyłeńcy, którzy nadużyli prochów, otworzyli drzwi w czasie jazdy i dali się rozkwasić w podziemiach rozpędzonym wagonem metra. Następnie pokazywali szczątki przestępcy, który rozbił się skacząc z więziennego muru i skonał w szpitalu. Było też dwóch topielców i katastrofa pasażerskiego samolotu zagranicznych linii, który stuknął o górę gdzieś w południowo-wschodniej Australii.

Kiedy zapowiedzieli wypadek samochodowy, zamarłem, ale obraz na ekranie szybko

wyprowadził mnie z błędu. Chodziło o kraksę na torze w Las Palmas, o przekupstwo w wysścigowym totku, mówiąc dosłownie, o podejrzone obstawianie jakichś fuksów i narkotyki wsypane podstępnie do herbaty faworyta... Chwyciłem mocniej za oparcie fotela, wciągnąłem głębiej powietrze oczekując dalszego ciągu serii samochodowej i wtedy okazało się, że to już wszystko. Koniec wiadomości, teraz była kolej na sport, na film, na rewię, na łagodne, bo ogólnodostępne Erotexy. W porywie złości i zawodu wyłączyłem telewizor.

- No, albo coś pokręciłeś - powiedział Dec z zainteresowaniem - albo nie zdążyli przysłać ekipy. Chociaż nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek nie zdążyli na czas.

Byłem bezbronny.

- Widziałem ich, naprawdę. Były reflektory i kamery. Nie wymyśliłem sobie tego, mam przecież chusteczkę.

Zaśmiał się.

- Ja także mam, nawet niejedną. Dla samej chusteczki niepotrzebny jest wypadek, jak nie ma wypadku, nie ma i ekipy, a bez ekipy nie ma migawek w Wiadomościach. Powiedz szczerze, jak pijany pijanemu... głupie żarty...

To było bezsensowne. Wiedział o tym tak samo dobrze jak ja.

- Może rozbił się ktoś z Elity - myślałem na głos - albo dziecko kogoś z Elity. Może woleli uniknąć rozgłosu.

- Wiesz przecież, że najgłośniejszą trąbią o wypadkach Uprzywilejowanych - burknął. - W ten sposób dają nam do zrozumienia, że sprawiedliwość jest jedna i taka sama dla wszystkich.

- Ale może to był ktoś znaczny?

- O rany, przecież tylko znaczni faceci mają jeszcze dostęp do Wozów... W tej sytuacji z benzyną. No i im wyższy rangą facet się rozbił, tym chyba lepiej...

- Fakt, ludzie to lubią.

Zamyślił się.

- Może... - zacząłem.

- Czekaj - przerwał - a jeśli zdarzyło się tu coś podobnego, jak z tym facetem na torze... Wypadek z powodu prochów... Ale oni o tym wiedzą i nie chcą, żeby... A jeśli to był zamach.

- Tylko, że ja mam chusteczkę - zawołałem tryumfalnie - i nikt mi jej jeszcze nie odebrał. Jeśli we krwi będzie trucizna albo jakieś mocne narkotyki... Można to sprawdzić. Teraz już jasne, woleli nie pokazywać wypadku, żeby nikt nie poszedł moim tropem...

- Prowadziła kobieta czy mężczyzna - zapytał. - Na chusteczce są tylko jej ślady czy

jego także?

- Chyba on. Ona siedziała obok kierownicy. I ślady są tylko po niej.

- No więc jeśli nawet coś tu nie gra, to w jej krwi niekoniecznie musisz zaraz znaleźć coś podejrzanego. Do wypadku, o ile wiem, wystarczy otumaniony kierowca,

- Ale jeśli podali im coś do picia - powiedziałem - to i on i ona...

- Dlaczego zaraz do picia?

- Nie wiem - byłem bezradny.

- Ja też nie wiem - przyznał - i dlatego próbuję się nie podniecać. Pomyśl, jeżeli niczego nie będzie na chusteczce, to jeszcze nie znaczy że sprawa jest czysta. Jeśli będzie, to też nic nie wiadomo na pewno, bo przecież dziewczyna mogła się szprycować od dawna... Zresztą może wypadek nie poszedł dziś, bo nie zmieścił się w bloku, i może po prostu pokażą go jutro.

- Ale zawsze lepiej to sprawdzić.

- Zgoda, jasne - powiedział i nagle twarz mu pojaśniała. - Mój znajomy jest biochemikiem. Porządny facet, trochę starszy, i umie być dyskretny. Mogę go poprosić, jeśli chcesz. Uwinie się szybko, bo dla specjalisty to pewnie żadna robota.

Powiedziałem, że dobrze, Dec ucieszył się, że może mi pomóc, i potem na miękkich nogach odbyłem sam całą podróż tam i z powrotem dwoma rodzajami wind, przez dwa poziomy piwniczne. Z korytarza szczytowego roztaczał się widok na granatową noc i równe rzędy tysięcy okien rozjaśnionych telewizorową poświatą. Poczułem ponownie, że jestem lepszy od nich wszystkich o to zdarzenie, które dzisiaj stało się moim udziałem, w cokolwiek by się miało obrócić. Byłoby dobrze w takim stanie ducha spotkać na górze kurewkę Util. Na pewno nie skończyłoby się tym razem na opuszczonych oczach i zażenowanym uśmiechu.

Wracając długim korytarzem z chusteczką w zaciśniętej dłoni, przez chwilę pozwoliłem ogarnąć się panice, czy wylądowałem na właściwym piętrze i czy na pewno dzwonię do właściwych drzwi. Wszedłem w końcu bez dzwonienia, pełen najgorszych przeczuć, lecz co za ulga, trafiłem dobrze. Dec czekał na mnie, wziął materiał delikatnie w koniuszki palców, pieczołowicie złożył na cztery części i wsunął do przygotowanego wcześniej plastikowego woreczka.

- Ciekawe, ale może być chryja.

- Myślę o czym innym - powiedział spokojnie - patrz, jak mało zostaje z człowieka. Po tych twoich tylko chusteczka, po moim... Kiedy skoczył, przyjechała zaraz karetka, później chwile kręcili się ci z TV. Po kwadransie, gdy go zabrali, było po wszystkim. Później jeszcze przysłali polewaczkę ze szczotkami do asfaltu. Minęła godzina, asfalt wysechł i nie zostało po

nim ani śladu. Wieczorem trochę chlapnęli o nim w Wiadomościach. Było, nie ma.

- Właściwie dlaczego on to zrobił?

- Wiem tyle co ty. Wszystkiego, co tu mówili - machnął ręką w stronę ciemnego ekranu - nie można traktować poważnie.

Nagle uświadomiłem sobie sens tego, co nurtowało mnie od dobrej godziny. Dlaczego twarz samobójcy, kolegi Deca, wydawała mi się znajoma, dlaczego taka swojska, skąd wrażenie, że mógłbym polubić tego człowieka. Było to trochę nawet żenujące. On po prostu przypominał osobę, którą codziennie rano oglądałem w lustrze przy goleniu.

- Kiedy żona wyjeżdża - nie mogłem tego powstrzymać, to powiedziało się samo - różne głupie rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy... Dlatego dzisiaj wpadłeś, tak? I dlatego z butelką?

Nigdy jeszcze nie widziałem, by ktoś mógł poczerwieniec tak bardzo.

- Och, przesadzasz - burknął ze złością - nie wyobrażaj sobie zbyt wiele.

Skąd miałem mieć pewność, czy jest to zachowanie człowieka przyłapanego na szlachetnym geście, czy też na dużej podłości.

BŁAŻNIE!

“Mężczyzna i kobieta siedzieli nadzy na kanapie; lubieżna intencja rysownika występowała wyraźnie, ale jego nieudolność była tak wielka, że ostatecznie widać było tylko mężczyznę(...)”

Franz Kafka “Proces”

Nie lubię niedziel. Wolny dzień wprawia mnie w zakłopotanie i powoduje poczucie winy. W wolne dni wszystko trwa dwa razy dłużej i człowiek, chcąc nie chcąc musi z przygnębiającą dokładnością obserwować czas, który ucieka mu z życia. Niedziele są jak herbata w dwu szklankach, ale zaparzona z jednej torebki i osłodzona zbyt małą ilością pastylek. Jak potraktowane wodą wino, jak rozcieńczona wódka. Gdybym mógł skasować większość wolnych dni, a w każdym razie dwie najbliższe niedziele, które miały nadejść - skasować wraz z tą, którą właśnie zacząłem. Wszystkie trzy miałem spędzić bez Kay.

Na szczęście pakowanie pościeli do oklejonego cienkim fornirem paździerzowego pudła stanowi jedną z tych czynności, które mimo że wykonywane codziennie, nigdy nie tracą sensu. Rozlegający się charakterystyczny trzask zaczepów, strzepnięcia dużej pomarańczowej kapy i rozpostarcie jej na powierzchni taczana dostarczało mi zawsze poczucia wykonywania porządnej roboty. Gdybyż jeszcze można było powtarzać ją w nieskończoność.

Mój ruch i dźwięk zamykanego tapczanu spłoszył śledzącego na balkonie gołębia. To ten ptak obudził mnie swym gulgotaniem podobnym do rżenia duszonego człowieka i do hałasu samolotowych silników. Rozległ się tupot skrzydeł i duże ptaszysko utuczone odpadkami zebranych z tysięcy parapetów furknęło ku niebu. Szybowałem za nim oczami. Było chłodne słoneczne przedpołudnie, niebo czyste jak na pocztówkach, pod nim szarość budynków bliższa teraz bieli niż w dni bardziej pochmurne. Dołem przez uchylone drzwi balkonu sączyło się zimne powietrze.

Goliłem się w łazience długo i dokładnie, z włosiem i pod włos. Kiedy policzki były już gładkie jak lustra, namydliłem je jeszcze raz i zupełnie niepotrzebnie przejechałem po twarzy żyletką. Zaciąłem się oczywiście, chyba była to premedytacja, a po chwili przekonałem się zgodnie z oczekiwaniami, że najnowszy płyn do tamowania krwi jest równie mało wart co poprzednie. Wziąłem butelkę i delikatnie przechyliwszy, powoli, dawkując sobie przyjemność, począłem wyciskać jej zawartość do zlewu. Kiedy zwalniałem nacisk i powietrze wchodziło do naczynia, płyn bulgotał cicho. Łazienkę począł wypełniać intensywny za-

pach, z nalepki na butelce uśmiechał się lubieżnie ostronosy wampir w czarnej opończy i z czarnymi skrzydłami, który długim jęzorem zlizywał krew ciekącą z ranki na brodzie sportretowanego na rysunku mężczyzny. Właściwie widoczny był tylko silnie zarysowany i opalony męski podbródek ze śladami mydlin i aksamitnym ciemnym zarostem na połowie twarzy, a także muskularny tors w modnym podkoszulku. Do krwawiących na twarzy dwu jeszcze mniejszych zacięć sunęły na wyścigi z zamglonego tła dwa pomniejsze wampiry - jeden w granatowej, drugi w brązowej opończy. W skwapliwości, z jaką cała trójka spieszyła na pomoc półnagiemu mężczyźnie, było coś obrzydliwego, coś pedalskiego. Zrobiło mi się przykro, że Kay, która kupiła płyn na pożegnanie, tego nie dostrzegła.

Na jedną krótką chwilę pobiegłem myślą ku żonie. Jej obraz stanął mi przed oczami dziwnie nieostry i zatarty, widziałem wyraźnie tylko gesty jej rąk, ruch głowy przy pożegnaniu; pocałunek to było coś zupełnie już nierealnego. Teraz pomyślałem, że ten pośpiech, który wtedy, przed trzema dniami, na lotnisku, wydawał mi się rzeczą normalną i oczywistą, mógłby jednak być mniej żywiołowy, że nie zaszkodziłaby mu przecież odrobina skupienia. Cieszyła się, to oczywiste, ale w momencie, w którym silniki zaskoczyły w końcu i rozległ się ich równy ogłuszający łoskot, a fala powietrza poczęła wichrzyć włosy jej i paru innym kobietom wsiadającym do maszyny, mogłaby okazać przynajmniej trochę smutku. Przypomniałem sobie i to, że nie płakała żadna z kobiet, które leciały z Kay - wszystkie miały roześmiane oczy; to dziwne, twarze tych kobiet rysowały mi się w pamięci wyraźniej niż twarz Kay. Podobni też byli ich mężczyźni, których wpuszczono na płytę, podobni do mnie i do siebie, niewyraźnie uśmiechnięci, mający kłopoty z rękami, w których jeszcze przed chwilą nieśli ciężkie torby małżonek. Wspominając to wszystko pomyślałem nagle z przeraźliwą jasnością, że Kay nie odleciałaby nigdy, gdyby mnie kochała naprawdę.

Nie włączyłem radia, nie przekręcałem gałki telewizora. Wiedziałem, że niczym nie zaskoczy mnie magnetofon ani żadna z kaset na których nagrałem setki melodii i z których każdą przesłuchałem dziesiątki razy. Zachowałem te melodie w pamięci tak samo jak ich kolejność, łączyły mnie z tym różne wspomnienia i nie chciałem ich wskrzeszać teraz pod nieobecność Kay. Miałem inny pomysł na te godziny i dni, kiedy jej nie będzie, byłbym głupkiem, gdybym nie zaczął snuć planów już wcześniej.

Kamera spoczywała głęboko na dnie szafy, ale świeżą szpulkę z dziesięciominutowym ładunkiem kolorowej taśmy miałem na wierzchu. Kay kupiła to żółte opakowanie w jednym z Bliźniaków, kiedy wspólnie robiliśmy zakupy w przeddzień jej wyjazdu. Ataki hojności były wypróbowanymi sposobami, jakimi koła swoje nieczyste sumienie. "Tylko nie biegaj za dziewczynami po ulicach, powiedziała wręczając mi pudełko; jeśli już, to nakręć przynamniej

jakaś kraksę”

Był to dobry pomysł, ale nie miałem ochoty polować na kraksy. Musiałbym zjechać na dół, wyruszyć gdzieś w stronę Centrum i łązić po ulicach z dyndającą przy dłoni kamerą. Musiałbym nasłuchiwać, czy gdzieś w którymś z zakątków miasta jakiś kolejny ustosunkowany szaleniec w stalowym pojeździe nie wytraci szybkości uderzając o słup lub kalecząc i miażdżąc stadko rowerzystów. Wyglądałbym przecież jak jeden z tych szpanerów, którzy włóczą się po ulicach, zaczepiają chłopców lub panienki, zależnie od zainteresowań, ustawiają ich twarzami do słońca, szemrzą silniczkami kamer, a potem wśród śmiechów wymieniają adresy i pierwsze bezczelne pieszczoty. Poza tym skąd gwarancja, że to właśnie dzisiaj stuknie coś w głowie kolejnemu łowcy rekordów szybkości. “Nakręć jakąś kraksę...” W sumie brzmiało to tak samo mądrze, jak gdyby powiedziała - idź i dobrze poszukaj, na pewno znajdziesz na chodniku Goldena. Bardzo by nam się przydał Golden, a w takim wielkim mieście, jak nasze, ludzie muszą gubić dużo drobnych w ciągu dnia.

Z wizjerem przy oku, siedząc na tapczanie, przejechałem kamerą po sprzętach w pokoju. Był to jeden z tych lekkich i łatwych w obsłudze modeli, którymi firmy mechaniczne trzymały jeszcze w szachu elektronikę i przemysł wideo. Elektryczny przesuw taśmy, elektryczna lub ręczna, w razie potrzeby, regulacja transfokatora, obiektyw o dużej jasności, automatyczny ustaw ostrości. światła i tak dalej. Kamery wideo, ciężkie, zawodne, bo łatwo ulegające zewnętrznym zakłóceniom, dające w dodatku znacznie gorszą jakość obrazu na telewizorach najwyższej nawet klasy - nie wytrzymały na razie konkurencji. Prowadziłem moją kamerę delikatnie, a w kadr wchodziły półki i przegródki regału, na którym Kay porozstawiała swoje Ozdóbki; szklane pieski, wazoniki, plastikowe kwiatki, małe słoiczki lakierów, kremów, mydełek, pudrów i szminek. Potem przyszła kolej na moje pisma fotograficzne i filmowe, na jaskrawożółte opakowanie taśmy, na maleńkie modele najnowszych samolotów, na kolekcję miniaturowych buteleczek dziesiątków win i wódek.

Powtórzyłem to ujęcie, cały czas na sucho, rzecz jasna, pustą kamerą i przy wyłączonym silniku, ale tym razem wziąłem do ręki dźwignię transfokatora. Obraz zaczęty ogólnym widokiem regału powoli, delikatnie przechodził od połyskliwego szklanego pieska, przez coraz bliższe kosmetyki Kay i grzbiet magazynów, do wypełniającej w końcu cały kadr, pełnej czerwonych i złotych ciapków etykietyki “Ognista Siostra”.

Mało było w tym sensu. Nawet kiedy zaszemrał silnik, a moje oko za sprawą zmieniających wzajemne położenie soczewek obiektywu po raz kolejny zaczęło pokonywać i niejako rozgarniać przestrzeń, nie chciało mi się to wszystko ułożyć w żadną akcję. Był regał, były drobiazgi, był piękny obrazek na matówce, miły dzięki zgęszczonym, intensywnym barwom i

efektowi podświetlenia od specjalnych rastrów zastosowanych w celowniku kamery - ale nie było w rym fabuły.

Wstałem i okiem kamery spojrzałem na tę ścianę, która znajdowała się dotychczas za moimi plecami. Kiedyś z Kay oblepiliśmy ją całą serią stereoskopowych plakatów. I znowu smakowałem szmer silnika, przechodząc od twarzy do twarzy gwiazdorów piosenki, na których znaczyły swe ślady słoneczne plamy i cienie od ramy okiennej. Znałem ich wizerunki tak samo, jak ich piosenki, na pamięć: młodzieńcy o piękniutkich twarzach, bezczelnych oczach i wiotkich sylwetkach, dziewczyny w skąpych połyskliwych skórach opinających kształty, które mogą się przyśnić. Wędrowałem obiektywem od jednej postaci do drugiej, nadużywając transfokatora w tych miejscach, gdzie skąpa odzież dziewcząt odsłaniała fragmenty ciała bardziej atrakcyjne. Ale mimo, że w wizjerze kamery wszystko to zdawało się uzyskiwać nowy sens, nową jakość, podobnie jak przedtem zawartość regału; mimo stosowania przeróżnych kombinacji ujęć, zmian kolejności najazdów i odjazdów - nic nie mogłem z tego wykrzesać.

Należało poszerzyć obszar penetracji, wiedziałem o tym. Ponieważ przez firankę i zakurzoną szybę kamera rysowała źle, pokonując niechęć i wzdragając się od chłodu, wyszedłem jednak na balkon. Z początku była to zupełnie niezła zabawa, liczenie okien przeciwległego budynku mieszczących się w kadrze - raz na maksymalnym zbliżeniu, dwa przy odjeździe kamery. Przeszedłem potem na budynek trochę dalszy, w głębi, potem na ten z lewej strony, następnie z prawej. Liczba okien zmieniała się zależnie od odległości i ustawienia transfokatora, ale i tak nie próbowałem tych danych notować ani pamiętać. Wróciłem do budynku naprzeciwko. Na zbliżeniu w kadr wchodziły zaledwie cztery okna i gdyby nie fakt, że to do mnie wpadało teraz słońce, a nie do tamtych mieszkań, mógłbym przy pomocy kamery pełniącej rolę lornetki wypatrzeć sceny godne uwagi. Blok wyglądał zresztą na wyludniony, tylko w jednym miejscu na czwartym piętrze młoda kobieta ubrana zupełnie nieświętecznie w jakieś łachy długo, jakby ze smakiem, stale wracając do tego samego miejsca na szybie, myła okno. Najwidoczniej ona także miała kłopot, co począć z niedzielą.

Na chodnikach między blokami było pusto. Dopiero po poszukiwaniach doścignąłem transfokatorem parę w średnim wieku z zaplątanym między nich dzieciakiem. Dzieciak był znudzony i zapewne kapryśny, bo jak widziałem na matówce, stale odbiegał od rodziców na boki, kobieta załamywała wtedy dłonie, zaś mężczyzna łapał małego i wymierzał mu w tyłek porządnego klopa. Między blokami była pustka, dzieciak nie mógł znaleźć tam żadnej rozrywki, nie mogło też spotkać go żadne nieszczęście, nie wiedziałem więc, dlaczego uciekał, ani po co mężczyzna go łapał, ale na uparte go nawet w tej bezsensownej trójce można się

było dopatrzeć rodzinnej atmosfery. Dopiero kiedy weszli w strefę cienia, obraz zszarzał i całość zrobiła się tak ponura, że od razu przestałem na nią patrzeć.

Zmarzłem. Kamera poczynała mi ciążyć. Czułem ból w mięśniach cały czas zgiętej w łokciu prawej ręki. Wróciłem do mieszkania dokładnie zamykając za sobą drzwi i wtedy okazało się, że w pokoju także jest zimno. Uciekłem więc do kuchni, pociągnąłem ze szklanki łyk przestudzonej, śmierdzącej chlorem herbaty, a potem zupełnie bez celu pobiegłem z kamerą do toalety. Tutaj, w małym pomieszczeniu, prawie nie korzystając z transfokatora, przeleciałem obiektywem po dwóch półkach pełnych słoików i buteleczek z kosmetykami, których Kay nie wzięta ze sobą, zawadziłem o lustro z moim odbiciem - chwilę zatrzymałem w kadrze ten obraz, by w końcu, to było silniejsze ode mnie, zamknąć ujęcie zbliżeniem dna sedesu. Tylko że także w tym nie mogłem znaleźć żadnej fabuły.

Kay wiedziała jednak, co mówi, wręczając mi taśmę przed paroma dniami, a w jej głosie nieprzypadkowo dźwięczały wtedy ironiczne nutki. Ileż to razy obiecywałem jej i sobie, że nakręcę film z prawdziwego zdarzenia, ileż to już niedzieli miałem na to przeznaczyć, ile nocy wypełniły mi marzenia o wspanialej fabule, którą wysyłałem na comiesięczny konkurs amatorów, dostając nagrodę; Kay ogląda to w telewizorze, koleżdy z pracy także. Kiedyś pod wpływem fantastyczno-naukowego dreszczowca pokazanego późno w nocy przyszedł mi do głowy jedyny w życiu dobry pomysł na krótki filmowy skecz z prawdziwego zdarzenia. Cudem zdołałem to zanotować i z rana, jak nigdy, rzecz podobała mi się tak samo: jakiś ponury facet zaczepia na ulicy niepozornego człowieczka, pokazuje mu broń i mówi, że za parę godzin przyjdzie go zabić. Ten w popłochu ucieka do mieszkania i tu pracowicie cofa zegarek - cofa czas. Kiedy o wyznaczonej porze przychodzi zabójca, okazuje się, że zrobił się z niego mały chłopiec, a i niedoszła ofiara to także szczeniak. Jeden dzieciak strzela do drugiego z pistoletu-zabawki. Trupów oczywiście nie ma. Nawet Kay powiedziała, że to śmieszne.

Nie wiem czemu, właśnie teraz przypomniałem sobie tę historyjkę. Oczywiście, realizacja pomysłu nastroczała wielu problemów - należało znaleźć aktorów, trzeba było całość rozpiścić na ujęcia, potrzebne była też dwójka dzieci. Kay tymczasem nie miała żadnej rodziny, ja także, oboje byliśmy jedynakami, a poza tym młodym bezdzietnym małżeństwem. Ale może zgodziłby się przyjść do nas z dziećmi ktoś z pracy. W końcu nagrody za pierwsze trzy miejsca w konkursie krótkometrażówek byty duże, więc na pewno mogliśmy się odwdziaczyć.

Zapałem się na powrót do tej historyjki, wyjąłem nawet kartkę i zacząłem szkicować kolejne ujęcia. Cały czas starałem się pamiętać o suspense, o zawieszeniu, żeby nie od razu wszystko było wiadome i żeby widz oglądając oderwane na pozór obrazki dopiero przy końcu

dostawał pointą po nosie. Dlatego sporo miało być zbliżeń twarzy bohaterów, dużo uwagi przywiązywałem też do odgłosów rozlegających się poza kadrem. Niepokój czekania należało oddać portretując nie wnętrze, lecz głównie ulicę, windy, schody prowadzące do mieszkania ofiary. Dobrze by było, gdyby winda się zepsuła, to wydłużyłoby akcję i zwiększyło napięcie. Wiedziałem, że rzecz jest prawdopodobna, bo przecież windy psuły się tak często. O przemianie dorosłych w dzieci widz powinien się dowiedzieć w ostatniej chwili... Po bezpłodnych i upokarzających próbach z kamerą w mieszkaniu i na balkonie notowanie tego wszystkiego, szkicowanie kadrów, konstruowanie krótkich dialogów było tak smakowite, tak niezwykle.

Oczywiste spostrzeżenie, że brakuje mi wprawy w łączeniu obrazów, że moja wiedza jest tutaj skromna, a intuicja żadna - przyszło nagle. Na szczęście wiedziałem, jak się podszkolić. Po chwili ekran jarzył się kolorową poświatą a ja spoczywałem na tapczanie z kamerą przy oku, obserwując projekcję jednego z niedzielnych seriali. Prowadziłem postaci na małym ekranie swoją kamerą i w swoim rytmie, potem robiłem mały odjazd i cały kadr na matówce wypełniony był ekranem telewizora. Oto najlepszy sposób, żeby podpatrywać sztuczki montażu. Dostrzegłem na przykład skokowy i przez to nienaturalny sposób, w jaki jedno ujęcie następowało po drugim, ale niepostrzeżenie przestawałem myśleć, przestawałem badać.

Dawali jedną z setek fabuł o panach, którzy namawiają panie na te rzeczy, stawiając wreszcie na swoim. Przedtem jednak, by końcowe połączenie miało smak autentycznej niespodzianki i prawdziwego Sukcesu, nieświadome czekającego je szczęścia panienki oganiały się przed facetami przy pomocy brzytwy, zaś faceci obnosili po planie sylwetki zbrodniarzy i twarze zdeklarowanych zbrodniców. Reklama środków antykoncepcyjnych wskoczyła w film tylko raz, zresztą dziewczyna demonstrująca zastosowanie drażetek, baloników, pierścionków i spiralek była zgrabniejsza i bardziej wyuzdana od bohaterek serialu. Nie miałem czego żałować. Silniczek szemrał cicho, obraz mnie wciągał, a ponieważ miałem go cały czas na matówce kamery, nietrudno było oddać się rozkosznemu złudzeniu, że to ja jestem jego twórcą.

Spojrzałem w bok tylko po to, by dać odpocząć prawemu oku przyciśniętemu do celownika. Za oknem było szaro, to słońce przeszło na drugą stronę bloku; zresztą tam także skrywały je chmury. Na regale, jak niemy wyrzut, spoczywało nietknięte krzykliwe opakowanie z kolorową taśmą, opatrzone znakiem najwyższej jakości.

Zaczęło się od dokładnego zasłonięcia okien. Później, niezupełnie jeszcze zdecydowany, ruszyłem w stronę pawlacza. Miałem nadzieję, że Kay, tak rozsądna, tak dokładnie pozbawiona złudzeń co do mojej kariery filmowej, nie przewidziałaaby jednak dalszego ciągu. Szedłem w stronę pawlacza... Któż zresztą może to wiedzieć, podobno one domyślają się wszyst-

kiego, podobno same nielepsze. Kay zawsze odwracała głowę, kiedy na małym ekranie w czasie przeróżnych seansów reklamowych prześlizgne modelki wiły się sapiąc i jęczące pod kolejnymi coraz sprawniejszymi modelami PulsErosów. Zgaś to świństwo, krzyczała, a ja jako mąż i jako prawdziwy mężczyzna solidarnie okazywałem obrzydzenie, którego ode mnie oczekiwano. PulsatingPaula i MasturbElux drażniły ją znacznie mniej; kiedy to ich reklamy zjawiały się na ekranie, oglądała całość bardzo uważnie, zerkając na mnie co chwila; czy zachowuję odpowiednią obojętność lub jeszcze lepiej - dezaprobatę. Widocznie udawałem dobrze, zresztą przy niej specjalnie nie musiałem udawać, bo zawsze po takim seansie chodziła po mieszkaniu krokiem bardziej sprężystym niż zwykle, dumnie prężąc sylwetkę, wystawiała piersi do przodu jak człowiek, który poznał swoją cenę. Co więcej - dowiedział się, że jest to cena wysoka.

Na pawlaczu, jeszcze z kawalerskich czasów, zakurzona jak nieszczęście, niemal zupełnie zapomniana leżała paczka z owiniętym pieczołowicie MasturbEluxem. Żeby go wyjąć, musiałem unieść leżące tu również sztuczne drzewko, przy okazji poleciało na dół trochę gruzu, pospadały też jakieś torebki, jedno z bombkami na choinkę. Cicho zachrzęściło szkło na podłodze, a do tego jakiś strzęp kurzu albo może drobina piasku wpadły mi pod powiekę. To wszystko było jak ostrzeżenie, jak zła wróżba, której lepiej posłuchać. Strach pomyśleć, co by się działo, gdybym musiał staszczyć z pawlacza AunaturElę.

Myślałem, że wydobyte z pudełka urządzenie wyda mi się po tych paru latach staroświeckie, ale gałki pokręteł, kolorowe szkiełka sygnalizatorów, gniazdka wejścia i wyjścia, pojemnik na kasety, konstrukcja zmieniacza - wszystko zdawało się być estetyczne i funkcjonalne, jakbym wczoraj dopiero przyniósł urządzenie ze sklepu. Model wyglądał wręcz Nowocześnie. Podłączyłem go kablem do telewizora, naciskając odpowiedni klawisz sterujący MasturbEluxem, włączyłem urządzenie i wtedy ekran telewizora pojaśniał na chwilę, a zaraz potem zszarzał; kineskop sprawiał wrażenie oblepionego od wewnątrz brudnym topniejącym śniegiem. Zmieniłem gniazdko - śnieg błyskawicznie stajał, na ekranie pojawiło się piękne śniade ciało Mumbi K, Miss Klubu Niezaspokojonych-56, C-34 Wersja Super. Mumbi leżała na błękitnym prześcieradle, jak ją Pan Bóg stworzył; z paznokciami u nóg i rak w czerwonym odcieniu, przeginała się na wszystkie strony jęcząc cicho i gładziła się po wewnętrznej stronie ud dłońmi o długich i zabójczo ruchliwych palcach. No przegubach dłoni i na kostkach nóg miała złociste bransoletki; srebrzysty sznurek wrzynający się w wygolony srom i z tyłu opasujący kształtne pośladki zasłaniał zaledwie mikroskopijny ułamek jej ciała. Złocisty ruchomy łańcuszek przepasywał ją w talii.

Dawniej obwieszano takimi łańcuszkami duże gumowe lalki naturalnej wielkości wy-

posażone we wszystko, co istotne w kobiecie, poza umiejętnością poruszania się i oczywiście poza duszą. Nazywano ten model AunaturEla. Nawet głos nie stanowił problemu, zresztą po pewnym czasie także imitacja ruchów przestała sprawiać zasadniczą trudność producentom. Modele ruchome kosztowały co prawda drożej, ale reklamowano je jako dostarczające nieskończenie więcej Rozkoszy i dla odróżnienia obdarzono nazwami PulsatingEli, PulsatingPauli i tak dalej. Ciekawe, że zawsze największym powodzeniem cieszyły się lalki ciemnoskóre. Pamiętałem jeszcze ze szkolnych czasów wystawę magazynu, w którym leżały za szybą całe szeregi przecenionych Chinek i Europejsek, o także jeden z serii świńskich dowcipów, jakie najbardziej wyrobieni opowiadali na szkolnych korytarzach: “Co pan dzisiaj taki opalony, panie Volup? Ach to nic, to tylko moja lalunia puściła farbę”.

Powodzenie lalek nie trwało wiecznie i co ciekawsze, największy cios ich producentom zadało nie zrozumiałe znużenie użytkowników ani głośne protesty organizacji kobiecych, lecz - naukowcy. Badacz, którego nazwiska już nie pamiętam, w każdym razie facet ze stajni koncernu elektronicznego, wykazał, że jeśli idzie o mężczyzn, dokładna imitacja przebiegu Stosunku nie ma sensu. Trzeba dokonać niejako syntezy, skupić się na punktach i procesach najistotniejszych dla zjawiska, a nie dokonywać całościowej i przez to banalnej rekonstrukcji. Najważniejsze jest drażnienie ściśle określonych punktów ciała, jęki kobiety i obraz, zmienny, powabny obraz, jaki ma przed oczyma mężczyzna. Skoncentrujmy się na tych sprawach, a zajdziemy znacznie dalej niż pozbawieni wyobraźni i wiedzy chałupnicy, bezradni kopiści Natury... Pamiętałem te deklaracje dokładnie, bowiem największa ich popularność przypadała na okres mojego wchodzenia w wiek lat szesnastu. Wkrótce potem pojawiły się na rynku pierwsze modele Masturbów - najpierw mechanicznych, a następnie znacznie bardziej skomplikowane MasturbEluxy elektroniczne z kasetową przystawką dołączoną do TV z wielowariantowymi kasetami dającymi w miejscach tak zwanych rozgałęzień szansę wyboru różnych erotycznych wątków, z synchronizatorem obrazu i reakcji, z elektronicznym opóźniaczem i przyspieszaczem Orgazmu od dwu sekund do cykli trój, a nawet pięciogodzinnych, przy użyciu dubeltowych bezpieczników. Lalki, które do tej pory szły jak woda, raptem okazały się demode, zresztą zajmowały zawsze zbyt dużo miejsca i mężczyźni niezupełnie nawet przekonani wynikami badań, pozbywali się swych modeli wyrzucając je z okien, bądź spychając do zsyków. Modele najstarsze, plastikowe, podpalane przez zazdrosnych do końca właścicieli, wydzielaly godzinami smolisty dym na setkach lichych trawników wśród setek strzelających w niebo wieżowców przy akompaniamencie przekleństw starych kobiet. Te niepalne stawały się źródłem seksualnych i anatomicznych wtajemniczeń dla nastolatków, takich, jak ja w swoim czasie.

Mumbi K leżała na brzuchu, a w jej przyspieszonym oddechu słyhać było siłę narastającego huraganu. Zarzucone do tyłu śniade dłonie dokonywały niesamowitych sztuczek wokół gładkich i zdawałoby się twardych jak brązowy kamień pośladków. Jej biodra falowały rytmicznie, a stopy z czerwonymi paznokciami znikwały i pojawiały się w kadrze.

Teraz usiadła. Kołysała się miękko w tył i w przód, a na jej ramiona padały kolorowe refleksy. Jedną dłoń opuściła nisko, drugą głaskała się po oczach, szyi i piersiach; wysunięty język zlizywał szminkę z warg, a oczy uciekały pod czaszkę ukazując śnieżyste białka...

Pomyślałem o Hermafrodzie. Była to rzecz dla specjalnych gości z wyjątkowo pełnym portfelem - kosztowna zabawka symulująca w męskich trzewiach damski typ Orgazmu. Urządzenie wylansowano przy pomocy krótkiego filmiku, w którego finale cudownie doświadczeni Hermafrodem panowie wychodzą na ulice w antyfeministycznych demonstracjach z hasłami na transparentach: "To łajdactwo żądać równouprawnienia, kiedy Natura obdarowała was tak obficie", "Więcej przyzwoitości", "Baby do garów", "Przyjemniaczki, wiemy o was wszystko - nie rodzicie za darmo" ... Fakt, Mumbi K mogła To mieć bez elektroniki, bez konieczności zakładania wchodzącego w skład wyposażenia Hermafrodu niewygodnego pasa, bez deprymujących elektrod - jednej długiej, cienkiej, podobnie jak w MasturbEluxie wprowadzanej z przodu, i drugiej, nieco grubszej, wsuwanej z tyłu - które wydzielały skomplikowane impulsy spotykające się gdzieś we wnętrznościach mężczyzny, dając mu owo egzotyczne, damskie Szczytowanie o plateau długim i wysokim jak łańcuch górski.

- Mój MasturbElux nie zapewniał takich efektów, ale także był cackiem godnym najwyższej uwagi. Kiedy nagle przekręciłem gałkę opóźniacza do zera, po ekraniku przebiegło trwające ułamek sekundy zakłócenie, Mumbi krzyknęła, kiwnęła przyzwalająco głową i zamknęła oczy z niewysłowionej Rozkoszy. Niemal równocześnie z falą ciepła raptem ogarniającego mi podbrzusze stało się i chwile trwało To, co zwykle staje się i chwilę trwa w takich wypadkach.

Po minucie, stojąc przed koniecznością rozłączenia kabli, demontażu całości i umycia ruchomej części urządzenia, demaskowałem z goryczą kłamstwo sloganu, który stylizowanym czerwonym napisem wykwitł na niebieskim ekranie "Kiedy dokonasz Tego już raz, na pewno zapragniesz Zabawić się po raz wtóry".

Zresztą, gdybym nawet chciał, nie mógłbym. Spod okna rozległ się ostry dźwięk sygnału VTT.

W reklamach zawsze nazywano ten dźwięk gongu miłym. Rozkosznym, delikatnym podobno zresztą specjaliści rzeczywiście optymalizowali jego ton trafiając nań dopiero po

długotrwałych strojeniach komputerowych. Teraz było to jedynie kłopotliwe i budzące dreszcz przywołanie do rzeczywistości. Miły dźwięk... trudno o określenie mniej trafne. Skrzynka VTT stała w rogu przy oknie, dokładnie po przekątnej telewizora. Telewizor i wszystko, co wokół niego, o wiec i kable, i skrzynka, i elektroda MasturbEluxa, a i ja wreszcie, znajdowały się w kadrze, który mógł mieć za chwilę przed oczami ewentualny rozmówca. Szklane, ślepe na razie oko obiektywu łypało na mnie z bezlitosnym chłodem znad ekranu VTT, na którym gasł i rozpalał się żółto-niebieski obraz ponaglenia w rytm towarzyszącego mu sygnału. Temu komuś po tamtej stronie najwyraźniej bardzo się śpieszyło.

Czyżby mimo wszelkich zakazów, obostrzeń i regulaminowych ograniczeń obowiązujących w strefie WODY-DRZEW-PTASZKÓW, była to Kay?... Tak błyskawicznie nie ruszałem się jeszcze nigdy w życiu. Kompromitujący sprzęt wylądował w przedpokoju. Jedno z czerwonych sygnalizacyjnych szkiełek wyleciało z werku odsłaniając dziurę ponurą jak oczodół. Kay co prawda nie korzystała nigdy z sygnału ponaglenia, ale teraz były inne okoliczności. Siadłem naprzeciwko VTT, poprawiłem włosy, uśmiechnąłem się do obiektywu i naciśnąłem klawisz odbioru.

To był mężczyzna.

Mężczyzna około pięćdziesiątki, drobny i chudy, z gniewną twarzą i łysą czaszką. Mierzył we mnie wskazującym palcem wyciągniętym tak blisko, że na moim ekranie palec ten znajdował się poza granicą ostrości i zasłaniał trochę twarz mężczyzny.

- Neut ulica Tropizmus 146, kwatera 77, numer VTT 77-74-461. Zgadza się? - Głos miał cienki, nieprzyjemnie zgrzytliwy. Minę człowieka obrażonego na cały świat.

Zdołałem tylko kiwnąć mu głową, a on bezwstydnie starał się spoglądać na mnie ze specjalną zjadliwą drwiną i pogardą.

No i czemu tak zwlekałeś z podejściem, co?... Dalej bawisz się w brudzenie chusteczek... chtoptasiu?

Musiałem się zaczerwienić. Było we mnie coś, jakaś miękkość, jakieś przyzwolenie, zdające się upoważniać tego faceta do wdeptywania mnie w beton. Postanowiłem tak czy owak sprzeciwić się temu.

- Panie - miał to być krzyk, ale nie wyszło - panie, nawet nie znam pana - zrobiłem gest jakbym chciał go wygasić, wstać od VTT i ruszyć do swoich spraw, ale coś mnie wstrzymywało. Racja, facet wspomniał o c h u s t e c z c e.

- Neut ulica Tropizmus 146, kwatera 77, numer VTT 77-74-461 - powtórzył z oczami w notesie i pokiwał głową. - Zgadza się, tak? Kumpel Deca, tak? Amator silnych wrażeń i picer do kwadratu, tak? Tego oczywiście nie poznajesz? - wyciągnął przed siebie obie ręce, w

których trzymał teraz kawałek białego materiału poplamionego na czerwono. - To kto tu z kogo robi idiotę?...

Miał na sobie szary sweter i siedział w zwyczajnym prywatnym mieszkaniu. Kite! Oczywiście, brakowało białego kitla, żebym mógł wszystkiego domyślić się wcześniej. Miał prawo być bez fartucha, była przecież niedziela.

- Pan jest biologiem, znajomym Deca?

- Jestem - zbagatelizował mój pojednawczy uśmiech - i nie mam czasu na głupstwa. Nie lubię także egzaltowanych kanciarzy... przyjdziecie odebrać tę szmatę, czy mam ją spuścić do zsypu - majtnął chusteczką gdzieś za siebie.

- Co pan wykrył właściwie... Nie rozumiem!

Tylko machnął ręką. Były w nim pokłady niezmierzonej pogardy. Spoglądał z dziką satysfakcją, jak gość, który zdemaskował oszusta i nie myśli pozwolić mu uciec. Raptem, ponieważ było to zbyt absurdalne, bym nie popatrywał na wszystko trochę z boku, jak na wydarzenie, które mnie nie dotyczy, uświadomiłem sobie, że tego faceta podnieca jego własna irytacja, której przyczyny nie mogłem na razie odgadnąć. On się w szczególny sposób bawił. Oszczędnie wydzielał sobie obelgi, którymi mnie obrzucał, wprost delectował się swoją pasją i moim zakłopotaniem. W gruncie rzeczy musiał być szczęśliwy, że go zirytowano. To taka dobra rozrywka na pustkę niedzielного wieczoru.

Obraz zgasł, było tak, jak gdyby on się wyłączył. Ale nie wydawało mi się to prawdopodobne. Po ekranie VTT przebiegło parę poziomych tęczyowych pasków, na chwilę mignął reklamowy golasek i zaraz potem znów włączył się sygnał ponaglenia. Po paru sekundach żółto-niebieskie kręgi wraz z towarzyszącym im tiit-tiit przeszły w wypełniający cały ekran i zupełnie przez to nieostry obraz dłoni zaciśniętej w pięść, zza której rozległ się podniesiony głos faceta.

- ... tam, nie przerywać, kiedy mówię - wrzeszczał. - Jeszcze nie skończyłem, palancie!

Zupełnie wbrew sobie zacząłem mu tłumaczyć, że to nie ja, tylko zakłócenia z Centrali. Że przecież ja także pragnę, żeby mówił dalej.

- Czyżby - zatrzymał się zdziwiony, a potem ni stad, ni zowąd zapytał zjadliwie, czy lubię kurczaki?

- Zależy kiedy - zdołałem wyjąkać - teraz wołałbym jednak dowie...

To rozsierdziło go ponownie.

- Nie udawaj pan durnia - zawołał. - Wypadek, krew, chusteczka, tajemnicza panienska... Nie stać cię było na nic więcej, tylko na kurzą krew rozcieńczoną słoną wodą. Trzeba

było zaczekać do pełni i pierwszej lepszej kurwie wpakować szmatę między nogi! Mikroskop, zwykły domowy mikroskop... Owalne krwinki... Kurczak, może gołąb. Kim ty jesteś, rzeźnikiem...

Zdołałem wyjąkać, że to niemożliwe, że sam widziałem.

- Co pan właściwie wykrył na tej chusteczce? - spytałem bezradnie.

- To, czym ją wysmarowałeś. Sam wiesz najlepiej!

- Nie wierzę - nagle przyszła mi do głowy myśl, która zdawała się wyjaśniać wszystko. - pan zwariował!

Wstał i krztusząc się począł gwałtownie wymachiwać rękami. Jego głowa zniknęła mi z kadru.

- Ty gnojku - wrzasnął wreszcie - ty błaznie... Ze mnie robisz sobie zabawę!

To nie zdarzało się prawie nigdy, ale zdarzyło się tym razem. Ekran zgasł ponownie, zajaśniał po chwili, lecz nie było już na nim chudego biologa. Dziewczyna o śniadej twarzy i pięknych oczach, ubrana po sama szyję, łagodnym głosem agitowała za korzystaniem z sieci VTT poza godzinami szczytu. Potem był już tylko ciemny ekran, nic więcej.

Spróbowałem połączyć się z reklamacją, ale nie uzyskałem połączenia. Numer Deca był zajęty... Nie przychodziła mi do głowy żadna mądra myśl, żadne wyjaśnienie. Facet wyglądał się. Ale po co? Dobrze, zwariował, tylko że Dec nie wyglądał na takiego, który zwraca się o poradę do wariatów. To rzeczywiście była kurza krew, a oni zostali zabici już wcześniej. Otruci? Może otruci, ale dlaczego? To niemożliwe - był przecież wypadek i był zdemolowany samochód, i była Policja. Ale nie było potem transmisji w Wiadomościach... Może zresztą była, tylko ja na drugi dzień ją przegapiłem. To wszystko nie znaczyło nic i nie układało się w nic, każdy następny pomysł był głupszy od poprzedniego. Myśl o tym, że ofiary mogły być mutantami. w których żyłach płynie kurza krew, wydała mi się niepoważna. Takie rzeczy zdarzają się w telewizyjnych bajkach dla dorosłych, ale nie w życiu... Do tego wyłączyli mi VTT, nikogo ani się zapytać, ani poradzić...

Wyłączyli mi VTT!

Ktoś biegł po schodach, zamiast skorzystać z windy, i zatrzymał się chyba na moim piętrze... Skoczyłem do drzwi wyjściowych potykając się w korytarzu o skrzynkę MasturbE-luxu. Położyłem dłoń na zasuwie i szarpnąłem, ale wewnątrz zamka coś zachrobotało i zasuwka nie ustąpiła. Walnąłem w zamek pięścią - z tym samym skutkiem. Przez wizjer widać było pustą klatkę schodową. Przyszła mi do głowy myśl już pomyślana i przyłapałem się na tym, że ją szepczę wyschniętymi wargami.

- W y ł ą c z y l i m i V T T . . .

Rozgarnąłem zasłony. Z balkonu rozpościerał się widok na senne osiedle. W większości okien paliły się już światła. Piętro niżej widziałem przewieszzone przez poręcz balkonu dłonie zamyślnego nad czymś faceta. W palcach trzymał jarzącego się papierosa. Na drodze dojazdowej stał policyjny Samochód, niebieska smuga świetlna omiatała łyse trawniki, liczne jeszcze płyty śniegu i asfaltowe alejki. Do mojej klatki schodowej wbiegało dwóch facetów w błyszczących kapeluszach i czarnych płaszczach. Nie było sensu krzyczeć.

Kiedy stanęli w wejściu, oparłem się tylko mocniej o framugę drzwi prowadzących do dużego pokoju. Wyższy z nich, duży blondyn o czerwonej twarzy, obracał w dłoniach misternie powyginany błyszczący pręcik i robił gesty, jakby wyciągnął go przed chwilą z zamka u moich drzwi.

- Prosta sztuczka, prawda, i człowiek nie może się ruszyć, dopóki my nie przyjdziemy - powiedział to miłym, ciepłym głosem, jak formułę powitania, a jego rozbiegane oczy omiatały wszystko dokoła.

Ten niższy niemal wepchnął go do środka. Miał wzrok skierowany tylko w jeden punkt. Patrzył na mnie.

- Tak, to ten gość, nie ma żadnych wątpliwości - zasapał. - Zabieraj się pan z nami, ale już!

Dopiero, kiedy się odezwał, poznałem w nim gadatliwego tłuszciocha, którego już widziałem wtedy przy MIEŚCIE.

ZMIANA STREF

“Postępowanie sądowe bowiem jest na ogół utrzymane w tajemnicy nie tylko przed publicznością, ale także przed oskarżonym. Naturalnie w granicach możliwości. ale jest to właśnie możliwe w bardzo szerokim zakresie. Także bowiem oskarżony nie ma wglądu w akta sądowe, a z przesłuchań wnioskować o aktach będących dla nich punktem wyjścia, jest bardzo trudno, zwłaszcza dla oskarżonego, który jest przecież zalękniony i ma wszelkiego rodzaju kłopoty utrudniające skupienie”.

Franz Kafka “Proces”

Byli metodyczni, ale jednocześnie uprzedzająco grzeczni. Leżący na podłodze MasturbElux nie spowodował żadnych, nawet najdrobniejszych komentarzy. Ten wyższy przypomniał mi o szaliku, ten drugi zapowiedział, że nie będzie źle, jeśli włożę na siebie świeżą bieliznę. Kiedy się przebierałem, wyższy chodził po całym mieszkaniu sprawdzając wszystkie krany i wyłączając światło. Następnie pozwolili mi samemu zjechać windą, a potem wyjść z bloku, jak gdyby nigdy nic, bez asysty. Sami poszli przodem i wsiedli do Wozu. Suka powoli ruszyła, miałem do niej wsiąść tuż za pierwszym skrzyżowaniem. Moje zniknięcie zaplanowano jako ciche - wręcz niewidoczne.

Nie próbowałem uciekać. Byli szybsi i było ich dwóch, a z kierowcą nawet trzech, i wiedzieli dokładnie, czego chcą. Nie pomyślałem też, żeby wołać u pomoc. Im taka możliwość również nie przychodziła do głowy. Gdyby przyszła - pewnie wyglądałoby to wszystko inaczej. Ale było tak, jak było.

Kierowca otworzył drzwi, wychylił się i podał mi pomocną dłoń. Wysoki z rumiana twarzą wyjął papierosy. Grubas, czułem to mimo panującego w wozie półmroku, oglądał mnie taksującym wzrokiem. Suka przyspieszyła. Kierowca wziął ostro dwa zakręty i znowu zapalił migotliwe niebieskie światełko, którego błyski wydobywały z mroku przód wozu i mijane budynki. Niemal jednocześnie dołączyło do tych migotań zawrozczenie syreny.

- Wie za co? - grubas warknął to cicho, niemal da siebie.

Jęki syreny docierały do wnętrza prawie nie stłumione i było tak, jakby w ogóle nie padło żadne pytanie. Sympatyczny blondyn wciągnął dym i dmuchnął nim w moja stronę. Miał na twarzy wyraz dobrotliwego zaciekawienia. Ten wyraz nie zginał z jego twarzy nawet

wtedy, kiedy wóz gwałtownie wszedł w zakręt, a jasnowłosa głową rzuciło mocno o metalową kratę.

Pokiwałem przecząco.

- Oni nigdy nie wiedzą - niemal z radością stwierdził blondyn i wyciągnął w moją stronę rękę z pudełkiem papierosów.

- Nie palę - powiedziałem. A potem sięgnąłem po papierosa. Palilem i nie palilem na przemian. Od czasu do czasu próbowałem się odzwyczaić; podobno palenie źle robi na Miłość.

- Zauważyłeś, oni zawsze w końcu zapalą - z uśmiechem zauważył blondyn, podając mi ogień.

Grubego już nie bawiły takie spostrzeżenia. Znudzony, patrzył w małe okienko. Jechaliśmy gdzieś w stronę Centrum. Za szybą przemykał zakratowany, przesłonięty kurzem, ruchomy skrawek miasta. Właściwie były to tylko światła, nieliczne kolorowe neony, ruchome świetlne plansze, krótkie eksplozje barwnych wystaw, okna wieżowców, świetlówki tuneli i światła dwóch, może trzech Aut, które wyprzedziliśmy. Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że może to być widok tak pociągający. Tak powabny.

Długi korytarz o sklepieniu roziskrzonym świetlówkami kończył się podziemnym garażem. To było do przewidzenia. W garażu śmierdziało spalinami, zaraz po nas wjechała w absolutnej ciszy druga suka podobna do tej, jaką przyjechaliśmy, i w chwilę potem ruszył do wyjścia, ale już na jazgotliwym sygnale, inny Wóz, także podobny jak dwie krople wody do naszego.

Jeden z trzech facetów w mundurach, pilnujących wjazdu, rzucił się przed wyjeżdżającą maszynę i zatrzymał ją szeroko rozpostartymi ramionami tuż przy samym wlocie do tunelu. Kierowca wychylił głowę i zaraz się schował. Syrena od razu ucichła.

- Zamkniesz swoją szczekaczkę, sukinsynu - wrzeszczał facet w mundurze i walił pięściami w karoserię Wozu. - Picować możesz palantom na mieście, nie tutaj... Tu się pracuje!

Maszyna ruszyła, wchłonął ją tunel. Dopiero po parunastu sekundach dochodzący z oddali stłumiony dźwięk sygnału świadczył, że kierowca odważył się włączyć syrenę ponownie.

Moi dwaj musieli trącić mnie w plecy.

- Szybciej, koleś - skinął blondyn i uśmiechnął się. W głębi garażu, za ostatnim rzędem filarów była ściana, a w niej kilkanaście wnęk. Każdej z tych wnęk pilnował facet w mundurze. Podeszliśmy do jednego z nich i moi konwojenci machnęli mu przed nosem plasti-

kowymi migaczami. To był ułamek sekundy, ale wydawało mi się, że grubas trzymał w migaczu zdjęcie zrobione przed kilkunastu laty. Twarz miał na tym zdjęciu szczupłą i wyglądał na znacznie młodszego.

Facet w mundurze skrzywił się i wskazał na mnie.

- A ten?

- Do Szefa pionu B, zmiana strefy - powiedział grubas. - Zdjęliśmy gościa w ostatniej chwili.

Facet w mundurze rozłożył bezradnie ręce. Gębę miał na pierwszy rzut oka stylową, twarz pociągłą, dopiero po chwili spostrzegano się, że w sumie wygląda głupkowato.

- Ja tam nic nie wiem. Mnie jest nie wolno...

- Słuchaj pan - teraz blondyn zrobił krok do przodu. - Znasz mnie pan, ja wiem, siedem lat. A jego - wskazał na grubego - ze dwa razy dłużej. I zawsze, kiedy nie trzeba, robisz nam pan takie numery. Nie wystarczy powiedzieć, jak człowiekowi...

- Kiedy bez migacza nie mogę. Cholera wie, co za jeden.

- Panie... - warknął grubas z groźbą w głosie.

Rozległo się ciche psyknięcie, po nim delikatny gong i stalowe drzwi windy rozsunęły się bezszelestnie. Blondyn z wyrazem twarzy miłszym od któregośkolwiek z tych, które już znałem, wykonał miękki i stanowczy ruch dłonią. Strażnik znalazł się pod ścianą. Droga do windy była wolna.

- Bywaj, sieroto - sapnął grubas.

Strażnik patrzył za nami bez protestów. Nie wyglądał ani na zaskoczonego, ani na obrażonego.

- Zmiana strefy, to lubi czasem boleć - mamrotał do siebie.

- W końcu się doigra, przesuną go do C i pozostanie mu tylko powiesić się albo skoczyć z okna - dobrotliwie zauważył blondyn, naciskając przycisk z cyferką osiem.

Było tych przycisków cztery rzędy po dziesięć. Kiedy drzwi zamknęły się niemal całkowicie, przez wąską szparę zobaczyłem zbliżających się do sąsiedniej wnęki dwu zwałistych goryli. Między nimi dreptał, robiąc krótkie nerwowe kroczki, drobny chudy facecik z kostycznym wyrazem twarzy i łysą czaszką.

Próbowałem sobie wyobrazić Szefa pionu B. Wyszliśmy z windy, pokonując bezszelestnie dziesiątki metrów korytarza pokrytego szarą i miękką wykładziną, skąpanego w sztucznym oświetleniu, a ja wciąż starałem się wywołać w mej wyobraźni wygląd Szefa pionu B. Każde drzwi mogły być drzwiami do jego gabinetu, każda z mijanych kobiet ubranych

w identyczne brązowe żakieciki ze spódnickami poza kolana mogła być jego sekretarką. Każdy idący nam naprzeciw korytarzem i wyprzedzający nas facet w szarym garniturze i wzorzystym krawacie mógł być Szefem pionu B. Ale żaden nie był.

Korytarz skręcił w prawo, potem jeszcze raz w prawo; kończył się ślepo drzwiami takimi samymi jak wszystkie inne. Grubas włożył kluczyk do zamka, drzwi odskoczyły jak na sprężynie, grubas puścił mnie przodem, a blondyn zdążył jeszcze krzyknąć, żebym się rozgościł i nie myślał za dużo o żonie. Zrobiłem krok, potem drugi. Drzwi zatrzasnęły się za moimi plecami.

Bytem sam.

Na środku pokoju stał stół, a pod ścianą regał, taki sam jak u sąsiada, jak u mnie, jak w setkach mieszkań w naszym bloku. Tyle tylko, że regał był pusty. Brakowało okna, u sufitu wisiała rama świetlówek. Pod przeciwległą ścianą pokrytą starymi plakatami zainstalowano telewizor. Był to taki sam typ jak u Deca, a jeden z plakatów ze ściany przypominał do złudzenia jeden z tych, jakie miałem u siebie. Inne były podobne. Identycznie z kanapą - stała, tak jak powinna stać, naprzeciwko telewizora w jednym rogu i VTT w drugim. Przy pomocy sprzętu, jaki tu wpakowano, można było ten pokój umeblować na parę jeszcze sposobów, ale ten wydawał się optymalny, dlaczegóż więc mieliby z niego nie skorzystać.

Na stole czekał termos. Otworzyłem go i poczułem zapach świeżej i gorącej jeszcze kawy. Obok stała filiżanka.

Smak tej kawy dorównywał jej zapachowi. Wypiłem drugą filiżankę, rozsiadłem się wygodnie na kanapie i zacząłem czekać.

W myślach pisałem list do Kay. To był długi list i pojawiło się w nim ogromnie dużo nowych wątków niezwykle ciekawych jak na banalne życie, które dotychczas prowadziłem. Pomyślałem, że gdyby kiedykolwiek udało mi się napisać ten list, a Kay odebrać go i przeczytać, to pewnie zrozumiałaby z niego równie niewiele, jak i ja rozumiałem niewiele z tego, co mi się przydarzyło.

Ale kiedy począłem myśleć o jej zachowaniu w ciągu ostatnich dni, przyszło mi do głowy, że nawet to nie jest pewne. Że Kay mogłaby zrozumieć z tego, co się stało, znacznie więcej niż ja.

Telewizor nie działał. VTT na przemian albo był zajęty, albo stylowa panienska rutynowym głosem namawiała abonentów do korzystania z linii poza godzinami szczytu. Musiało być już dobrze poza szczytem, ale panience było i tak wszystko jedno, a ci, którzy pod-

łączyli kasetę z jej nagraniem do tego akurat aparatu w tym akurat pokoju, musieli mieć szczególne poczucie humoru.

W łazience nie wisiał ani kawałek ręcznika. Zresztą nie robiło to żadnej różnicy, bowiem z kranów nie leciała woda. Gdyby leciała, mógłbym od biedy wytrzeć się szalikiem, a tak nadawał się najwyżej do tego, żeby się na nim powiesić. To oczywiście był kiepski pomysł i jeśli nawet oni założyli, że nie byłoby źle, gdyby to właśnie przyszło mi do głowy, postanowiłem zrobić im zawód.

Ciekawe, o czym myśli i co robi SzeF pionu B o godzinie trzeciej nad ranem. Ciekawe, po co mnie tu trzyma i na co liczy. W pokoju panowała absolutna cisza. Z dwudziestominutową regularnością, której mogłem przestrzegać dzięki naręcznemu zegarkowi, i która wprowadzała jakiś ład w moje oczekiwanie, podchodziłem do VTT. Koło piątej przyłapałem się na próbie nawiązania dialogu z panią z Centrali. Oczywiście nic mi nie odpowiedziała, ale nie była również zdziwiona. Pomyślałem, że dobrze byłoby mieć ją rozebraną na innej kasecie i posunąć parę razy przy pomocy MasturbEluxu w wariacie SadoMacho z baciem i łańcuchami.

Albo jeszcze lepiej - w naturze. Fakt, że nie była niczemu winna, nie oglądała mnie na oczy i w ogóle najprawdopodobniej nie miała o niczym pojęcia, niczego tu nie zmieniała.

Powiedziałem głośno i wyraźnie: - Pocałujcie mnie wszyscy w dupę!

A potem nasłuchiwałem z nadzieją, że ktoś się pojawi i powie, co będzie dalej. Ale oni mieli albo bardzo dobre nerwy, albo bardzo złe urządzenia podsłuchowe, albo niesamowicie mocny sen. Nie zjawił się nikt.

Wtedy wykrzyczałem wszystkie przekleństwa z całego życia, jakie tylko udało mi się usłyszeć i wymyślać samemu, oraz te, jakie przyszły mi do głowy teraz. Były to słowa i przekleństwa, od których drżą wargi, a człowieka ogarnia wstyd i przerażenie.

Krzyczałem sam do siebie.

Leżałem na kanapie i nie mogłem zasnąć. Numer z kawą był dobrym pomysłem i postanowiłem, że nigdy więcej nie dam się na niego nabrać. O ile, rzecz jasna, dadzą mi jeszcze okazję.

Była godzina dziesiąta rano, ale w najbliższym otoczeniu nie zmieniało się nic poza świetlistymi cyferkami na moim zegarku.

Oczywiście dostrzegałem i różnice. Rama ze świetlówkami podwieszona u sufitu,

taka, jakie sprzedają instytucjom, standardowa, zakurzona, bez wdzięku, nie umywała się nawet do tej, jaką miałem w mieszkaniu. Poza tym nie wiedziałem, jak ją wyłączyć, w ścianie nie było żadnego wyłącznika. Regał nie zawierał części z szafą, tej, w której u nas wieszaliśmy moje koszule i sukienki Kay. W ogóle wykładzina regału była jaśniejsza, bez gustu.

Wstałem z kanapy, podskoczyłem i udało mi się dotknąć sufitu całą dłonią. Jasna sprawa - pokój był niższy. Aż się zasapałem od tego chwilowego wysiłku.

Tynk miał kolor jasnożółty. U mnie - biały. Okładzina telewizora imitowała drewno, dla naszego aparatu Kay wybrała gustowną obudowę z czerwonego plastiku.

Pokój wydawał się ciasny, mały, czułem, że mnie przygniata. Oczywiście - to przez ten sufit. Kanapa także była za krótka.

Spróbowałem dać szansę im i sobie. Zamknąłem się w łazience i czekałem. Minęło dziesięć minut, potem piętnaście, potem pół godziny. Siedziałem w spodniach na opuszczonej klapie sedesu i oglądałem własne stopy. Mogli w tym czasie bezszelestnie wejść do pokoju, zamienić termos na pełny; mogli postawić talerz z kanapkami, zawiniątko z hot-dogiem albo miskę pełną zwykłej zupy.

Kiedy po trzydziestu siedmiu minutach wróciłem do pokoju, dłużej nie mogłem wytrzymać, termos i filiżanka leżały na swoich miejscach. Nie ruszyli niczego, nie pojawiły się na stole żadne nowe przedmioty. Wszystko wyglądało tak jak przedtem.

Pisałem do Kay list obrazowo, bez stów. Wszystko zjawiało się w nim nie po kolei i zachodziło na siebie. Dec potrząsał mną i krzyczał, b ł a ż n i e. Wysoki blondyn w samym tylko czarnym kapeluszu tańczył z Mumbi K. Kostyczny łysek pytał mnie, czy lubię kurczaki, pozerając piękną nagą kobietę w miniaturze.

Ta kobieta to była Kay.

Obudził mnie strach i głód. Spałem wszystkiego pół godziny. Piekł mnie oczy, uszyło pragnienie. Cisza dzwoniła w uszach. Stały, choć ledwo uchwytny ból ogarniał mi lewą część klatki piersiowej. Mózg stał się lekką, świetlistą substancją - fosforyczny obłoczek powoli wirując najwyraźniej czynił przygotowania do opuszczenia mej głowy.

Parę minut po dziewiętnastej drzwi otworzyły się bezszelestnie. Uznali, że dojrzałem, i mieli racje.

Twarz była nowa, funkcja najpewniej ta sama. Długie, grubokościste chłopisko o małych oczkach i dłoniach wielkich jak łapy ładownika spoglądało na mnie z wysokości. Przez

lewe ramię miał przewieszony czarny skórzany płaszcz, w prawej dłoni trzymał kapelusik. Wyszedłem i zachwiałem się, a on kazał mi wrócić i zgasić światło.

Wyłącznik spostrzegłem dopiero teraz, znajdował się tuż przy futrynie. Już miałem zatrzasać drzwi, kiedy spytał, czy umyłem termos i filiżankę. Nie umyłem, więc musiałem wrócić jeszcze raz, tym razem woda była w kranach. Wychodząc pamiętałem o świetle, a on nie wymyślił już niczego nowego. Pokazał mi drzwi kilka kroków dalej, kazał czekać i nie próbował mnie wychowywać kiedy oparłem się o ścianę. Nie zrobił tego po prostu dlatego, że chwilę wcześniej odszedł szybkim krokiem w stronę windy.

Drzwi były bez wizytówki, sam numer 802 wygrawerowany na nikłowej tabliczce mówił mi mało. Chyba że chodziło o ósme piętro i... o drugą literę alfabetu. Szef pionu B? Ale to było po pierwsze zbyt proste, a po drugie wyjaśniało niewiele. Korytarzem przechodziły kobiety i mężczyźni nie zwracając na mnie uwagi. Tuż przed dziewiętnastą dwadzieścia panienka w brązowym żakiecie wychyliła głowę z pokoju i poprosiła, bym wszedł do środka.

Od biurka podniósł się dystyngowany mężczyzna o śniadej cerze i ciemnych włosach. Miał nie więcej niż sześćdziesiątkę, jego dokładnie wygolone policzki rozsiewały wokół rozkoszne wonie znakomitych kosmetyków, co natychmiast mi przypomniało o moim dwudziestoparogodzinnym zaroście i całodziennym braku toalety. Facet trzymał się znakomicie, uśmiechając się jeszcze rozkoszniej niż wyższy z konwojentów, robił zapraszający gest, bym usiadł na krześle przed biurkiem. W tym zaproszeniu, w ruchach jego rąk tkwiły subtelne sygnały, że zauważa mój niestosowny wygląd, ale mi go wybacza. Była to ironia w wyższym stylu, ironia bez słów; naprawdę trzeba wielu godzin treningu, żeby dojść do takiej perfekcji. Jego sekretarka przyglądała mi się w milczeniu znad maszyny do pisania.

Obok biurka stał BarwoMobil, model tej samej wielkości i tego samego typu jak u Deca. Ten widok sprawił, że zacząłem poważać gościa trochę mniej, ale on zadziwił mnie znowu.

- Na pewno napije się pan kawy?

W pierwszej chwili pomyślałem, że się przesłyszałem, lecz nie okazałem tego po sobie. Zresztą po nie przespanej nocy nie była to dla mnie propozycja najgorsza z możliwych, a oni byli już przygotowani. Dziewczyna wręczyła mi filiżankę, musiałem postawić ją na kolanach. Mieszając kawę spostrzegłem, jak bardzo drżą mi dłonie.

Patrzył na mnie łagodnie, niespiesznie przekładając leżące na biurku papiery i spoglądając na ekranik wbudowanej w biurko końcówki komputera. Obok na ścianie, po jego prawej ręce wisiała duża plansza szachowa; widać, jakiś hobbysta. Za nim było okno, nad jego

głową widziałem ciemne wieczorne niebo.

- Neut, Tropizmus 146? - zapytał z uśmiechem.

- Tak jest - uniosłem się i niemal cała kawa poleciała na spodnie.

- Ooooch... - zakłopotany jakby w moim imieniu, wezwał sekretarkę. Błyskawicznie podała mi drugą filiżankę. - Proszę, niech pan nie wstaje - zwrócił się do mnie. - Naprawdę nie trzeba. Plama... na cóż... - zdawał się być bardzo zasmucony tym, co się wydarzyło.

Sekretarka przykucnęła przy mnie, psiknęła na plamę jakimś wonnym aerozolem i zaczęła nacierać materiał na udzie i kolanie ściereczką zmoczona w ciepłej wodzie. Woda, już letnia, ściekała mi po łydce do buta.

- Mam tu informację, że marzy pan o wizycie w STARYM MIESCIE... to da się zrobić.

Oślupiałem. Sekretarka podniosła głowę znad moich kolan. Jej oczy mówiły - człowieku, jesteś szczęściarzem, trafiłeś na dobry humor szefa.

- Jutro panu odpowiada?

Oprzytomniałem. Miałem gardło wyścielone wiórami, język ze słodzonej gumy, głowę wypełnioną świetlistą galaretką, ale oprzytomniałem.

- Ja pracuję - powiedziałem. - Mógłbym tylko w niedzielę.

Kiwnął głową z uznaniem. Spojrzał w stronę sekretarki, jakby dając jej mnie za przykład. Miała ładną twarz, teraz kiedy wstała, widziałem to wyraźniej, niezłą figurę i na konto tej ludnej twarzy i niezłej figury musiała mu się spóźniać albo zrywać przed czasem.

- Nie pójdzie pan do pracy ani jutro, ani pojutrze - z tonu wynikało, że sprawę postanowiono już wcześniej. - W ogóle nie pójdzie pan do pracy do końca tygodnia. Na MIASTO dają panu dziesięć godzin.

Patrzyłem na ciemne niebo za jego plecami. W rodzinnej atmosferze robił ze mną, co chciał, bo widocznie mógł to robić, ale jednocześnie płacił mi wysoka cenę za coś, co wiedziałem, ale czego nie powinienem wiedzieć i co wpadło mi w ręce przypadkiem. Tylko że ja nie do końca wiedziałem, co to było. W sytuacji, w której się znalazłem, myśl, jaka przyszła mi do głowy, była niemal szaleństwem, ale jednak pomyślałem, że gdybym znalazł na niego sposób, musiałby zapłacić mi więcej.

- Wystarczy? - było to, rzecz jasno, pytanie retoryczne.

- Tak, oczywiście.

Mógł mieć za sobą dziesiątki takich rozmów. Ja byłem debiutantem.

Złożył papiery i wyłączył ekranik. Skinął na sekretarkę, żeby odebrała pustą filiżankę.

- Wraca pan do siebie. Jutro rano ktoś wpadnie do pana i zabierze do MIASTA.

Zatrzymał mnie jeszcze, kiedy byłem w drzwiach.

- I proszę pamiętać: żadnych głupstw, żadnych rozmów, żadnych zwierzeń. Nie jest pan dzieckiem. Poza tym ma pan przecież bliskich.

To zadziwiające, jak. umiał kierować swoją twarzą, uśmiech zniknął z niej bez śladu. Nie wytrzymałem twardego spojrzenia, oczy uciekły mi w bok, ale dzięki temu spostrzegłem, że przystojna sekretarka naśladuje swojego zwierzchnika.

Nie znałem zbyt dobrze tej części miasta. Ulice i chodniki były wymiecione do czysta, na rogach ulic stały znaki zakazu wjazdu dla rowerzystów. Budynki były tu niższe, nie więcej niż czteropiętrowe. Schludna, niezłe oświetlona, elegancka dzielnica z trawnikami, które wkrótce powinny zacząć się zielenić, o nawet z wyrosniętymi drzewkami posadzonymi wzdłuż chodników. Ulice oznakowane były jako trakcje szybkiego ruchu, ale i tak samochodów, podobnie jak gdzie indziej, przejeżdżało tu bardzo niewiele.

Za sobą miałem górujący nad całą okolicą czterdziestopiętrowy wieżowiec wyłożony ciemnoszarymi, niemal czarnymi i połyskliwymi płytkami. Przed sobą chodnik, tradycyjny nieruchomy chodnik z betonowych prostokątów. Przechodzili po nim elegancko ubrani mężczyźni i kobiety, lecz nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Obejrzałem się, wejście do budynku wyglądało niewinnie, nikt go nie pilnował, przy drzwiach złociła się podświetlona od dołu metalowa płyta z czarnymi literami. Odszedłem jednak już zbyt daleko, by napis przeczytać, a za żadną cenę nie chciałem wracać.

W prawo ulica krzyżowała się z węższą przecznicą, za małym skrzyżowaniem dostrzegłem neon kina AdoniSuper. Było to wytworne kino porno dla pedałów... Znajdowałem się więc daleko poza Centrum, na południu miasta w dzielnicy willowej. A skoro tak, napis na płycie, którego nie zdążyłem odczytać, anonsował z pewnością Ośrodek AgroMeteoFlory zwany skrótowo Zieleniakiem. Trudno było w tej sytuacji nie zacząć rozmyślać nad tym, co też naprawdę kryje się we wnętrzu wieżowców Cebuli i Sałaty.

Ostatnia porcja kawy zaczynała działać, a mimo to senność i zmęczenie wgniatały mnie w chodnik. Potrąciłem już parę osób. Wysoki mężczyzna, na którego wpadłem, i musiałem się oprzeć o niego obiema rękami, najwyraźniej chciał mi przyłożyć, lecz spostrzegając nagle dużą wilgotną plamę na moich spodniach, odskoczył ze wstrętem. To plama nie spodobała się także wiotkim, delikatnym cherubinkom stojącym pod kinem. Poubierani w kolorowe wdzianka pokazywali mi palcami pokrzykując do siebie piskliwymi głosikami. Na zdjęciach w rzęsście oświetlonych kinowych gablotach faceci tacy sami jak oni, tyle że

nadzy, kłębili się po pięciu, po sześciu na błękitnych prześcieradłach.

Był wieczór. Zawsze w takie wieczory siadywaliśmy razem z Kay przed telewizorem, ona przeglądała magazyny, a ja opowiadałem jej o filmach, które kiedyś nakręcę. Dwa, trzy lata temu jeździliśmy jeszcze na rowerach i robilibyśmy to nadal, gdyby nie fakt, że Kay się męczyła tak szybko. Czasem, ale rzadko, bo złowienie biletów było rzeczą bardzo trudną, szliśmy razem do kina, i z Kay nigdy nie czułem się pad żadnym kinem ani w żadnym innym punkcie miasta tak samotny jak tu, pośróđ tej krzykliwej zbieraniny.

Neut, powiedziałem sobie, Neut, chłopie, pieprz to wszystko, za kilkadziesiąt godzin zobaczysz MIASTO, powinieneś skakać do góry ze szczęścia. Ale tak naprawdę nie potrafiłem znaleźć w sobie ani odrobiny radosnego uniesienia i czułem, że gdybym nawet położył się od razu do łóżka, to mimo ogarniającej mnie falami senności, nie zasnąłbym przez kilka najbliższych godzin.

NOC

“(...) mimo stanu oskarżenia jest pan traktowany za dobrze, albo, lepiej się wyraziwszy, za pobłażliwie, pozornie pobłażliwie.”

Franz Kafka “Proces”

Po kwadransie wiedziałem, że mnie śledzą. Kilka metrów za moimi plecami jakiś mężczyzna wpadł na jędzowata babę, ta wyrzucała z siebie jeszcze krzykliwe pretensje, kiedy on już przyspieszał, potrącając przechodniów niemal biegł w tę samą stronę, w którą ja wlokłem się na podobieństwo pijanego. Raptownie stanąłem. Facet stanął także i począł z zainteresowaniem oglądać pierwszą z brzegu wystawę, mimo że jeszcze przed sekundą wyglądał na offermę, która goni za kapeluszem porwanym przez wiatr.

Chwilowo nie stracił jeszcze kapelusza, miał go na głowie. I kapelusz, i czarny, modnie skrojony krótki skórzany płaszczyk błyszczały, podobnie jak parę innych znanych mi już płaszczy i kapeluszy. Ale jego oczy, które ujrzałem na chwilę, i jego młoda twarz odbita mgliście w wystawowej szybie, i jego nieśmiałe gesty nie należały do łowcy ludzi, których widok mrozi krew w żyłach tym wszystkim, którym on depcze po piętach. Był jak łagodna przyjacielska przestroga, szedł za mną nie po to, żeby przestraszyć, ale żeby przypomnieć o obowiązku dyskrecji. Przypominał mi kogoś - mógłby być młodszym naiwnym bratem blondwłosego konwojenta, takim wyrośniętym szczeniakiem, który zupełnie nie zna życia... Więc tak wyglądał kolejny ojcowski numer Szefa pionu B po raptownym porwaniu, sztuczkach z kawą, po dwudziestoparogodzinnej kwarantannie i po obietnicy wpuszczenia do MIASTA. Zasalutowałem w stronę młodzika, a chłopak skurczył się niemal ze wstydu pod wytwornym odzieniem. Musiał też poczerwieniec jak panienka. Takie numery szybciej stawiają mnie na nogi niż trzy filiżanki kawy, niż zastrzyk w udo, niż łyknięta na pusty żołądek garść podniecających pastylek.

Smakował mi spacer. Oddychałem wolnością i zakłopotaniem tego tam z tyłu. Wilgotna plama zniknęła z kolana, kompromitujący zarost musiał być teraz po zapadnięciu zmroku mało widoczny. Na tym zmroku skorzystały także ulice - brzydkie za dnia, rozświetlone teraz kolorowymi krzykliwymi reklamami wyglądały kusząco. Brakowało tylko Kay.

Z jaskrawo iluminowanego pawilonu, do którego zbliżałem się krokiem coraz bardziej sprężystym, wyprysnął wśród krzyków i przekleństw dobywających się ze środka mały niezdamny mężczyzna. Biegł, umykając, prosto na mnie, więc pomyślałem, że może dostał po-

strzał w nogę. W oczach nadbiegającego widziałem przestracz i ból, on zbliżał się do mnie z każdym krokiem ciężko dysząc, zrywał z szyi płachtę białego materiału, połowę jego twarzy pokrywała jakaś biała substancja. Ta scena była jak odległe echo innej sceny, która niedawno przeżyłem, i której nie wygoniłem przecież z pamięci. Umykający mężczyzna przebiegł obok, zostawiając po sobie rozedrgane powietrze o zapachu taniej wody kolońskiej.

Odwrociłem głowę. Mój stróż z trudem się powstrzymał, by nie zatrzymać uciekiniera. Dwie roboty to nie jedna, a on miał i ze mną wystarczającą ilość zachodu. Zbieg, odbijając się od przechodniów, wsiąkł w półmrok, wpadł do jakiejś bramy, zniknął w tunelu metra, przepadł w nocnym tłumie przechadzającym się po ulicach.

W rzęście oświetlonym pawilonie, wśród luster i głębokich foteli, między stojakami z kolorowymi magazynami i rozstawioną w olbrzymiej sali co najmniej dziesiątką małych kolorowych telewizorów, krzatali się mężczyźni w białych fartuchach, a inni mężczyźni z białymi kawałkami materii podwiązanymi pod brodą poddawali się cierpliwie zabiegom brzytwy i nożyczek. Teraz widoczne były w salonie ślady niewygasłego jeszcze ożywienia, niemal wszystkie spojrzenia kierowały się w stronę wejścia, w którym stał ciężko sapiąc wysoki mężczyzna w białym fartuchu z dużym brzuchem i czerwoną gębą.

Dotknąłem ręką brody, to było odruchowe, on zauważył ten gest i uśmiech przyzwolenia także; niemal porwał mnie w locie na jeden z foteli. Naprzeciwko miałem pociemniałą twarz z wpadniętymi policzkami. Dwudniowy zarost połyskiwał złotawo, za tą twarzą kłębiło się roziskrzone wnętrze salonu. Zaraz potem przesłoniła mi oczy biała płachta, poczułem ucisk na szyi i gdzieś na karku upychanie szorstkiego materiału grubymi gorącymi paluchami. Głowa na śnieżystym torsie wyglądała teraz jak obce ciało, jak ptasi łepiek przeznaczony do ścięcia. Puściłem dziarsko oka do lustra, a moje wymizerowane odbicie odpowiedziało mi tym samym, tyle że zupełnie bez uśmiechu.

- Golenie - powiedziałem, głos zabrzmiał pewnie i dźwięcznie.

W głębi lustra widziałem mojego stróża z urzędu, który uspokojony, zaciągnął się papierosem.

- Co tu jest grane, jak słowo, mieliście zamach czy co?

- Ten sukinsyn, panie, ten mały sukinsyn - zasapał grubas - musiał go pan jeszcze widzieć...

- Kulawy, który przed chwilą wybiegł?

- ...Panie, goliłem go jak pana, siedział tutaj i nagle ja widzę, że on, panie, że on jest dziwnie podniecony. Kołysał się jakoś i oddychał coraz głośniejszym, i gmerał rękami pod rączni-

kiem - spojrzał na mnie podejrzliwie, jakby dziwna przygoda miała się jeszcze powtórzyć.

Sapiąc ostrzył brzytwę na skórzanym pasku. Paru mężczyzn obok patrzyło w jego stronę z zaciekawieniem. Widać nie wszystko było jasne także dla nich.

- I co?

- I, panie, nic, po prostu ulżył sobie. Patrz pan - wskazał ręką na leżący na ziemi ręcznik z wilgotną plamą pośrodku. Właśnie biegł posługacz, by go sprzątnąć. - Facet wytrzepał się pod ręcznikiem... Pan rozumie? A ja miałem w ręku brzytwę, całe szczęście, że od razu rzuciłem ją na podłogę i dopiero potem dałem mu po łbie. Zresztą może ta brzytwa rajcowała go najbardziej... pan ma do tego głowę?

Poprosiłem o szklankę wody prosto z kranu. Piłem długimi łykami, nie mogąc uwolnić się od wrażenia, że zawieruszył się do szklanki mały kawałek mydła, ale mimo to ta woda dobrze gasiła pragnienie.

- Pedał czy co - zastanawiał się grubas, pracując pędzlem przy mojej twarzy. Sprawa nie dawała mu spokoju. - Ale, panie, czy ja mogę spodobać się pedałowi? Śmieszne, co innego jakiejś przyzwoitej babeczce, nie powiem. Słyszałem, że oni to wolą takich więcej delikatnych.

Kątem oka dostrzegłem obraz na ekraniku tuż obok.

- Trzeba się było faceta zapytać, miałby pan jasność.

- Jak dostał w kark - pokazał brzytwą w stronę drzwi - poleciał na mordę tam, na to krzeselko. Wstał, ale już nie biegł tak szybko. Przedtem nie utykał.

- Ale zapiąć się zdążył - krzyknął kolega golibrody pracujący przy sąsiednim kliencie.

- Może schować, ale żeby...

Już nie słyszałem ich żartów. Mały temperamentny facecik z przetrąconą nogą nie był pedałem. Obok na ekraniku leciał serial Pornosu, jeden z tych rozpowszechnianych w zamkniętej sieci przewodowej. Golibroda zajęty robotą nie zwrócił na to uwagi. Pokazywali tam dobrą jasnówłosą dziewczynę o różowym zadku i wielkich piersiach; dwóch czarnuchów obrabiało ją od pewnego czasu z pomysłowością i wprawą, że lepiej nie można. Jakiś ból, jakies fatalne niespełnienie poczęto mi drażnić wnętrzości. Siłą hamowałem przyspieszony oddech - trzeźwiła mnie myśl o brzytwie, która mogła być tym razem użyta.

Myślałem, że przynajmniej w metrze będę miał spokój, ale zjechał za mną także do metra. Miałem stąd bezpośrednio połączenie z moją dzielnicą, czterdzieści minut jazdy, sześć przystanków, wysiadam na przystanku końcowym, koniec, kropka - powinni mu o tym powiedzieć. Nic z tego. W odległości kilkunastu metrów wpakował się za mną na ruchome

schody, zjeżdżał smutny ze zwieszoną głową; kiedy przypadkiem pochwyciłem jego spojrzenie, w młodych oczach był teraz tylko żal do świata.

Czego żałował? Że musi robić to, co robi, czy może tego, że pilnowanie mnie jest tak nieciekawe i on wolałby biec w tłum i ścigać się z małym kulawym onanistą. Tylko czy tamto zajęcie mogło satysfakcjonować kogokolwiek? W ogóle wszystko to układa się bez sensu, gdyby miał odrobinę rozumu, już dawno wysłałby sygnał do AgroMeteoFlory albo jakiejś innej Centrali z prośbą o przysłanie sprytniejszego zmiennika, którego twarzy bym nie znał. Przez chwilę chciałem nawet podejść i poradzić mu coś takiego, obiecać, że ja w tym czasie zaczekam i nie ucieknę, ale po namyśle dałem spokój.

Na peronie stały zaledwie cztery osoby. Kolejka także była prawie pusta. W rogu przedziału siedziały tylko dwie modne dziewczyny w połyskliwych i obcisłych wdziankach-kombinezonach z imitującego skórę tworzywa, z rozrzuconymi nieregularnie zamkami błyskawicznymi i łątkami z przezroczystego skaju, który odsłaniał skrawki ciała pięknie opalonego pod kwarcówką. Wyglądały niemal identycznie - tlenione włosy ułożone w ostatni krzyk mody damskiej AfroAlbino, srebrzyste powieki, grubo wymalowane policzki, szpiczaste kolana podniesione do góry, niemal pod brodę, czerwone buciki na zawrotnie wysokich obcasach. Było coś wspólnego we wszystkich tych twarzach i sylwetkach wiernych modzie. Jakieś zatracenie się w kolejnych pomysłach projektantów, ciągła gotowość do przebieranki, do zmiany, może i do miłości w każdej chwili i z każdym. Właściwie brakowało mi tego u Kay. Kay była stonowana, zawsze pół roku albo i rok za obowiązującym stylem stroju, makijażu, uczesania; wyścigi mody zdawały się nie sprawiać jej przyjemności. Była wystarczająco ładna, nawet piękna, mogła więc pozwolić sobie na pewną opieszałość. Ale o ileż przyjemniej byłoby zobaczyć ją ubraną, tak jak te dwie w rogu przedziału. I o ileż bardziej niebezpiecznie.

Stróż nasłany przez tych z AMF, podobnie jak ja, nie był z betonu. Zamiast zostać na pomoście, jak wymagałyby tego elementarne reguły gry, ujawnił się całkowicie. Z odsłoniętą twarzą przeszedł obok, minął mnie i usiadł tak, by móc zza moich pleców popatrywać na obie panienki. One chichotały, więc pomyślałem, że śmieją się ze mnie. Ale nie, patrzyły na niego, już po chwili prowokacyjnie pokazywały go sobie palcami, miał przecież i młodą gębę, i zgrabną figurę; fakt, że był tajniakiem, zupełnie ich nie przerażał. Dziewczyny takie, jak one, nie boją się nikogo i zawstydzą każdego. Na dobrą sprawę nie pozostawało chłopakowi nic innego, jak tylko zjeżdżać z powrotem na pomost albo się powiesić z żalu, że musi mnie pilnować. Odwróciłem głowę i zajrzałem mu w oczy - gówniarz uśmiechał się do dziewczyn głupkowato.

Minęliśmy już dwa przystanki i nikt nie wsiadał ani nie wysiadał. Perony były puste i

z powodu oświetlenia jakąś zmniejszoną ilością punktów świetlnych pograżone w półmroku. Stukot kół odbijał się we wnętrzu dźwiękiem niedociążonego metalowego pudła, wagony wchodziły w kolejne zakręty szeroko rozkołysane i nasze głowy chygotały się w rytm tego kołysania. Wrażenie cholernej, niesamowitej wprost pustki pogłębiało się z każdą chwilą - ten wagon metra zaczynał być jak widmo. Przypuszczenie, że pozostali mieszkańcy, poza dziewczynami, mną i tajniakiem, przyjmowani są właśnie przez Szefa pionu B i przez innych Szefów innych pionów, było na swój sposób dowcipnym wyjaśnieniem, ale zaraz przypomniałem sobie o pełnych ulicach. Tu musiało chodzić o coś innego.

Na czwartym przystanku mignęła za oknem niebezpiecznie blisko twarz dystygowanego faceta w średnim wieku z kompletnie siwą głową. Zwróciłem na niego uwagę, bowiem wydał mi się pijany i tylko cudem nie uderzył o ścianę wagonu. Ruszyliśmy, kolejka jeszcze się rozpędzała, kiedy trzasnęły drzwi od sąsiedniego przedziału i facet rzeczywiście pijany jak bela, wtoczył się do naszego składu. Rozejrzał się po przedziale półprzytomnym wzrokiem, uśmiechnął się, czknał, po czym niewiele myśląc klapnął naprzeciwko dwu wyzywających piękności. Usiadł tyłem, tak że nie widziałem twarzy, lecz tylko czubek jego siwej głowy.

Wcale nie od razu zaczęło się od awantury. Dziewczyny się ożywiły, a facet z lekkością i swoboda właściwą pijanym już po chwili rozmawiał z nimi jak ze starymi znajomymi. Kiedy się śmiały, wyglądały bardzo ludzko i człowiek zaczynał myśleć, że są zdolne do normalnych uczuć, a nie jedynie do Seksualnego wyczynu mierzonego stoperem, centymetrem i Detektorem Uniesień. Poczułem żal, że nie strzeliłem paru głębszych, i że pachnący, przyzwoicie wygolony nie siedzę teraz na miejscu tego faceta. Że to jego palce, nie moje, wyciągają się w stronę przezroczystego skaju odsłaniającego i zasłaniającego zarazem brązowy skrawek brzucha dziewczyny siedzącej przy oknie.

Ta druga dziewczyna odtrąciła rękę faceta. To było dziwne. Ta przy oknie nie powiedziała nic, ale siedząca z brzegu raptem przestała się uśmiechać, palnęła pijaka w ramię i rzuciła obelżywym zdaniem, którego nie dosłyszałem, lecz którego treści mogłem się domyśleć. Już nie żałowałem, że nie ma mnie na miejscu siwego pijaczyny. Druga dziewczyna, niewzruszona, dalej popatrywała przez okno.

Facet zrobił to, co zrobiłby każdy na jego miejscu. Na jego miejscu i w jego stanie. Ponownie wyciągnął rękę i zabelkotał coś pojednawczo.

- Ty stary durniu! - wrzasnęła już na cały głos agresywniejsza z dziewczyn. - Won z łapami!

- Si...sioo...siooostro... czemu się złościysz - zapytał łagodnie i w zakłopotaniu wybrał metodę pojednania najgorszą z możliwych. - Wolałabyś, żeby ciebie...

Rozpętał tym trzęsienie ziemi stowarzyszone z burzą z piorunami i strugami radioaktywnego deszczu. Otworzyła się ziemia i popłynęła gorąca lava. Wybuchwały miny, eksplodowały bomby, pikowały helikoptery, wyły syreny, lasery cięły ciała, ziemię i niebo, w oddali rósł olbrzym atomowego grzyba, ludzie rzucali się na siebie z nożami, a dziewczyna w połyskliwym kombinezonie, która powołała do życia to pandemonium, unosiła się nad wszystkim gniewna i groźna, wrzeszcząc, że walałaby, żeby przepuszczono ją przez maszynkę do mięsa, dosypano kurzego tajna, wysuszono na proszek i sprzedawano w pastylkach na przeczyszczenie dla psów dotkniętych obstrukcją - niż gdyby miała być siostrą pijanego skurwiela.

Obejrzałem się na tajniaka. Patrzył na widowisko w zachwyceniu, z półotwartymi ustami, jak małolat, którego po raz pierwszy wpuścili do PornoSalonu.

Ale siwy facet uniósł się. Wydawał się teraz znacznie wyższy niż wtedy, gdy złachmaniony kołysał się ni peronie i stawał w drzwiach przedziału.

- Nie rozpędzaj się, sestro - syknął dobitnie. - Nie szalej, pieprzona lesbo, bo źle skończysz.

Pisnęła bojowo, rzuciła się na niego z pazurami i oberwała pięścią po głowie. Wrzasnęła dziko, szarpnęła się jeszcze raz, znowu oberwała i ponownie ciężko opadła na ławkę. Odrażająca szamotanina bez słów trwała jeszcze co najmniej minutę. Ta druga bez drgnienia popatrywała w mrok tunelu za oknem; zresztą awantura musiała się odbijać w szybie jak w lustrze. Dzięki temu dziewczyna mogła usuwać kolana w tych momentach, w których jej koleżanka za każdym razem bardziej pobita i zmordowana upadała na ławkę.

Siwy facet przemawiał do ślicznotki, która siedziała teraz, patrząc nań z przerażeniem i trzymała się za podbite oko cicho jęcząc. Fryzura dziewczyny była brzydko zmierzwiona, makijaż rozmazany, krew leciała jej z nosa... Lava przestała płynąć, ucichły pioruny, odleciały helikoptery, szaleńcy odłożyli noże i umilkły syreny. Oddziały żołnierzy w kombinezonach kosmitów odkażały teren. Przez gigantofony olbrzymiej mocy zwycięzcy obwieszczali podbitemu i zniszczonemu terytorium twarde warunki przymusowego pokoju.

- ...Jesteś głupim kurwiszonym - grzmiał facet. - Zwariowaną lesbą bez odrobiny stylu, żalosaną Seksualną kaleką. Ty, ty... manekinie z działu wyprzedaży, myślisz, że te szmaty, ta tandeta to jest... To jest gówno warte, to błyskotki dla takich jak ty. Nie wiesz, jak wygląda prawdziwy, prawdziwa... Ty małpo pojona kranową...

- Niech pan się liczy ze słowami! - zareagował nagle i nieoczekiwanie tajniak siedzący dotychczas cicho.

Obejrzałem się i facet obejrzał się także. Mój stróż podbiegł i stanął przy nim. Widać było, że ledwo sięga facetowi do pół głowy, ale siwek jakby sobie przypomniał, że jest pijany,

i spuścił z tonu, choć nie rozluźnił jeszcze pięści.

- Proszę się natychmiast uspokoić! - powtórzył tajniak.

- Ja tylko... Ona sama zaczęła. Pan słyszał...

- Proszę nie wygadywać głupstw i zachowywać się jak mężczyzna!

To było niepojęte, przez twarz siwka przemknął dziwny wyraz. Bez wątpienia było to przerażenie. Siwek pochylił głowę, a tajniak zaszeptał mu coś do ucha. Uchwyciłem gest, który zdawał się wskazywać na mnie i strzępek zdania: "Nie dość że... natychmiast... opanować".

- Ja tak, to ta głupia - usprawiedliwiał się mężczyzna - to ta idiotka wyprowadziła mnie z równowagi.

Tajniak nie robił siwemu wymówek z powodu pobicia kobiety. Chodziło o coś zupełnie innego. Siwek przed chwilą jeszcze rozjuszony do ostatnich granic potulniał z każdą chwilą i zdawał się być gotów do przeproszenia tajniaka. a nawet zakrwawionej dziewczyny. Wytrzeźwiał całkowicie, patrzył na młodego z niezrozumiałą prośbą w oczach. Ani jeden muskuł na jego twarzy nie wyrażał buntu, ironii, drwiny czy choćby protestu. A przecież mój Stróż nie zmienił się ani trochę. Nadal był młodym, za młodym chyba do tej roboty szczeniakiem o naiwnych oczach i dużych, po chłopięcemu umorusanych dłoniach. Ale jego twarz była ściągnięta intensywnym skupieniem. Ta dwójka, młody i stary, rozgrywała między sobą coś tajemniczego, coś, co, czułem to teraz nad wyraz wyraźnie, wiązało się jakoś z moimi ostatnimi przygodami.

Do pobitej dziewczyny także docierało powoli przecucie, że wydarzenie przerasta i ją, i wszystkie możliwe powody, dla których zdecydowała się być arogancka w obronie nietykalności dziewczyny przy oknie. No, po tej w każdym razie wszystko spływało jak łagodny deszczyk. Nie obchodziły jej żadne tajemnicze kwestie - zauważyła jedynie tajniaka, który udowodnił, że jest prawdziwym mężczyzną. Z wyrazem jakiegoś nieskończone babskiego lizusostwa oczy dziewczyny spod okna zawisły na twarzy tajniaka, a ten odpowiedział jej po chwili szczerym, chłopięcym uśmiechem.

Kolejka stanęła. Byłem mniej więcej w połowie podróży. Przystanek niemal dokładnie pod MIASTEM; nazwa - Jarzyniaki - z powodu wieżowców Cebuli i Sałaty stojących tuż obok zjazdu do metra. Tylko tajniaczek wstał z ławki. Dziewczyna spod okna wykonała gest, który miał świadczyć, że z przyjemnością ruszyłaby za nim, ale jednocześnie powodowana uczuciem niewytłumaczalnej lojalności wobec pobitej towarzyszki zostaje. Uśmiechnąłem się do mojego stróża, koniec eskorty, pomyślałem sobie, ale okazało się, że nie mam racji.

Kontroler w zielonym mundurze zjawił się w naszym wagonie. Szedł od tyłu pociągu, od pewnego czasu słychać było, jak trzaska drzwiami. Uśmiechał się, jego ręce były szeroko

rozłożone, jakby chciał objąć nas wszystkich i przytulić do piersi. Pomyślałem od rzeczy, że nie jest to wskazane, bo przecież pobita ślicznotka mogłaby mu zanieczyścić nieskazitelny mundur.

- Moi państwo - dopiero teraz spostrzegłem, że jego ręce wyganiają nas z przedziału - proszę bardzo, wychodzimy na górę. SonLumiere, państwo zapomnieli? Mamy pierwszy poniedziałek miesiąca. Dochodzi dwudziesta druga...

Teraz sobie przypomniałem. "Przecież zawsze interesowały cię takie rzeczy, mówiła Kay przed wyjazdem, ja co prawda też lubię na to patrzeć, ale myślę, że kiedy wrócę, na pewno wszystko mi opowiesz." SonLumiere, jasna sprawa. Zawsze wtedy zatrzymywali metro, żeby nikt nie tracił widoków. Stawały fabryki i biura, kończyły się usługi; gruby spocony fryzjer na pewno już wyszedł z salonu i podniósł głowę do nieba. To samo robi pewnie mały człowieczek z przetrąconą nogą, oddalony od grubego na bezpieczną odległość, przedzielony dziesiątkami ulic, domów, tysiącami gapiów i absolutną ciemnością. SonLumiere! Wiadomo, jedynie dzieciaki muszą tego dnia wcześniej włączyć do łóżek. SonLumiere! Dlatego właśnie na przystankach panował półmrok, nigdy przedtem nie wychodziłem na imprezę z metra, więc nie mogłem tego skojarzyć. Oszczędzano po prostu energię, bo technika SonLumiere oparta o zasadę HoloVidu pochłaniała bardzo dużo watów.

Wyszliśmy na peron. Dystygowany pijaczyna prawie ramię w ramię ze swoją ofiarą, za nimi druga dziewczyna, na końcu ja. Kontroler ruszył przedziałami do przodu, wypraszać z kolejki następnych maruderów. Uśmiechnięty tajniaczek czekał na nas oparty o filar. Z tyłu, z ostatnich wagonów, szło w stronę wyjścia zaledwie parę osób.

Na górze u wylotu ruchomych schodów dostaliśmy wszyscy ciemnościami po oczach. W pierwszej chwili raczej domyśliłem się olbrzymich brył dwu Jarzyniaków strzelających w niebo. Na żadnej z ich czarnych i lśniących teraz nikłym fosforycznym blaskiem powierzchni nie odbijała się nawet odrobina miejskiego światła. W MIEŚCIE tuż obok wygaszono wszystkie punkty świetlne. Identycznie w sąsiednich wieżowcach mieszkalnych, nigdzie nie zajaśniało najmniejsze okienko - za zaniedbania nakładano wysokie kary. Kołdra ciemności, w miejsce widocznej w zwykłe wieczory różowej poświaty, unosiła się nad miastem aż po zasłonięty budowlami horyzont.

Po chwili spostrzegłem jednak, że niebo nie ma koloru idealnej czerni, lecz bardzo ciemnego błękitu. Rozjaśniały go nieco nieliczne gwiazdy i cienki, zakrzywiony księżyc. Stąd właśnie brały się fosforyczne odbłaski na szklanych wykładzinach Jarzyniaków. Zdażyłem pomyśleć, że mimo bezruchu i pewnej banalności jest to widok wystarczająco piękny, by nie urozmaicać go już niczym i patrzeć nań w skupieniu i samotności przez parę minut. Niestety

nie byłem sam - wokół naszej grupki stało mrowie ludzi. Tłumy wypełniały ulice i balkony najbliższych budynków, tłumy gniotły się na dachach i tratowały mikroskopijne trawniki. Czułem na sobie ich oddech, liczbę i olbrzymi ciężar ich tęsknego oczekiwania.

Z południa szła w naszą stronę olbrzymia małpa. Zwierzę było krwistorude i niesamowicie kudłate, ta kudłatość była pierwszym wrażeniem najbardziej rzucającym się w oczy. Małpa widoczna od pasa w górę zdawała się płonąć od wewnątrz albo mówiąc inaczej, wyglądała tak, jakby jej marszowi przez miasto towarzyszyła setka reflektorów. Nie było jednak widać żadnych snopów świetlnych, zwierzę świeciło swoim wewnętrznym ogniem, olbrzymie silne łapy waliły w szeroką klatkę piersiową; odgłosy tego dudnienia docierały do nas brzmiąc z każdym krokiem donośniej jak uderzenia olbrzymich młotów. Mordę małpy wykrzywił niesamowicie złośliwy i zadowolony z siebie grymas. Z nozdrzy skrzywionych w jakimś ironicznym uśmiechu wylatywały kłęby pary. Małpa widoczna już do kolan zbliżała się do Jarzyniaków; teraz, kiedy unosiła do góry włochate nogi, można było zobaczyć ich miękkie różowe podeszwy. Te małpie stopy ginęły między domami, ocierały się o wieżowce, deptały po nielicznych pojazdach nie czyniąc jednak żadnego zniszczenia. Słysząc było tylko głośnie sapanie olbrzymiego zwierzęcia.

Tuż obok mnie stał dystyngowany pijaczyna. Nieuważnie, przezuwając przekleństwa, zezował na ten obraz kątem oka, kiwał się nieco i zamiast na małpę, popatrywał przede wszystkim z zaniepokojeniem na stojącego obok tajniaka. Potem przerzucał spojrzenie na pobitą dziewczynę i w tych momentach jego usta bezskutecznie próbowały się ułożyć w wyraz skruchy. Później znowu wracał oczami do tajniaka, Chłopak w skórze chwilowo nie zwracał na niego uwagi.

Jego dłoń szukała drogi do ciała dziewczyny przez nieskończoną ilość błyskawicznych zamków w jej kombinezonie. W półmroku, zdemaskowane przezroczystymi łątkami, widziałem palce tajniaka obdarzające niespokojną pieczęcią jej brzuch, talię i piersi. Podziwiałem zręczność tych palców i ich niepohamowaną zuchwałość. Dziewczyna uwolniona już od poczucia lojalności wobec pobitej koleżanki odbierała zaloty lekko posapując i jak gdyby nigdy nic, patrzyła na małpę.

Olbrzymi zwierz przystanął przy STARYM MIEŚCIE. Jego głowa przekrzywiła się, małpa myślała nad czymś, potem kucnęła, jakby chcąc przyjrzeć się MIASTU z blisko. Poczuję absurdalny lęk, że ten zwierz, że ta parodia zwierzęcia naprawdę zrobi MIASTU jakąś krzywdę i nic nie zostanie dla mnie na obiecaną wizytę. Rzeczywiście! Z nagłą wściekłością King-Kong zadał szybki cios pięścią w sam środek MIASTA i zaraz powtórzył uderzenie dru-

gą łapą. Na MIASTO spadła cała seria ciosów zadanych ze znacznie większą szybkością i siłą niż te, które lądowały na piersi małpy w odwiecznej zwierzęcej autopieszczocie. Potem małpa wstała i krzywiąc nozdrza w wyrazie oczywistej złośliwości poczęła wdeptywać MIASTO w beton tupnięciami ogromnych silnych łap. Wreszcie porwała z MIASTA jakiś architektoniczny strzęp, jakaś basztę czy wieżę i rzuciła nią w naszą stronę. Odruchowo cofnąłem się, ten gest powtórzyło wielu ludzi, potężny kawałek muru spadł między widzów stojących dokładnie przed Jarzyniakiem II. Fragment obronnej wieży rozleciał się na setki czerwonych cegieł, potem zniknął nagle jak poranna mgła, jak mały kawałek lodu w szklance z wrzątkiem.

Tłumy przed Jarzyniakami oklaskami i śmiechem ulgi nagrodziły ten popis, tę niedwuznaczną aluzję. Sympatia ludzi była po stronie Kinga. Nikt nie żałował MIASTA.

Teraz dla odmiany jęki kokieteryjnego przerażenia rozległy się z tarasów, na których zgromadziła się służba Jarzyniaka I. Olbrzymia małpia łapa gmerała chwilę na dachu wieżowca; nie znalazła tam nic, więc opuściła się niżej, obszukując po kolei wszystkie okna i balkony. Doszła w ten sposób do parteru i wtedy na nowo, od góry, wszczęła poszukiwania. Tłum falował, rechotał, jakaś kobieta tuż koło mnie płakała histerycznie.

- Chodź tutaj, chodź no tu - pisnęła po raz pierwszy dziewczyna obrabiana przez tajniaka. Miała brzydki głos, cienki i zarazem chropawy, nic dziwnego, że starała się dotychczas nie otwierać ust. - Chodź, King, dostaniesz. co... - powtórzyła, ale tajniak ją uciszył.

Małpa w końcu znalazła. Na olbrzymiej łapie omdlewała na pozór drobna, ale tak naprawdę czterometrowej wysokości, jasnobrązowa Mulatka, niepokojąco podobna do Mumbi K, w samej tylko złocistej przepasce na biodrach. King wyciągnął ją z któregoś ze środkowych pięter Jarzyniaka I.

Zwierzę ruszyło ze swą zdobyczą na północ, obejrzeliliśmy się, by przez chwilę widzieć jego plecy i ginące między domami różowe podeszwy stóp.

Nic oprócz księżycy i gwiazd nie rozpraszało ciemności, a to znaczyło, że spektakl trwa nadal. Małpa ruszyła na północ, więc pewnie tam, przy Bliźniakach tłum otrzyma swoją porcję Rozrywki. Coś podobnego powtórzy się zapewne na wschodzie i na zachodzie miasta. Może dziewczyna wykona dla zgromadzonych tam widzów taniec brzucha na King-Kongowej łapie, a może będzie to coś znacznie bardziej wyuzdanego. Nie udaje się nigdy być naraz we wszystkich miejscach - to były minusy SonLumiere. Ale nie miałem pewności, czy jest czego żałować. Zawsze musieli liczyć się z tym, że jakieś szczeniaki, mimo zakazu i późnej godziny, także popatrują w niebo i z tego powodu SonLumiere nigdy nie był spektaklem uwzględniającym tylko i wyłącznie gusty dorosłych. Nieodłączna dawka pruderii i braku od-

wagi zawsze psuła smak tej Rozrywki. Przed miesiącem były to zmagania pary bokserów, cóż z tego, że krwawe, kiedy bez przymieszki odrobiny Seksu, jeśli nie liczyć, że na zakończenie walki ciemnoskóry bokser, który powalił białego, odebrał w nagrodę uścisk pięknej, ale ubranej od stóp do głów białej dziewczyny. Dwa miesiące temu doskonała dupa dała pokaz najnormalniejszych w świecie ewolucji gimnastycznych. Trzy miesiące temu miotał się nad miastem ponad głowami tłumów olbrzymi biały rekin, na którego ciele wykwiwały czerwone plamy od wbijających się w jego cielsko, wylatujących z ciemności ostrych harpunów. Dalej zawodziła mnie już pamięć. Mieszały się w niej występy baletów, strzelanina kowboi, galopady koni - skąd wytrzasnęli konie? - pojedynki nożowników, połowiczne Striptisy - dziewczyny rozbierały się do przepasek na biodrach, po tym bezwzględnie zapadały ciemności - powietrzne walki staroświeckich aeroplanów, hałaśliwe, sypiące po niebie iskrami i pokazane w zwolnionym tempie zderzenia rozpędzonych Samochodów i staroświeckich lokomotyw parowych... SonLumiere! Pokaz z Kingiem nie był wcale, w ośmioletniej bez mała historii imprezy, najgorszym pomysłem. Widywałem znacznie gorsze spektakle - niektóre z nich powtarzano na życzenie publiczności, niewykluczone więc, że kiedyś, może już z Kay, obejrzę seans z Kingiem powtórnie.

- W jeden dzień przyjdą plagi jej, śmierć i smutek, i głód, i ogniem będzie spalona; iż mocny jest Bóg, który ją osądzi - rozległ się w tłumie stanowczy i donośny głos zdający się ciągnąć przemowę zaczęta dość dawno i w innym miejscu. - I będą płakać, i nad nią bić się będą królowie ziemscy; którzy z nią wszeteczeństwo płodzili i w rozkoszach żyli, gdy ujrzą dym spalania jej. Z daleka stojąc przez bojaźń mąk jej mówiąc: Biada, biada, miasto ono wielkie Babilonia, miasto ono mocne; iż w jedna godzinę przyszedł sąd twój. A kupcy ziemscy...

To mówił mężczyzna odległy zaledwie o kilkadziesiąt kroków ode mnie. Rozległy się śmiechy, okrzyki zdziwienia i raptem zapadła cisza. W tej ciszy wyznaczonej przemową gwałtownie urwaną rozległy się odgłosy jakichś uderzeń, jakiejś szamotaniny. Po chwili dotarły też stłumione i niewyraźne okrzyki innych mężczyzn: "Daj mu", "Niech mówi", i po tych okrzykach rozległ się znienacka jęk rozpaczliwego bólu. Tłum zakołysał się, jęk jeszcze nie przebrzmiał, kiedy ten sam głos donośnie i stanowczo ciągnął dalej:

- A kupcy ziemscy płakać będą i żałować nad nią; iż towarów ich żaden więcej nie kupi. Towaru złota i srebra, i kamienia drogiego, i pereł, i bisioru, i szarlatu, i jedwabiu, i karmazynu, i wszelkiego drzewa Thyjonowego, i wszelkiego naczynia słoniowego, i wszelkiego naczynia z kamienia kosztownego, i z miedzi, i z żelaza, i z marmuru, i cynamonu...

Przemawiający nabrał powietrza, w tłumie słychać było poruszenie, jakby przepychało

się doń kilka osób z różnych stron. Mój tajniak zostawił dziewczynę i także ruszył w to kłębowisko.

- I kadzenia, i maści, i kadzidła, i wina, i oliwy, i mąki czystej, i pszenicy, i bydła, i owiec, i koni, i kolebek, i niewolników, i dusz ludzkich - kontynuował przemawiający i jakby czując, że zostało mu mało czasu, nabrał powietrza w płytkim oddechu i pociągnął bardzo już szybko. - I owoce pożądliwości dusze twej odeszły od ciebie, ani ich już dalej znajdują. Kupcy tych rzeczy, którzy się z bogacili, od niej z daleka stać będą, dla bojaźni mąk jej płacząc i żalując. A mówiąc: Biada, biada, miasto ono wielkie, które było obleczone w bisior i szarłat, i w karmazyn, i było uzłoczone złotem i kamieniem drogim, i perłami. Iż jednej godziny spustoszone są tak wielkie bogactwa. I wszelki sternik, i wszelki po je...

Głos urwał. Szamotanina trwała dłużej, a jęczących było kilku. Ta szamotanina zbliżała się do nas, tłum falował, ludzie ustępowali komuś miejsca, cofali się, jakaś łajza tuż przedemną zrobiła nagły krok do tyłu i wbiła mi cienką szpilkę modnego bucika w prawą stopę. Ależ tak, to była pobita lesbijka. Nie zdążyłem jej opieprzyć, bo nagle, szybko i w ciszy, przecisnęła się obok nas mała grupka. Trzech facetów w skórach wlokło wysokiego mężczyznę w pomiętym i brudnym jasnym ubraniu, jakie nosiło się przed laty co najmniej dziesięciu.

- Albowiem nie jest nic skrytego, co by odkryte być nie miało, ani tajemnego... - wykrzyknął mężczyzna porozbijanymi wargami i niemal prosto w moje ucho.

Dłoń jednego z eskorty odziana w czarną rękawiczkę zamknęła mu usta.

Za tą czwórką szło dwu następnych facetów w skórach, którzy ciągnęli i osłaniali zarazem kolejnego faceta w skórze, z rozbitą głową i twarzą całą we krwi. Ranny tajniak jęcząc zaklinał ich, by uważali na jego kolano. Po nich szło jeszcze czterech facetów w skórach, z których każdy popychał przed sobą pochylonego mężczyznę idącego pokornie jak na egzekucję. W rękę jednego z tych ostatnich połyskiwała lufa pistoletu.

- Żeby pozwolić ich tak wyjść - wrzasnęła jakaś kobieta, odważna w ciemnościach i za plecami tłumy. - Tyle ludu i nic!

Wysoki pijus stojący tuż obok mnie drgnął wzburzony.

- Dajcie spokój - krzyknął nagle. - To też jest dobre. Szkoda tylko, że nie pokazali tego palanta kaznodziei na niebie. Rozumie się, oszczędność energii...

Ostatni z czwórki tajniaków, był to pilnujący mnie chłopak, odwrócił głowę i obdarzył siwka błyskiem uśmiechu. Cała grupa konwojentów i konwojowanych zniknęła w zjeździe do metra. Tłum zafalował i po chwili zaśmiał się także. Ten śmiech narastał, wszyscy dawali ujście uczuciu jakiejś niepohamowanej ulgi. Śmiała się nawet porozbijana lesbijka, która miała widać poczucie humoru, ale nie potrafiła uważać na cudze stopy. Przemowa faceta w jasnym

garniturze była bardzo dziwna. Bisior, cynamon, szarłat, karmazyn, a do tego jeszcze promieniotwórcze złoto, srebro... nie prowadziło to w żadną rozsądną stronę.

Małpa wracała, olbrzymie świetliste cielsko wynurzyło się niespodziewanie gdzieś z tyłu, nagle ujrzeliśmy je nad naszymi głowami. Nonszalancki kopniak wymierzony MIASTU i gniewna groźba wskazującego palucha prawej łapy skierowano przez Kinga w stronę Jarzyniaków I i II - oto ostatnie, pożegnalne gesty małpy. Zwierzę miało puste łapska, pewnie półnaga Mulatka została gdzieś na północy, na wschodzie lub na zachodzie miasta i tam na swój sposób bawiła tłumy. King rozpostarł ramiona, jakby do lotu, począł nimi ruszać miarowo na podobieństwo ptaka i rzeczywiście zaczął unosić się w górę. Kiedy wzbił się na znaczną już wysokość i zmalął co najmniej do połowy, raptem zaczął sobie pomagać naturalnym odrzutem umieszczonym w odbycie. W warkoczu ognia i wśród łoskotów podobnych do ryku rakietowych silników małpa zmniejszyła się do rozmiarów świetlistej iskry. Po chwili ta iskra zgasła całkowicie.

Śmiechy, gwizdy i oklaski - najwięcej było śmiechów i oklasków - przetoczyły się nad tłumem. Jak na komendę rozbłysły uliczne światła, zrobiło się jasno, jaśniej niż za dnia, wszystko wydawało się mniejsze i ciekawsze. Dotyczyło to nawet dwu Jarzyniaków, w których po kolei, sekcjami pięter, rozbłyskiwały okna. Popatrywaliśmy na siebie mrużąc oczy. Ludzie stali chwilę nieruchomo jak oślepieni. Znowu rozległy się śmiechy i oklaski, nikt już nie gwizdał.

Zobaczyłem tuż obok, w mrowiu tłoczących się ludzi pobitą dziewczynę, która częściowo zdołała doprowadzić się do porządku. Po niej odszukałem tę drugą, która pozasuwała już wszystkie zamki. Po nich siwego pijusa, prawie całkowicie trzeźwego, ale teraz z kolei mamroczącego do siebie z niezadowoleniem, że to ostatnie to było jednak niesmaczne. Nieoczekiwanie zobaczyłem też mojego tajniaka w skórze; chłopak wrócił z dołu i nagle, ni stad ni zowąd, odezwał się do pijusa, że zgadza się z nim, że faktycznie ten chwyt z pierdzeniem mogli sobie darować. Wyglądało na to, że tajniak wybaczył już facetowi to, co miał mu do wybaczenia.

Taki był koniec SonLumiere. Ludzie rozchodzili się powoli i niechętnie. Ruszyły także, na pół gazu, ruchome chodniki. Wszyscy mieli znów o czym mówić i na co czekać do chwili, w której przyjdzie następny pierwszy poniedziałek następnego miesiąca.

W metrze człowiek stał przy człowieku; dawno nie widziałem takiego tłoku, nawet w godzinach rannego szczytu. Przeciążone wagony sunęły niemal bez drgnienia, zupełnie jakby

koła i szyny powleczono grubą warstwą kleju. Ludzie mówili o Kingu i tylko o nim. Dopiero później, po paru przystankach, na krzyżówce pod Bliźniakami, wcisnęła się jeszcze kupa osób - ci uzupełnili naszą wiedzę o wyczynach Mulatki. Tak jak myślałem, King zawitał do nich tylko na chwilę, by zastawić dziewczynę, a ona nie pokazała niczego ciekawego. Podrosła tylko trochę, a potem na niebie ruszyła nieco biodrami i tyłeczkiem, zrobiła kilka przysiadów oraz parę innych figur bardzo Sexy, dała się widzom obejrzeć ze wszystkich stron, lecz nie próbowała nawet zdjąć przepaski. To było do przewidzenia, plac przy MIEŚCIE i Jarzyniakach okazał się szczęśliwie najmocniejszym punktem widowiska. Nie miałem czego żałować, a tym spod Bliźniaków, kiedy usłyszeli z kolei naszą relację, trochę posmutniały miny.

Mój tajniak cały czas trzymał się blisko, dzieliły nas nie więcej niż dwie, trzy osoby. Jeszcze przy Jarzyniakach widziałem, jak czule żegnał się z dziewczyną, zdaje się, wymienili nawet adresy. Służba nie drużba, gniółł się teraz w wagonie razem ze mną, a jego chłopięca twarz nie pokazywała niczego po sobie.

A jednak pamiętali o nim, nie dane mu było męczyć się drugi raz w ciasnym metrze. Przy moim bloku, niemal tuż pod klatką stała suka. Wewnątrz z Samochodowego radia leciała ostra muzyczka, kierowca palił papierosa i gadał z drugim facetem w skórce; przez chwilę miałem nawet wrażenie, że obaj pociągają z małej metalowej piersiówki. Poczulem, jak serce podjeżdża mi do gardła i stygną skronie. Zabawa w kotka i myszkę, pomyślałem, i obejrzałem się na tajniaka. Zasalutował szarmancko w moją stronę do skórzanego kapelusika i bez słowa podszedł do suki. Co za ulga! Wóz ruszył, kierowco wjechał w jedną z asfaltowych alejek, wziął zakręt z piskiem, suka zawróciła, by popędzić w stronę Centrum. Kiedy znikła już między domami, rozległ się jękliwy dźwięk syreny.

U Deca paliło się jeszcze światło. Pod jego klatką schodową stała grupa rozgestykulowanych mężczyzn i kobiet. Byli to mieszkańcy mojego i sąsiednich bloków, ale nie widziałem wśród nich nikogo, kogo znałbym bliżej. Poczulem raptem, jak bardzo jestem zmęczony i jak niewiele łączy mnie z tymi ludźmi i z Decem także... Zwłaszcza z Decem, który podkochiwał się w mojej żonie i który wizytę w MIEŚCIE dobrowolnie zamienił na bezsensowny BarwoMobil.

- Panie, panie, chodź no tu pan na chwilę - krzyknął do mnie jeden z gromadki, ale zbyłem go machnięciem ręki.

Nie mogli mi mieć do powiedzenia nic ciekawszego od tego, co mógłbym im opowiedzieć ja, gdyby nie wyraźne zakazy.

W skrzynce był list od Kay. Otworzyłem go jeszcze w windzie, przyłapując się ze zdziwieniem na absolutnej obojętności palców. Nie drżały ani trochę. choć wydawałoby się,

że powinny. Jedna jedyna kartka zapisana długopisem z dwu stron drobnym, równym pismem pokreślona w parunastu miejscach grubym czarnym flamastrem. Kay nie cierpiała flamastrów. Zainteresowały mnie te przekreślone miejsca, więc spróbowałem odczytać je pod światło, a ponieważ osoba, która w przeciwieństwie do Kay lubiła flamastry, wykonała swą pracę niedbale - częściowo mi się to udało.

Najczęściej przekreślone było w liście imię własne, raczej męskie niż żeńskie - jakiś Toch, Cock lub Goch. Cock było to rozwiązanie najbardziej prawdopodobne, zwłaszcza, że jak pisała Kay, nosiciel tego imienia próbuje się jej narzucać - to w przeważającej mierze także wyczytałem pod światło - i zajmuje jej dużo czasu, ale *a b s o l u t n i e* nie powinienem się tym przejmować. Wyjaśnienie, dlaczego nie powinienem, było przekreślone niemal w całości i z taką wyjątkową dokładnością, że nawet lampa nic tu nie mogła pomóc.

Ponadto cały list był jednym nieustającym pieniem na cześć WODY-DRZEW-PTASZKÓW. Interwencje czarnego flamastra usiłowały osłabić siłę tego pienia skreślając całą masę wyrazów, spośród których udało mi się odczytać zaledwie trzy - wspaniale, strasznie, żałuję... Kay wyrażała ponadto nadzieję, że jakoś sobie radzę i że zgromadziłem na taśmie dużo ciekawych tematów. Tutaj flamaster nie znalazł dla siebie niczego ciekawego.

W tej sytuacji łatwo się było domyślić, dlaczego między miastem a WODĄ-DRZEWAMI-PTASZKAMI nie ma połączenia, nie tylko VTT ale nawet zwyczajnego, telefonicznego. Jasna sprawa, że utrudnienia techniczne i absolutna konieczność zachowania dziewiczości enklawy były jedynie pretekstem. Tylko że to już nie ja pomyślałem, to myślało się samo, gdzieś za mnie, obok mnie w ciemnym obłoku, który powoli zaczynał ogarniać mą głowę, przynosząc w końcu sen tak bardzo upragniony.

MIASTO

“K. otrzymał zlecenie, aby pokazać kilka zabytków sztuki pewnemu włoskiemu klientowi banku, który po raz pierwszy przebywał w tym mieście (...).”

Franz Kafka “Proces”

Nie mogłem oczu oderwać od zegarów na wieżach. Spodziewałem się w MIEŚCIE wielu rzeczy i wielu zachwyceń, nie były to zresztą oczekiwania bezpodstawne, ale nigdy nie pomyślałbym o zegarach. Od ciągłego zadzierania głowy do góry bolała mnie szyja; parokrotnie wpadałem też na innych zwiedzających, a raz zatrzymałem się nosem na słupie gazowej lampy. Łaziłem po MIEŚCIE już trzecią godzinę i to staroświeckie wpisanie czasu w okrąg wydawało mi się stokroć wdzięczniejsze od suchych, niosących tylko informację, rytmicznych zmian liczb w zegarkach cyfrowych. Rzecz nie przestawała budzić zachwyty i podziwu, zwłaszcza od momentu, w którym nauczyłem się bezbłędnie odczytywać wskazania starych czasomierzy.

Piękne i Finezyjne były wskazówki - Ozdobne i nieuchwytnie ruchome świadectwo upływu czasu. Olbrzymie tarcze zegarów pełne złocień, błękitów, ozdobione gwiazdzbiorami, wizerunkami zwierząt, ludzi, ptaków, okrętów, futrzanych czap, koron, hełmów, pancerzy, starych strzelb, mieczy, łuków i sztyletów - stanowiły dobre tło dla nieubłaganej, choć niewidocznie zarazem postępującego przemijania. Zegar umocowany na wieży przy wejściu do MIASTA miał długie smukłe wskazówki pokryte czarną farbą, splecione po wielokroć z cienkich wstążek metalu, jak przewody widoczne po uniesieniu pokrywy radioaparatu. Ale było to podobieństwo pozorne, skojarzenie wynikłe najprawdopodobniej z niedostatków mojej wyobraźni. Nie wiedziałem po prostu, do czego porównać ten wzór. Czarne linie, skręcone najpierw niby warkocz, rozchodziły się następnie w ażurową siatkę jak wyschłe, pozbawione liści gałęzie oglądane we mgle pod światło ulicznej jarzeniówki. Później zbiegały się na powrót w ostrze szpica wędrującego wzdłuż okrągłej skali zapisanej rzymskimi cyframi zbudowanymi ze złocistych lekko skośnych pałeczek połączonych u dołu, a także ze skrzyżowanych i pionowych. To wszystko było jak szyfr opowieści o spokojnym i pięknym świecie, szyfr, o którym wiedziałem, że nie zdołam go złamać do końca.

Pomyślałem, że dobrze byłoby tu wrócić i zagłębić się w gęstwinie tych wież i zegarów, zapragnąłem wracać tu wielokrotnie. I wtedy przypomniałem sobie, że przecież trzymam

w ręku koniec nie wyjaśnionej jeszcze tajemnicy, dzięki której znalazłem się w MIEŚCIE. Szef pionu B nie powiedział ostatnich słów, zgoda, ale ja także nie.

W Rynku wyłożonym płytami z białego kamienia, z których każda przypominała płytką misę, tak wydeptały je tysiące nóg, stała kolista forteca z cegły oraz cztery wieże smukłych, strzelistych budowli. Każda z tych wież podziurawiona była dziesiątkami okien, w oknach tkwiły kraty kute w metalu - każda innego kroju, każda przedstawiająca sobą misterną siatkę zawijasów, łuków i prostych o proporcjach za każdym razem nieznacznie odmiennych. Małe kolorowe szybki okien grały promieniami południowego słońca. Parapety okien zawierały mnóstwo roślinnych i zwierzęcych ozdób z kamienia, to samo mini-daszki osłaniające te okna od góry przed deszczem; poczułem żal, że większość tych ozdób, a także trafiających się gdzieś tam kamiennych głów, nie odzywa się we mnie żadnym słowem, żadnym fachowym określeniem. Ale i tak to było piękne.

Na wieżach wskazówki zegarów odbywały swoją wędrówkę po okręgach. Czasy nie były zgodne, lecz bez trudu wybaczało się zegarom ich niedokładność, zwłaszcza że dzięki parominutowym rozbieżnościom można było obserwować po kolei, jak z wybiciem okrągłych godzin z pokrytych Ornamentami kaset wypadali rycerze na koniach i nacierali na siebie z nisko opuszczonymi kopiami. W kilka minut później na innej wieży to samo czyniły nastroszone barwne orły z dziobami w kolorze krwi, pokryte piórami z metalu, na które nie pożałowano białej i błękitnej emalii. Nie przebrzmiały jeszcze kuranty towarzyszące walce orłów, kiedy na kolejnej wieży, najwyższej, przystępował do pracy półnagi mężczyzna w długim fartuchu i mechanicznym niezdatnym ruchem spuszczał olbrzymi młot na niewidoczne z dołu kowadło. Teraz czekałem niecierpliwie przed ostatnią wieżą w rogu Rynku. Niemal dziesięć minut po mężczyźnie, wśród metalicznych wrzasków ptak wielki i barwny, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, czerwonym grzebieniem i groźnym dziobem rozpoczął niesamowity taniec polegający na wyskakiwaniu i chowaniu się do kasety.

Głowy wszystkich zwiedzających uniesione były w górę. Nikt nie trzymał w dłoniach kamery czy aparatu. Filmowanie i fotografowanie zakazane było w MIEŚCIE.

Zbiórka mojej grupy wyznaczona była na godzinę siedemnastą obok ostatniej wieży w rogu Rynku, zwanej Wieżą Koguta. Wszyscy, siedmiu mężczyzn i trzy kobiety, spotkali się rano tylko na chwilę, przy wejściu do MIASTA. Zwiezieni tu szybkimi sukami, w ciszy, przy wyłączonych syrenach, z różnych dzielnic, wprowadzeni na teren MIASTA staroświecką bramą, przez bardzo współcześnie odzianych i uzbrojonych Policjantów, popatrywaliśmy raczej

wokół siebie niż na siebie nawzajem. We wszystkich oczach widniał wyraz nabożnego, trwożliwego wręcz zachwytu i zarazem poczucie dumnego wyniesienia. Nie wiedziałem, czy reszta dostała się tu w sposób podobny jak ja; mało prawdopodobne było przecież przypuszczenie, że wszyscy odkryli coś niesamowitego, by później przejść kwarantannę i tajemnicze spotkanie na ósmym piętrze AgroMeteoFlory. Może były to inne pietra, może w ogóle nie było to AMF, może stanowili klientelę zwykłego naboru, oczekującą długo i cierpliwie przez miesiące i lata. Najtrudniej było sobie wyobrazić, że mają jakieś kontakty z członkami Elity. Wyglądali na umiarkowanie nieustosunkowanych obywateli drugiej kategorii. Nie próbowałem zresztą o nic ich pytać, ani oni nie zdradzali takiego zamiaru.

Faceci mieli nie wpadającą w oczy powierzchowność bezbarwnych czterdziestoparolatków; nie starałem się nawet zapamiętywać ich twarzy. Utkwiło mi w głowie to tylko, że jeden z nich jest szczupłym wysokim łyskiem i to jego postanowiłem wypatrywać w momencie zbiórki przy Wieży Koguta. Wbiło mi się też w pamięć, że boku łysego trzymał się cały czas czarniawy mężczyzna średniego wzrostu, blady, o małych piwnych oczkach, zacierający bez przerwy dłonie i oblizujący nerwowo wargi. Nerwusek zadał ubranemu w brązowy mundur Strażnikowi, który przejął nas od Policjantów, pytanie, czy będzie można kupić na miejscu jakieś Pamiątki. Odpowiedź było przecząca, ale nie zmieniło to w niczym zachowania nerwuska; z naszej grupy on jeden nie okazał zawodu po tej odpowiedzi.

Kobiety wyglądały znacznie gorzej od mężczyzn. Trzy tłuste panie powyżej pięćdziesiątki nie liczące już na nikogo i na nic. Nawet ich stroje dalekie od mody i zachowanie wyzbyte zalotności wyrażały pełną Seksualną rezygnację. Od razu się zaprzyjaźniły. Zbite w stadko trzy gruchające matrony ruszyły niemal biegiem i na pewniaka w stronę Rynku wąską uliczką wyłożoną tysiącami drobnych kamiennych kostek. Nie przepuściły niczemu. Każdy kamień, każdą cegłę, bramę, witrynę, każdy szyld, ozdobę, każdy skrawek MIASTA musiały sobie nawzajem wskazać palcami wśród tryumfalnych ochów i achów, jakby co najmniej połowa MIASTA wyszła spod ich pracowitych rąk. Zwiedzanie byłoby dziesięciokrotnie większą Przyjemnością, gdyby nie obecność tych egzaltowanych idiotek.

Im bliżej Rynku, niestety, tym więcej spotykało się osób im podobnych. Mężczyźni, kobiety zapalnie poszaleli. Samotni zachowywali umiarkowany spokój, ale jeśli trafiła się gdzieś grupka, dwie, trzy osoby wytwarzały taka ilość entuzjastycznego hałasu że człowiek miał ochotę wiać na drugi kraniec Rynku. Żeby tam, rzecz jasna, natknąć się na grupkę podobnie egzaltowaną. Gdybym był z Kay... Ba, ale nie byłem z Kay.

Od Rynku odchodziły w cztery strony świata cztery uliczki. Objijając się o tłum od-

wiedziałem je wszystkie - Antyczną, Średniowieczną, Renesansową i Barokową. Każda zastawiona była budowlami w innym architektonicznym stylu; to czułem nawet ja, obcujący od dzieciństwa ze zwałistymi prostopadłościanami, pozbawionymi jakichkolwiek ozdób.

Tutaj, przeciwnie - ściany domów, małe podwórka, nawet migocące w słońcu kamienie uliczek zalecały się do przechodniów na tysiące sposobów.

Specjalnością ulicy Antycznej były kolumny, Wprost lasy kolumn i białych, i czarnych, i żółtych, i wykonanych z jakiegoś kamienia albo tworzywa, które z bliska ukazywało zawiłą kolorystykę. Wyglądało to tak, jakby ktoś wlał mleko do herbacianej esencji, a potem zmieszał płyn delikatnie z czarnym atramentem, z czymś złocistym, z połyskliwymi, pociętymi drobno kawałkami celofanu i z paroma jeszcze składnikami, które trudno na dobrą sprawę sobie wyobrazić - poczekał później, aż ta niedokładnie wymieszona substancja przestanie się poruszać i popatrywał na nią przez szkło szklanki. Oprócz tego stało tu kilkanaście białych rzeźb nagich mężczyzn i kobiet. Ich ciała zbudowane nadzwyczaj proporcjonalnie nie zawierały ani odrobiny tłuszczu, natomiast członki mężczyzn były wprost śmiesznie małe. Obok jednej z takich rzeźb spotkałem moje trzy egzaltowane idiotki. Wpatrywały się w golasa z nerwowym chichotem; wydawało się że w podnieceniu urwą rzeźbie kamiennego kutasa i schowają go na Pamiątkę do torebki. Ale nie, kiedy podszedłem bliżej, okazało się, że nabijają się z antycznego posągu. Widać, miały lepsze wspomnienia z młodości albo za sprawą abonamentu na specjalne Porno rozpowszechniane przewodowo zachowały w miłej, a świeżej pamięci członki długie do kolan i grube jak porządna rowerowa pompka.

Średniowieczna była cała w ciemnoczerwonej tonacji. Cegła. Tysiące, dziesiątki tysięcy cegieł. I czarne kraty kute w metalu. I ciężkie metalowe łańcuchy odgradzające budowle od ulicy, zawieszane na niskich i grubych, także ceglanych słupkach Średniowieczna miała najmniej widzów, zostałem na niej dłużej pewnie przez przekorę. W poszukiwaniu niedostępnej w MIEŚCIE samotności przespacerowałem kilkakrotnie ciemną uliczką wśród budowli, najczęściej kościołów, które nie dorównywały wysokością najniższemu z wieżowców, a mimo to sprawiały wrażenie smukłych, kształtnych i ogromnych,

Renesansowa i Barokowa, a zwłaszcza Barokowa - to była Orgia rozrzutności i bogactwa. Bogactwa kolumnienek i niby-kolumnienek, fantazji ścian pokrytych setkami rzeźb, figurek i malowideł; rozrzutność kształtów i ścian, łamanych po wielokroć, poprzecinanych parapetami, urozmaiconych gankami, balkonikami, pokrytych setkami ozdób, których nie nadążało wychwycić oko, których nie potrafiła zanotować pamięć ani w żaden sposób nazwać głowa. Już lepiej patrzeć prosto przed siebie ponad głowami tłumu w głąb uliczki zamkniętej murem opasującym MIASTO. Najmądrzejszym wyjściem było całe bogactwo ścian unoszących się

nad ulicą notować kątem oka - iść, jak gdyby nigdy nic i nie zważając na innych zwiedzających, dawać się prowadzić uczuciu nieokreślonego uniesienia.

Każdy z tych budynków na każdej z ulic, każda z kamieniczek zamykających Rynek, każda z wież z zegarami i stojąca w centrum Rynku kolista forteca z czterema basztami podziurawionych dziesiątkami strzelniczych otworów, w ogóle wszystko w MIEŚCIE miało swój kształt, swoje oblicze, swój wyraz. Miało stronę lewą i prawą, górę i dół, miało tył i przód, miało środek - istniało naprawdę, coś znaczyło, było nie do pomylenia z czymś innym. W każdej z tych rzeczy i budowli tkwił jakiś zamiar, jakiś cel i piękno, jak w masce Samochodu, jak w zaciśniętej pięści.

Trudno było powstrzymać uczucie zazdrości na myśl o ludziach, którzy stawiali takie budowle, przechadzali się wśród nich, mogli na nie patrzeć bez żadnych ograniczeń przez wszystkie dni i noce, jakie przyszło im żyć. Ale to nie była jedyna myśl powstająca w mej głowie pod wpływem pobytu w MIEŚCIE. Zazdrość była wśród nich sprawą jedynie wstydliwą i naprawdę najmniej ważną. Obok tego zjawiało się coś poważniejszego, a nie dającego się łatwo wysłowić - jakieś rozprężenie myśli i ducha. Pojawiał się, znikał i znowu się pojawiał, gdzieś na granicy świadomości, rój staroświeckich obrazów. wspomnień, i tęsknot, które być może drzemały we mnie także wcześniej, a pojawiły się dopiero teraz, jeszcze nieśmiało i niewyraźnie, ale nieskończenie bogatsze w porównaniu z tym, co przeżywałem do tej pory. Między wieżowcami, przed ekranem telewizora, nawet w trakcie SonLumiere - tak jest, nawet podczas najciekawszych seansów - moja dusza była niema. Wiedziałem to na pewno. Jedynie to, co łączyło mnie z Kay, jedynie to, co najlepsze w moim związku z Kay, dawało się z tym porównać. Ale MIASTO to była zupełnie inna sprawa niż Kay. Zresztą jedno nie przeczyło drugiemu.

W połowie Renesansowej wpadłem na parę mężczyzn wyraźnie różniących się wzrostem. Niższy z nich, czarniawy, poznał mnie. Skinął głową, a kiedy odpowiedziałem mu tym samym, dyskretnie uchylił kurtki. Wciśnięta do połowy za pasek spodni błyszczała mała figurka kobiety podobna do jednej z rzeźb, jakie wystawiono na Antycznej. Tylko że to nie mogła być... to nawet nie wyglądało na wyrób z kamienia ani któregośkolwiek ze zdrowych metali. Nie wyglądało także na złoto, błyszczało zbyt pospolicie. A więc mosiądz! I facet zupełnie nie przejmując się tym, że to czyste samobójstwo, przyciskał figurkę do brzucha. Odskokczyłem krok do tyłu, a nerwusek obejrzał się za siebie, jakby jedynie stamtąd mogło mu grozić jakieś niebezpieczeństwo. Mało było mu tego, czym dotykał gołego niemal ciała.

- Chodź, przecież widzisz, że to frajer - łysek próbował pociągnąć nerwuska w stronę Rynku. Ten jednak nie od razu zrezygnował z popisowania się szaleńczą odwagą.

- A mówili, że nie można kupić żadnych Pamiątek - powiedział z pogardą, a potem splunął jeszcze i dorzucił: - Palanci!

Niebezpieczeństwo, które uznawali, zjawilo się dopiero teraz. Dwóch odzianych w skóry wynurzyło się nie wiedzieć skąd jakieś pięćdziesiąt metrów za jego plecami i roztrzając tłum biegło w naszą stronę. Nerwusek musiał zobaczyć to w moich oczach. Skulił się cały, lecz jego twarz to była sama najczystsza niewinność. Gdybym przed chwilą nie zobaczył figurki na własne oczy, nie uwierzyłbym, że facet ma przy sobie niedozwoloną kontrabandę.

Tajniacy nie dotarli ani do skulonego nerwuska, ani do bezczelnego łyska. To grubutki, pogodnie rumiany gość w kożusku, stojący tuż obok nas, dostał pięścią w kark od pierwszego z nadbiegających; powoli, śmiesznie, jak na zwolnionym filmie padł na bruk, by zrobić jeszcze kopniaka w bok od drugiego tajniaka. Obydwaj pochylili się zaraz nad leżącym i spod osłony kożuszka wyrwali mu mały fotograficzny aparat.

- Proszę - krzyknął jeden z napastników, ten powolniejszy - proszę bardzo! Fotografował mimo zakazu! - i uniósł wysoko w górę dłoń z kamerą. Po czym odemknął tylne denko, demonstracyjnie prześwietlił taśmę z całej siły rąbnął aparatem w kamienne płyty Renesansowej.

Zniknęli tak błyskawicznie, jak się pojawili. Skarcony fotoamator równie powoli, jak padał, niezdarnie, dotykając co chwila rozbitych żeber, podnosił się teraz na klęczki i otrępywał kożuszek. Pozostał rumiany, ale uśmiech uleciał gdzieś z różowych policzków. Kiedy wstawał, w jego twarzy, w niepewnych ruchach rąk widać było ból i wyraźną wątpliwość - może schylić się i podnieść zdemolowaną kamerę, czy raczej nie powinien tego robić? Patrzyły nań łapczywie setki gapiów, ale nikt nie udzielał mu żadnej porady.

Na twarz czarniawego nerwuska powracał dawny chytry wyraz.

- Palanci! - wyszeptał nieuchwytnym ruchem warg, do których przyłożył jednocześnie wskazujący palec w porozumiewawczym geście.

- Już czas - ten wyższy gwałtownie pociągnął go za sobą, a odwracając się do mnie powiedział jeszcze: - Niedługo będzie siedemnasta.

Oczy łyska wyprane były z uczuć. Nie widać było w nich śladu przychylności dla mnie czy dla kogokolwiek innego.

Stałem u wylotu Średniowiecznej na skraju Rynku przyglądając się szaleństwu wielkiego ptaka na Wieży Koguta. Groźne podrygi barwnego straszzydła, jego metaliczne zapiewania wyglądały i brzmiały teraz jak hasło pożegnania - przymilnie i smutno zarazem. Ptak pojawił się i zniknął pięć razy. Jakaś sprężyna, silnik albo inna jeszcze Staroświecka maszyna

zatrzasnęła drzwiczki kasety pod zegarem. Na moim kwarcu było dwadzieścia po siedemnastej.

Pod wieżą czekali już wszyscy, cała dziewiątka zanurzona w tłumie snujących się po Rynku. Otaczali strażnika w brązowym mundurze, chyba tego samego, który z rana zarządził zbiórkę pod wieżą. Wszyscy z uwagą słuchali jego słów, a kobiety, zwłaszcza kobiety, pilnie rozglądały się wokół. Wystarczyło zrobić krok, góra dwa lub trzy, i wynurzyć się z uliczki, by już po chwili któraś z nich mogła dostrzec mnie i radośnie wskazać strażnikowi. Zamiast tego zrobiłem krok do tyłu.

Po drugiej stronie Średniowiecznej, oparta o ceglany słupek stała młoda zgrabna dziewczyna w obcisłym kombinezonie z teksasu i lewą stopą obutą w Podniecający czerwony trzewik na wysokim obcasie trącała metalowy łańcuch.

Widziałem już, i to nawet niedawno, te dziewczynę. Wpadła na mnie na Barokowej lub może to ja na nią wpadłem wpatrzony w jednego z tłusciutkich kamiennych chłoptasiów przyklejonych do ścian barokowego pałacyku. Nie wyglądała na wysoką, drobne ciało wbite w ciasne minimalnie ocieplone teksasy zdradzało, zwłaszcza w okolicach kształtnych bioder, delikatną tendencję do tycia. Mimo braku Seksownych plastikowych łatek, prezentowała się zachwycająco. Twarz senna i lekko obrzmiała, włosy nieco kręcone, za małe, jakby wiecznie przymrużone oczy - wszystko to składało się na pociągającą całość, choć jednocześnie i twarzy, i włosom, i oczom, i nawet piersiom nadto drobnym, można było coś zarzucić. Rzecz jasna, nie wymyśliłem tego wszystkiego na Barokowej, mówiąc przepraszam, a potem oglądając się za dziewczyną, kiedy odchodziła pochylona do przodu, krocząc odrobinę niezdarnie w swym Seksownym uniformie, przedziwnie odporna na resztki zimowego chłodu. Pomyślałem o niej także w chwilę potem, by wtedy uświadomić sobie nagle, że dziewczyna przypomina gwiazdę jednego z cyklu Pornosów, który oglądaliśmy kiedyś z Kay, i który Kay komentowała potem długo i namiętnie.

Łańcuch delikatnie falował; jego drgania udzieliły się następnym łańcuchom wiszącym przy następnych słupach. Te gasnące drgania zdawały się zapraszać w głąb uliczki; dziewczyna, która je spowodowała, patrzyła na mnie ponad głowami zwiedzających z wyrazem zachęty i wyzwania. Wydawało mi się, że dostrzegła mój krok w tył i moje wahanie, że obserwuje mnie od dłuższego czasu i domyśla się wszystkiego.

Byłoby głupio taką dziewczynę, jedyną ludzką twarz, jaką naprawdę zapamiętałem z MIEJSKIEGO tłumy, pozostawić bez pożegnania. Może grupa, do której należała, wychodziła zaraz po nas i wystarczyło zaczekać tylko chwilę przy bramie, by się z dziewczyną spotkać na dłużej? Zrobiłem jeszcze krok, a ona kiwnęła głową z uznaniem i zdjęła bucik z łańcucha.

To trwało sekundę, może dwie, dziewczyna patrzyła mi prosto w oczy, jej usta rozchyłały się w uśmiechu coraz jawniejszym, coraz mniej skrywanym. Wreszcie, po zrobieniu nieuchwytnie zapraszającego gestu głową, obróciła się na pięcie i ruszyła w głąb Średniowiecznej.

Po paru krokach zerknęła za siebie, upewniając się, czy rzeczywiście zdecydowałem się na jedyną rzecz, jaka pozostała do zrobienia w tej sytuacji. Nie sprawilem jej zawodu. Stawiając krótkie niepewne kroczyki, ociągając się, tłumacząc sam sobie, że to nic nie znaczy, do niczego nie doprowadzi, a na pewno skończy się gorzej niż wizyta na ósmym piętra AgroMeteoFlory, powoli szedłem za nią.

Średniowieczna prowadziła nieznacznie w dół, spadek był mały, ale i tak pozostawało wrażenie, że sama ulica zachęca mnie i pogania, wprost niesie. To nie ja szedłem, to jakiś wewnętrzny mechanizm niezupełnie posłuszny mej woli poruszał moimi nogami. Kay na pewno nie potrafiliby tego zrozumieć oni tym bardziej wybaczyć.

Przy wysokim murze z czerwonych cegieł dziewczyna skręciła w prawo. Nie zdążyłem zajrzeć do tej części MIASTA. Przechodniów spotykało się tu mniej; po prostu oni także czasu mieli niewiele, a w centrum MIASTA znajdowało się znacznie więcej zabytków. Z lewej strony mur, z prawej zmieniające się niemal z każdym krokiem ściany niskich dwupiętrowych zaledwie domków wytyczały koleinę wybrukowana nierównymi kamieniami. Zmierzałem tą koleinę krok w krok za dziewczyną, coraz spokojniejszy i gotowy na przyjęcie każdej z konsekwencji, jaką mogła mi przynieść i niesubordynacja wobec strażników, i chwilowa niepamięć o Kay. Chciałaś mieć WODE-DRZEWA-PTASZKI, to masz, nie musiałaś jechać tam beze mnie, pomyślałem ze złością. A jednak kiedy dziewczyna w teksasach potknęła się na jednym z wybojów kamienistej ścieżki, dając mi tym samym, oddalonemu o kilka zaledwie kroków, szansę do podtrzymania jej, do bezkolizyjnego nawiązania znajomości - niepewność powstrzymała mnie od gestu, który wcześniej czy później musiał przecież nastąpić. Obejrzała się w chwilę potem z karcącą zalotnością, ale w jej oczach dominowały błyski rozbawienia.

Minęliśmy Barokową. Krótki rzut oka uliczką ociekającą od przepychu ku świetlistej plamie Rynku odsłonił fragment jednej z wież i ceglanej fortecy. W odległym tłumie nie było widać ani strażnika, ani łyska, ani kogokolwiek z mojej dziewiątki. Bardzo możliwe, że stali tam jeszcze i czekali, ale trudno było liczyć, że dostrzegę ich, patrząc z tej uliczki, właśnie z tego miejsca. Zresztą ich obecność albo nieobecność nic miała już najmniejszego znaczenia.

Dziewczyna przepadła. Zagapiłem się na chwilę i pozwoliłem jej zniknąć w którejś z trzech klatek schodowych przysadzistej kamieniczki. Drewniane ozdobne drzwi każdej z klatek były nieruchome. Kremowa budowla z falistych prętów, z wymalowaną w jakieś roślinne wzory fasadą i z rynnami połyskującymi zielenią zdawała się kpić z podrywacza. którego rap-

tem opuściło szczęście. Uroiłem sobie zaraz dziesiątki twarzy popatrujących zza szyb i firanek z drwiną i pogardą, ale była to oczywiście przesada. Tylko jedna stara kobieta przechyłona przez metalową poręcz balkonu wytrzępywała nad uliczką brudną ścierkę.

Szarpnąłem drzwiami pierwszej z brzegu klatki schodowej. Panowała w niej ciemność i cisza. Strzęp światła wpadający przez uchylone drzwi wydobywał z mroku błysk wyszlizganej drewnianej poręczy i kilka czarnych stopni schodów wytartych na brzegach do żywych słoików jasnego drewna.

W klatce środkowej zderzyłem się i czymś ciepłym i miękkim. Ktoś otaczał mnie w ciemnościach drobnymi, ale zdecydowanymi na wszystko ramionami. Ciepła kobieca twarz, pachnące kobiece włosy przytuliły się do moich policzków. To trwało sekundę zaledwie, niewiele dłużej niż zmruczenie oka, na chwilę owionęło mnie uniesienie, które zaraz opadło. Dziewczyna odskoczyła jak na sprężynie i usłyszałem jej głos po raz pierwszy.

- Dlaczego? Czego chcesz!

Czego chciałem... Sam nie wiem.

Na sekundę przytuliła się znów. Wziąłem ją z tyłu za włosy, ale tym razem nie wyszło jeszcze nic z próby pocałunku. Zdecydowanie odepchnęła moją głowę.

- Mam trochę Pamiątek... chcesz na pewno zabrać coś ze sobą między wieżowce?

Miała zwyczajny głos ani za wysoki, ani za niski. Była zdyszana, a mówiąc sama przytakiwała sobie ruchem głowy. Kogo chciała zmylić, a kogo przekonać mówiąc o pamiątkach? Nie wiedziałem, do czego mogłoby być jej potrzebne - to wyglądało jak jakaś furtka dla niej i dla mnie. Jak niezbędny pretekst.

Zresztą czemu nie. Jeśli rzeczywiście znalazła kogoś z dostępem do Staroci.

- Tak, pomyślałem, że może ty... - powiedziałem.

Głos mi drżał, słowa brzmiały niepewnie i chropawo.

- To dobrze!

Chwyła moją dłoń i nic już nie mówiąc pociągnęła mnie w górę po ciemnych schodach.

Pokoik był mały, niezbyt jasny i połączony z jeszcze mniejszą kuchenką. Ukośny sufit, od drzwi ku oknu obniżający się nieco, zmuszał do pochylecia głowy każdego, kto by zechciał podejść ku szybie i wyjrzeć na zewnątrz. Z okna widać było jasną część Rynku, parę przeciwległych kamieniczek, fortecę oraz dwie z czterech wież.

Odwrociłem się ku dziewczynie. Stała przy drzwiach i poprawiała włosy szybkimi ruchami dłoni. Znowu wyglądała nieprzystępnie, zupełnie nie tak, jak powinna wyglądać

dziewczyna, która potrafi nagle i bez ostrzeżenia zarzucić nieznanemu ramiona na szyję.

- Mieszkasz tutaj, prawda? - spytałem, bo cisza robiła się nieznośna. - Jesteś stąd? - Dopiero mówiąc to, uświadomiłem sobie, że w przeciwieństwie do mnie, nie jest najprawdopodobniej parogodziną turystką.

Zamiast odpowiedzieć, podeszła do rzeźbionej szafy przy oknie. Z dwu rogów mebla spoglądały na pokój dwie drewniane puciołowate główki wtulone w parę pierzastych skrzydeł. Skrzypnęły drzwiczki odsłaniając kilka półek wyładowanych damską bielizną. Na najwyższej, prawie pustej, stały trzy mosiężne figurki. Takie same jak ta, którą brunecik przemycił pod kurtką.

Nieco wolniej, nie tak błyskawicznie jak wtedy na Renesansowej, ale chyba równie zdecydowanie, zrobiłem krok do tyłu. Dziewczyna parsknęła śmiechem.

- Daj spokój, nic ci nie grozi. Zobacz - wzięła jedną z Figurek i przycisnęła ją do policzka, a potem wyciągnęła rękę do mnie. - Trzymaj!

Ostrożnie, wyciągając dłoń możliwie daleko od siebie, chwyciłem w pasie maleńką mosiężną kobietę samymi koniuszkami palców. Ani bólu, ani wrażenia podwyższonej temperatury - nic z tych rzeczy! Cóż z tego, radiacja jest bronią ukrytą i zdradziecką. Atakuje w ciszy, zrazu nie zostawiając śladów. Skutki jej działania przychodzą po wielu dniach; mijają miesiące, nawet lata, człowiek schnie w oczach i potem zniemacka przychodzi śmierć, niemal tak nagle jak śmierć owada spryskanego Muchotoxem. Matka mogłaby na ten temat powiedzieć coś więcej, gdyby nie fakt, że nie mogła tuż mówić.

Dziewczyna patrzyła na mnie z rozbawieniem, więc nie wiadomo kiedy i jak zacząłem jednak jej wierzyć, że teraz przynajmniej nie grozi mi niebezpieczeństwo. Tymczasem ona wyjęła mi figurkę z zeszywniałych palców i po chwili namysłu odstawiła ją na parapet. Później, tak samo zniemacka jak w ciemnej klatce schodowej, przytuliła się do mnie po raz drugi.

To było zupełnie inaczej niż z Kay. Naprawdę. Choć w grę wchodziły same nieuchwytnie rzeczy. Przecież tak samo jak Kay była kobietą i chodziło nam o to samo i w końcu sprowadziło się to wszystko do tego samego. A jednak!

Kiedy po krótkiej i gwałtownej szamotaninie, wśród przyspieszonych oddechów i podniecających bzyknięć zamków błyskawicznych, stanęła naga, odarta z Seksualnego uniformu, poczułem pod cienką warstwę podniecenia głębokie uczucie zawodu. A więc gonilem nie za doskonałym sprzętem Erotycznym, lecz za tą drobną szczupłą kobietką z lekko krzywymi nogami, o małych piersiach i przerośniętych biodrach.

Poza tym nie była Murzynką. Przeciwnie, miała jasną, niemal białą cerę; Kay nawet

pod majteczkami i stanikiem byle ciemniejsza niż ona.

Rozebrała się nagle, tak że nie zdążyłem poprosić, by pozostała w bucikach. Kiedy opadaliśmy na wąskie twarde łóżko, poczułem zapach kosmetyków i ciała, różny od zapachu Kay, dotykałem skóry jej pleców i ramion, chropawej, jakby przyklejono do niej tysiące małych ziarenek piasku, i kiedy w końcu po krótkim niezdarnym oporze wpuściła mnie do siebie, to wszystko się rozmyło i zmieszało: Podniecenie, poczucie winy, szczątki wstydu, smak nowości, gorąco jej ciała i wnętrza, szepty, jakieś gesty, nieznane pieszczoty odwzajemniane bez wprawy. I na ostatku czający się w cieniu tego wszystkiego niesmak zażenowania i strach przed próbą, której mogę przecież nie sprostać.

Była łapczywa i niezaspokojona. Sprawiała wrażenie kobiety przez długi czas pozbawianej mężczyzny. W przeblysku absurdałnej solidarności, ciepłej i czulej, wyobraziłem sobie, że tak samo jak ja, jest słomianą wdówką, której mąż odwiedza jakieś Zielone Enklawy. Zdążyłem jeszcze wyobrazić go sobie przechadzającego się razem z Kay, tam wśród WODY-DRZEW-PTASZKÓW, zdążyłem pomyśleć, że ten facet mógłby nazywać się Cock... i było po wszystkim.

Nie dla niej. Zdyszana i niezaspokojona wierciła się, pokrzykując bez sensu: teraz ja znalazłem się na dole, łóżko było twarde, pościel paskudnie wilgotna.

- Ach, co ty mi robisz - posapywało, kręcąc się niezdolnie, krzyczała, że jestem wspaniały i że ona jeszcze nigdy nie miała do czynienia z tak męskim facetem. Zachęcała mnie na przeróżne sposoby, ale żaden z nich nie był szczery ani prawdziwy; wiedziałem, co o tym myśleć. To nie ja byłem stroną aktywną, lecz przeciwnie, ona ostro zabierała się do mnie i na pewno nie byłem wspaniały. Byłem ułomkiem, mizernym szczątkiem takiego, jakim znała mnie Kay.

Najgorsze przyszło wraz z porą gestów i pieszczot najbardziej poufanych i najbardziej obrzydliwych zarazem. Nie dało się tego uniknąć. Spłacałem swój dług w ponurym milczeniu, ona pojękiwała z Rozkoszy, a jej palce wczepione we włosy kierowały ruchami mojej głowy ze stanowczym i bezwstydnym zapamiętaniem.

Nad MIASTEM zadudniły silniki i zaświstały śmigła patrolowego helikoptera. Podszedłem ku oknu. Szarzało. Za tym pierwszym helikopterem pojawił się drugi; oba zdawały się wisieć nad Rynkiem, ich załogi lornetkowały pewnie wszystkie uliczki. To trwało zaledwie sekundy, po których maszyny wykonywały zwrot, przeleciały nad naszymi głowami i odleciały gdzieś wstecz nad wschodnie dzielnice. Przypuszczenie, że to właśnie mnie szukają, było śmieszne, ale uznałem, że lepiej zrobić nie pokazując się zbyt blisko przy szybie.

- Odlecieli? - spytała dziewczyna, kiedy hałas ucichł, a tym samym odpowiedź stała się oczywista.

- Już ich nie ma - odpowiedziałem stojąc dwa kroki od okna i nie odwracając głowy w jej stronę. - Oni często tu zaglądają czy tylko w wyjątkowych wypadkach?

Za moimi plecami skrzypnęło łóżko, ale dziewczyna nie wstawała.

- Przylatują pod wieczór i nad ranem. Codziennie. Przecież tu wszystko jest wyjątkowe... Całe MIASTO.

- Pomyślałem po prostu, że może chodzić im o mnie. Nie stawiałem się Pod Kogutem na miejscu zbiórki.

Nad Rynkiem zapalono reflektory, tłum był teraz nie mniejszy niż za dnia, ale część zgromadzonych założyła jakieś Staroświeckie stroje, barwne i bogate. Cała szarzyzna gromadziła się naprzeciwko, na drugim krańcu Rynku, ci kolorowi stali po naszej stronie, obok kamienicy dziewczyny. Kiedy przybliżyłem się na chwilę do okna, spostrzegłem drewniane podwyższenie ustawione niemal tuż przy ścianie budynku. Zanosiło się na jakieś przedstawienie. Wieczorna zmiana zwiedzających miała gorsze widoki z powodu ciemności, wynagradzano im to więc dodatkowymi atrakcjami. Nagle usłyszałem, że dziewczyna mówi coś do mnie.

- Co powiedziałaś?

- Że nie będziesz pierwszy ani ostatni. Takie samowolne pozostania zdarzają się bardzo często. Częściej, niż przypuszczasz...

Odróciłem głowę. Szczupłe ciało leżało odkryte na wąskim łóżku, dziewczyna obiema dłońmi trzymała się za piersi. Jedna noga wyrzucona poza posłanie podpierała się stopą o podłogę. W ciemnościach nadchodzącego wieczoru, skóra kobiety zdawała się lekko fosforyzować. Nie widziałem jej oczu.

- Tak, oczywiście - rzuciłem twardo - i ty to wiesz najlepiej.

Porwała koc i zakryła się nim gwałtownie po samą szyję, podciągając kolana pod brodę.

- Naprawdę nie to miałam na myśli! - zawołała pospiesznie. - Naprawdę. Mówisz tak, bo nie znasz MIASTA. Czasem ich wyłapują przy pomocy psów i wszyscy u nas to widzą, naprawdę nie trzeba zaraz znać tych facetów, żeby się o tym dowiedzieć. Ale tak zdarza się dopiero wtedy, kiedy ktoś zawieruszy się na dłużej niż czterdzieści osiem godzin. Nie mieszkasz tutaj, to nie wiesz. Nie przyjmowałam żadnego z turystów, naprawdę.

Słowo "żadnego" brzmiało z całego oświadczenia najmniej przekonująco. Prawdopodobnie znaczyło po prostu - spałam z małą ich częścią i wołałabym o tym zapomnieć. W to

ostatnie z łatwością mógłbym uwierzyć.

- I co, rozwalają tych czterdziestoosmiogodzinnych zaraz przy bramie?

Pokręciła przecząco głową.

- Daj spokój. Najwyżej wleją parę pałek.

- To gdybym wyszedł już teraz, nie zrobiliby mi nic złego?

Długą chwilę siedziała w milczeniu.

- Lepiej zaczekaj do rana - powiedziała w końcu. Jest ciemno, a kiedy jest ciemno, człowiek nie może niczego wiedzieć na pewno.

Leżeliśmy w ciemnościach. Zza okna dochodziły dźwięki Staroświeckiej muzyki i głosy aktorów wzmocnione mikrofonami. Na szybie i suficie grały barwne światła reflektorów hulających nad Rynkiem. Rozmawialiśmy. Co godzinę z kilkunastominutowym rozrzutem hałasowały zegary na wieżach. Jedliśmy tosty, które pomagałem jej przyrządzać w małej kuchence. Kładliśmy się i potem ona znowu otwierała lodówkę, a ja popisywałem się kulinarnym kunsztem. Miedzy pierwszym a drugim posiłkiem, buszując po mieszkaniu, odkryłem w którymś z załomków szafy z figurkami i bielizną prawie pełną butelczynę.

Wszystko niemal po ciemku, wśród strzępków światła igrających na szybie i suficie. Była miła, usłużna, mimo że od razu, jeszcze na schodach, wymacała na moim palcu obrączkę. Spytała o nią dopiero wtedy, kiedy wziąłem ją po raz trzeci i wszystko się udało i było jak trzeba, na czas, i miałem radosne uczucie, że wreszcie zasłużyłem na wszystkie poprzednie komplementy.

- Jesteś żonaty?

- Tak.

- I kochasz żonę?

Przyciągnąłem dziewczynę do siebie i odpowiedziałem krótko z ustami w jej włosach.

- Tak.

Ona przytuliło się także.

- I na pewno macie dziecko.

- Nie, nie mamy. Ale będziemy mieć - wcale nie miałem tej pewności.

- Wolałbyś chłopca czy dziewczynkę?

To nie było mądre pytanie. Zwłaszcza że istniało tyle nie wyjaśnionych spraw, które ona, być może, potrafiłaby choć częściowo mi rozświetlić.

- Słuchaj, czy jest jakiś sposób, żeby zamieszkać w MIEŚCIE, żeby dostać tu pokoik taki jak twój?

- Nie wiem, myślę, że nie. Nigdy nie widać tu nowych twarzy. Wszyscy w MIEŚCIE znamy się na pamięć, ale poza zwiedzającymi nikt tu nie przychodzi. Na stałe na pewno nikt.

Więc skąd wyście się tutaj wzięli?

- Rzemieślnicy - wyjaśniła - budowlani, snycerze, brązownicy, dekarze, kamieniarze. Wszyscy, którzy budowali MIASTO.

- Twój ojciec...

- Tak - kiwnęło głową. - Tak, mój ojciec nie żyje. Był brązownikiem. To on zostawił mi to mieszkanie. Rodziny zachowują prawo do pozostania.

- Figurki to robota ojca

- Coś ty, tamtą partię sprzedałam już dawno, ale koledzy ojca robią je nadal. Ruch jest duży, przecież każdy chciałby zabrać stąd coś dla siebie.

Bardzo dużo było w rym niejasności. Ona to wiedziała i ja to wiedziałem, i ona wiedziała, że ja wiem. Leżała teraz na plecach niechętna rozmowie i kusicielska zarazem. Sprawiała wrażenie osoby, która zamierza oganiać się od pytań, choć jednocześnie gotowa jest je wyprzedzać.

Podsunać jedno pytanie jedynie w tym celu, żeby inne nie przyszło mi do głowy. A jednak po chwili namysłu zmieniła taktykę, przekręciła się na bok, zrobiła rozwścieczoną minę i spróbowała mnie spieszyć.

- Słuchaj, nie zostałeś tu chyba, żeby wypytywać o...

- Twój ojciec umarł z powodu tych brązów - przerwałem jej. - Wiesz o tym dobrze. I ci ludzie, którzy je od ciebie kupują, umrą także. Wiesz o tym.

- Ja żyję - fuknęła. - Zobacz - uniosła się na łokciach, wciągnęła brzuch. Piersi się jej uniosły. Wyglądała teraz tak ponętnie, że na sekundę przestałem wierzyć w to wszystko, co dotychczas nam się przydarzyło. - Ja żyję i ty też będziesz żyć. I oni wszyscy takie. Zobaczysz!

- Byłem mały, kiedy ogłosili to o złocie, srebrze i o mosiądzach - powiedziałem ze złością. - Mieliliśmy w domu mosiężny lichtarz i srebrny krzyżyk, wisiały na ścianie i matka niemal codziennie wycierała je z kurzu. Pamiętam to do dziś. Ociec prosił matkę, żeby oddała te drobiazgi od razu, jak tylko to ogłoszono, ale matka nie chciała, więc ojciec i ja obchodziliśmy ścianę z krzyżem i lichtarzem z daleka, w ogóle staraliśmy się nie wchodzić do tego pokoju. Matka...

- Wiem - powiedziała dziewczyna lekceważąco i odwróciła się. - Pamiętam. Mówili nam tutaj a tym. No i co, nic się przecież nie stało.

- Nic? Zabrali lichtarz i krzyżyk dopiero ci faceci w maskach i antyradiacyjnych kom-

binezonach. Matka bardzo za nimi płakała, ale wkrótce po tym wszystkim umarła na białaczkę. Ojciec do końca życia robił sobie wyrzuty, że nie postawił na swoim. A ty mi mówisz, nic się nie stało.

Przekręciła się w moją stronę. Jej piersi znowu dotknęły moich, w oczach, które widziałem teraz z bliska, pojawiło się coś ciepłego. Jakaś zachęta i jednocześnie niepewność. Nie, to było obawa przed czymś czy przed kimś trudnym do nazwania. To był strach.

- Słuchaj, ja żyję. Czego chcesz - rzuciła szeptem. Ci brązownicy, od których biorę towar, niektórzy z nich przekroczyli już siedemdziesiątkę. Niemal całe życie w tym fachu. Mój ojciec też nie umarł od tego. Wiem na pewno. Zginał w wypadku, kiedy wyszedł z MIASTA.

- Wpuszczają was z MIASTA?

- Prawie tak samo rzadko, jak was tu wpuszczają.

- I co, godzicie się z tym?

- A wy się nie godzicie?

To przynajmniej było logiczne. Jedyna logiczna rzecz w całym oceanie nieprawdopodobieństwa i absurdu. Może gdybym nie widział cierpień matki...

Nagle zupełnie nieoczekiwanie dziewczyna pocałowała mnie w usta.

- To trochę nie tak - szepnęła pojednawczo, a potem wzięła w dłonie mą głowę i zatrzymała ją przy swojej. Widzisz, możemy mieszkać poza MIASTEM, zachęcają nas nawet do tego, ale pod warunkiem, że nigdy już nie zechcemy tutaj powrócić. Gdybyś nie był żonaty...

- I co, nikt nie chce wyjść stąd na stałe?

- Pewnie, że nie. Na początku znalazło się podobno paru ryzykantów, ale później nasi spotykali ich na zewnątrz i tamci mówili, że strasznie żałują, że dali się nabrać. Dlatego zostajemy, mimo że nie mamy telewizji ani specjalnych wygód, ani metra. Każdy się pilnuje, żeby za dużo nie powiedzieć, bo wtedy można stąd wylecieć w ciągu godziny czy się chce, czy nie.

- Uważacie, żeby co?

Na jej twarzy pokazał się wyraz przestachu. Potem złości. A jeszcze potem przebiegłości.

- Och, żeby nic - zachnęła się i znowu zobaczyłem jej plecy.

I wtedy powiedziałem jej wszystko. Zupełnie nieoczekiwanie coś się przełamało i zamiast pytać, zacząłem mówić sam. O chusteczce, o porwaniu, o rozmowie z Szefem pionu B i o wszystkich spostrzeżeniach, które nie układały się w żadne konkretne podejrzenie poza tym jednym, że w całej sprawie jest dużo fałszu i ogromna masa faktów, o których nie mam pojęcia. Powiedziałem dziewczynie o pokreślonym liście od Kay i o małym kalece u fryzjera, i o

mojej tęsknocie do żony, i o niewydarzonym proroku pobitym przez tajniaków, i o wrażeniu, jakie zrobiło na mnie MIASTO - o tym niezapomnianym wrażeniu, które będzie tylko zatrwać mi życie wśród szarych jednostajnych wieżowców. Mówiłem, ponieważ czułem, że jeśli nie opowiem komukolwiek o tym, co zdarzyło mi się w ciągu ostatnich paru dni, to chyba zwariuję. Byłem w takim stanie, że zwierzyłbym się pierwszej lepszej osobie, która zechciałaby mnie wysłuchać. Ale wyznałem wszystko także dlatego, że dziewczyna zdradziła się w końcu, że zna jakąś tajemnicę, że ją ukrywa i że się boi. Chciałem się odkryć do końca. Żeby ono mogła odkryć się także.

Słuchała w ponurym milczeniu. I mimo że cała historia zdawała się odbijać w niej jakimś skrywanym zrozumieniem, mimo że wszystkie wydarzenia, o jakich opowiadałem, zdawały się układać w jej głowie w całość znacznie bardziej kompletną i przejrzystą od tej, jaka rysowało się przed moimi oczami - milczała do końca.

Po paru minutach nie było już co opowiadać. Wtedy, cały czas w milczeniu, zarzuciła mi ręce na szyję, jej nogi oplotły mnie, i z powolną, serdeczną zaciekłością powtórzyliśmy to samo co poprzednio, tyle że ja poruszałem się i w ogóle wykonywałem wszystko, co do mnie należało, z wielką wprawą. Nie czułem się pijany, naprawdę. ale zrobiło się już bardzo późno, środek nocy, i było tak, jakbym to nie ja kochał się z tą dziewczyna, lecz jakbym całą scenę obserwował z oddalenia przez ciemnoniebieską szybę, pogrążony w bezgranicznym smutku i rezygnacji pożegnania. Jak we śnie.

Spisywałem się nad podziw dobrze, wiedziałem o tym, nie musiała mnie chwalić ani zachęcać. Niepotrzebne były także tym razem dopingujące kłamstwa. Tyle tylko, że kiedy skończyliśmy, wydało mi się przy któryms z dogasających nad Rynkiem reflektorowych błysków, że dziewczyna ma mokre oczy. Że płacze.

Ranek rozpoczęło dudnienie helikopterowych silników. Czułem się nad podziw rześko, dziewczyna przyzwyczajona do hałasu codziennych patroli spała nadal zakryta szczelnie pod samą szybę. Przez szybę widać było dwie maszyny wiszące nad Rynkiem. Miasto spowijała różowa mgielka zabarwiona słońcem wschodzącym gdzieś za moimi plecami. Rynek był pusty, jedynie przy wieży Koguta stał mały gospodarczy samochód, z którego faceci w białych marynarkach i czarnych spodniach wynosili jakieś tace i wbiegali z nimi po schodach do wieży. W paru oknach paliły się jeszcze światła i kiedy helikoptery odleciały, dały się słyszeć dochodzące z tych okien odgłosy zupełnie niefachowych prób gry na akordeonie i pijackie okrzyki.

Rynek, wieże, kamieniczki z przeciwka - wszystko pogrążone było do połowy w wil-

gotnym cieniu poranka, długie cienie kładły się w uliczkach odchodzących od Rynku. Chłód bił od okna. Teraz z rana, kiedy na dole prawie nie spostrzegało się ludzi, całość - Rynek, wieże z zielonkawymi kopułami, Forteca, ceglane zczerniałe dachy kamieniczek - była klarowna i przejrzysta. Znacznie bardziej przejrzysta, niż dla kogoś, kto oglądał ją z dołu. Na drugim planie unosiła się nad MIASTEM zgraja niemal jednakowych, czerwonych w porannym słońcu wieżowców. Rozpoznałem tylko dwa z nich, wieżowce Cebuli i Sałaty. Wyglądało, że wcześniej czy później wszystkie one muszą wtargnąć tutaj i tak czy inaczej rozdepczą MIASTO kiedyś i pochłoną.

GRAY

“Ktoś musiał zrobić doniesienie na Józefa K. (...)”

Franz Kafka “Proces”

To mogło być złudzenie, ale facet wyglądał mniej pewnie niż za pierwszym razem. Miał podkrążone oczy i nerwowe palca, które stuknęły w powierzchnię biurka zupełnie jakby bez udziału jego woli. Nienaganne perfumy nie robiły już na mnie olśniewającego wrażenia; sam opuszczałem MIASTO umyty, ogolony, skropiony resztką jakiejś wody znalezionej w szafeczce dziewczyny. Przystojna sekretarka nie ćwiczyła się w rentgenowskim spojrzeniu, mimo że Szef dawał jej do tego powody besztając mnie, podnosząc głos i wymachując z irytacją rękami.

W całej historii ostatnich dni pewne elementy zaczynały się powtarzać. Dostarczony błyskawiczną suką spod bram MIASTA znowu stałem przed Szefem pionu B, znowu jeśli tylko okaże się to możliwe, gotów byłem prosić o pozwolenie na kolejną wizytę w STARYM MIEŚCIE. Przyszło mi do głowy, że być może, mam teraz jeszcze większe szanse niż za pierwszym razem, i że skoro trafiają się już powtórki, wyjaśnienie wszystkich tajemnic jest bliskie.

- Co pan wyprawia do ciężkiej cholery - wrzeszczał Szef pionu B, ale tkwił w jego słowach wyrzut płynący skądś wyżej i nie do mnie skierowany, który on przekazywał mi jedynie po to, żeby sobie dodać otuchy. - To my idziemy panu na rękę, wpuszczamy pana między te zwariowane Starocie, a pan się zawierusza u jakiegoś kurwieszona na całe trzynaście godzin. W dodatku pytania, zwierzenia, w dodatku ta figurka... Uwierzył pan tej zdzirze, życie panu niemiłe?

Chwycił posążek szczypczykami o długich kleszczach i demonstracyjnie trzymał dłoń daleko od siebie. Tylko że było to zagrane niedobrze, nieprzekonywująco. Ponadto brakowało synchronizacji - sekretarka nie drgnęła w czasie jego manewrów ani na milimetr. Zresztą strażnicy także nie wyglądali na przestraszonych, kiedy gołymi dłońmi wśród śmiechów i życzliwych bez mała palnięć w plecy, odbierali mi z rana figurkę przy bramie.

Pomyślałem, że byłoby zabawnie, gdyby sekretarka zaproponowała nam kawę. Widziałem już Szefa, swojego Szefa z pracy w takim stanie - jakże strasznie odległe stało się to w ciągu paru dni - i stąd pewność, że tym razem nie ja zamoczylibym spodnie.

Na jego biurku zadzwonił telefon.

- Tak - powiedział SzeF pionu B podnosząc jedną z trzech słuchawek, a jego twarz zmarkotniała. - Tak jest - dodał, pochylił ramiona i oparł się o biurko. Jeśli w końcu nie wstał i nie prowadził rozmowy wyprostowany na baczność, to nie tylko dlatego, że spostrzegł w moich oczach oczekiwanie na taki właśnie rozwój sytuacji. Także sekretarka popatrywała na niego ironicznie znad maszyny do pisania.

- Nie, tak... nie - tłumaczył komuś głosem człowieka, którego spotkało niezasłużone nieszczęście. - Tak, nie, wydaje mi się, że nie.

W oczach sekretarki pojawiła się nieskrywana sympatia i błyski podziwu. Wcale nie byłem pewien, czy powinienem z tego powodu polubić tę dziewczynę.

- ...miałem właśnie zamiar - tłumaczył nie patrząc na nas SzeF pionu B, lecz tam po drugiej stronie przewodu ktoś gniewny i zawiedziony nic pozwolił mu żadnego zdanie dopowiedzieć do końca. - Tak - wyglądał na bardziej przestraszonego... - Pomyliłem się... Nie - spojrzał na mnie. - Jest tutaj.

Przewidziałem to. Naprawdę. Po raz pierwszy od paru dni nie czułem się zaskoczony. To było coś wspaniałego, zalała mnie fala dumy. SzeF pionu B na sekundę przesłonił dłonią słuchawkę, wskazał na mnie, pstryknął palcami i dał sekretarce znak, żebyśmy wyszli razem na korytarz. Przewidziałem to.

Wstała ociągając się i zamiast od razu otworzyć drzwi, podeszła najpierw do mnie, tymczasem on niecierpliwił się poganiając ją grymasami twarzy i ruchami dłoni.

- Tak - rzucił z ulgą do słuchawki, kiedy stanęliśmy już w drzwiach. - Mam pewne powody, by przypuszczać, że tak... No właśnie. I dlatego też pomyślałem o obozie... Trwa tam akurat... -drzwi się zamknęły.

Używała takich samych perfum jak dziewczyna z MIASTA i to dostarczyło mi uczucia delikatnej przewagi. Ale nie nastąpiła żadna z rzeczy, o których myślałem. Nie powiedziała ani słowa na temat swojego Szefa, nie pogratulowała mi zamętu, jaki musiał powstać z powodu mojej osoby. Nic z tych rzeczy. Wskazała mi ławeczkę przy drzwiach. Dziwna sprawa, nie zauważyłem tu ławeczki, kiedy byłem w gmachu po raz pierwszy.

- Proszę zaczekać - powiedziała chłodno. - To długo nie potrwa. Zaraz pana zawołam - i zniknęła za drzwiami pokoju 802.

W końcu korytarza widziałem inne drzwi, za którymi nie tak dawno spędziłem kilkadziesiąt koszmarnych godzin. Po korytarzu, pod chłodnym blaskiem świetlówek, tak samo jak poprzednio przechodzili mężczyźni i kobiety, jeden z mężczyzn niósł na ramieniu czarną skórę, sapał i ocierał chusteczką spocone czoło. Ale ten widok robił na mnie nikłe wrażenie - nie byłem już przestraszonym debiutantem.

Wróciłem oczami do tych nieszczęsnych drzwi z sąsiedztwa. Pewnie i teraz męczą za nimi jakiegoś denata, facet nie może zasnąć, liczy godziny i złorzeczy tym, który go zamknęli. A może drży w panice, która przecież nie tak dawno była i moim udziałem. Teraz, dopiero teraz uświadomiłem sobie dokładnie sens słów, jakie padły w pokoju. Pani Cock... nie wiem, czemu myślałem o niej - pani Cock... A więc oni wiedzieli o dziewczynie z MIASTA, facet mówił o zwierzeniach i pytaniach. Nie usłyszeli tego na pewno ode mnie. Mieli ją więc na podsłuchu albo pani Cock wygadała się sama. Siadłem. Widok drzwi do pokoju bez okien nie wydał mi się już bezpieczny ani zabawny.

Sekretarka wychyliła kształtną główkę i zawołała wesoło.

- Niech pan wchodzi, Szef pana prosi.

Stał przy drzwiach przyjaźnie uśmiechnięty, z gościnnie rozłożonymi ramionami.

- Proszę, niech pan siada - powiedział serdecznie, klepiąc mnie po plecach. Sam z powrotem zajął miejsce za biurkiem i głęboko spojrzał mi w oczy. - Po co panu to było? - spytał po długiej chwili ciszy. - Naprawdę nie rozumiem.

Te czułości były jeszcze bardziej peszące niż szaleńcze wrzaski.

- Dziesięć godzin to naprawdę bardzo mało - powiedziałem z namysłem. - Ja...

Uniósł obie dłonie w geście wyrażającym zdziwienie.

- Może kawy - zapytał rutynowo. - Nie... Dziękujemy, pani Char, ja też nie - wrócił do mnie. - Niechże pan mi się przyjrzy, nigdy nie byłem w MIEŚCIE, naprawdę. Czy wyglądam na człowieka nieszczęśliwego?

Teraz rzeczywiście nie wyglądał, ale jeszcze przed chwilą niewiele mu brakowało.

- Marzyłem o tym od lat - powiedziałem - i gdybym mógł, chciałbym wrócić tam znowu.

Myślałem, że powtórzy sztuczkę z dłońmi. Po sekundzie uznał jednak, że nie warto dewaluować niektórych efektów.

- Niechże się pan nie kompromituje - mruknął niedbale i perswadując jak dziecku. - XXI wiek i pan, człowiek młody... Pani Char, niechże pani coś powie, pracujemy razem parę lat... Czy prosiła mnie pani kiedykolwiek o tę drobnostkę?

Oczywiście odpowiedziała, że nie.

- Nigdy, widzi pan - podchwycił tryumfująco. - Naprawdę, dziwię się panu.

Wpadłem w panikę. On znowu się rozpędzał, coraz bardziej mu smakowały własne argumenty. Otarłem się o coś ważnego, lecz on to coś delikatnie i obracając wszystko w żart wyjmuję mi z rąk, a ja niewiele mogę poradzić. W jego zachowaniu najbardziej deprymujące były zmiany nastroju i taktyki. Nie mogłem także zapomnieć o pokoju bez okien.

- Tak szczerze mówiąc, to sam przyznaje mi pan rację - powiedział po łajdacku. - Przecież widzę.

To było oczywiste, udało mu się zepchnąć mnie do głębokiej obrony. Mimo, że musiałem wyglądać żałośnie, postanowiłem jednak nie rezygnować.

- Rozumiem - jęknąłem. - Tak, oczywiście rozumiem, że pan i pani Cher nie widzicie w MIEŚCIE niczego ciekawego, ale dla mnie to jest naprawdę bardzo interesująca sprawa... Ja... - spoglądał rozbawiony i to uświadomiło mi, jak bardzo go nienawidzę - to wszystko zaczęło się przecież od chusteczki i od krwi, która wcale nie była...

Po twarzy Szefa pionu B przesunęła się ciemna chmura. Ta chmura rzuciło brzydki cień, ale zaraz po niej wróciło słońce.

- Ach, mówi pan o tym biologu... Tak, przypominam sobie, zbadaliśmy sprawę. Nie-douczoney bałaganiarz. Pomylił po prostu odczynnik i został oczywiście pouczony. To się nie powtórzy.

- A jednak chciałbym prosić...

- Może panu, Neut, idzie o tę dziewczynę z MIASTA - dzielnie podpowiedziała pani Char. Kibicowała nam znad maszyny, ale wyglądało, że tym razem bierze stronę Szefa.

- To dałoby się zrobić - puścił do mnie oko. - Tylko że nie musi pan w tym celu wchodzić do MIASTA. Tym razem wypadaloby zrobić coś dla niej. Dwu, może trzydniowa przepustka dla dziewczyny, co pan na o? O ile wiem, żona chwilowo jest nieobecna.

- W ogóle nie myślałem o dziewczynie, chodzi mi tylko o MIASTO...

- Panie Neut - powiedział i zabrzmiało to definitywnie i nieodwołalnie. - Panie Neut, naprawdę, niech pan się nie ośmiesza, MIASTO to przeżytek, wie pan a tym tak samo dobrze jak ja. Ludziom na pewnym poziomie po prostu nie wypada... A jest w dodatku cała masa uparciuchów, którzy podobnie jak pan... Po prostu kilometrowe kolejki. Nie, to nie ma sensu, naprawdę.

Pędził, wprost frunął, nie było teraz siły, która mogłaby go powstrzymać.

- Ja...

- Och, niech pan nie przerywa. Postanowiliśmy zrobić coś dla pana, a pan ciągle przeszkadza. MIASTO... otóż widzi pan, jest tyle ciekawszych spraw od MIASTA. Nie chcę już przypominać panu rzeczy, których uczono w szkole. Ale weźmy Współczesną Sztukę, Postęp, Technikę, ot choćby ten BarwoMobil, pan ma to w domu?... Nie? Właśnie, a wypadaloby... Należy iść z Duchem Czasu. Kiedyś naprawdę trzeba będzie zlikwidować tę rupieciarnię - to ostatnie mówił do pani Char, która ze zrozumieniem przytaknęła głową. - Podkreślam to od dawna. MIASTO to przeżytek, to z jego powodu różni, zupełnie niegłupi ludzie stoją w miej-

scu. Gorzej, Neut, oni oglądają się wstecz, cofają się, zamiast iść do przodu. SonLumiere, weźmy na przykład SonLumiere, to wspaniała Technika, Przyszłościowa, ale oni oglądają się na MIASTO. Dobrze, panie Neut, niech pan się opiera, a my i tak zrobimy z pana człowieka, będzie pan nam jeszcze dziękował.

Urwał. Pochylił się, sięgnął do jednej z szuflad biurka wyciągając stamtąd wydłużony i cienki niebieski zeszytek. - Bilet - powiedział - bilet na samolot. Dziś, za dwie godziny, polecą pan do Odkrywki. Był pan tam kiedyś?... Trwa tam teoretyczne zgrupowanie Artystów. Plener Współczesnych Artystów, rozumie pan coś z tego, Neut? Widzę przecież, że niewiele. Dlatego tak dużo myśli pan o MIEŚCIE i o innych niepoważnych sprawach. Start dziś o dwunastej. Wieczorem będzie pan na miejscu. Całość potrwa jeszcze pięć dni. Mam nadzieję, że tam nauczy się pan odróżniać rzeczy wartościowe od niepoważnych. Sztuka, Współczesna Sztuka, Neut - powtarzał potrząsając biletami. - Będzie pan nam dziękował... Ale to już telefonicznie. Mamy tu więcej roboty, niż ktokolwiek przypuszcza.

Odkrywka... Wielka Odkrywka. Ta nazwa coś mi mówiła. - Czy to nie ma jakiegoś związku z WODĄ-DRZEWAMI-PTASZKAMI?

A jednak powtórzył gest z dłońmi uniesionymi nad biurkiem.

- Panie Neut - powiedział z pięknie zagraną rezygnacją, pokręcił głową spoglądając błagalnie w stronę pani Char, jakby u niej szukając współczucia. - Nie pała go, to kastetem, co ją z wami mam, Neut... Zresztą zgoda, częściowo ma pan rację. Niezupełnie co prawda WODA-DRZEWA-PTASZKI, ale coś w tym rodzaju. Na pewno się panu spodoba... I może w końcu przestanie nas pan zanudzać niepoważnymi pomysłami.

Zawieźli mnie suką na to samo lotnisko, z którego przed paroma dniami wystartowała Kay. Wszystko było identyczne jak przedtem - dziesiątki telewizyjnych ekranów migały zapisami lotów, na płycie stały te same pewnie helikoptery z nieruchomymi tym razem śmigłami i dwa pasażerskie odrzutowce średniej wielkości. Przy jednym z nich kręcili się mechanicy z obsługi lotniska. Olbrzymi Bambo błyszcząc w słońcu kołował na pasie startowym. W lotniskowym barze ta sama panienska, na której wielki biust zwróciłem uwagę już poprzednio, podawała alkohole, Colę i sandwicze w folii. Przyszło mi do głowy, że pewnie część butelek, a może i niektóre kanapki, są jeszcze te same, ale zaraz potem pomyślałem, że przecież nic z tego nie wynika.

Młody konwojent, podobny nieco do tego, który razem z grubasem wyciągał mnie wtedy z mieszkania, przyczepił mi na pożegnanie barwny plastikowy znaczek do lewej kłapy kurtki. W ciągu ostatnich dni przesunęło mi się przed oczami i wbiło w pamięć kilka zupełnie

nowych i nie znanych dotąd twarzy, więc zacząłem chcąc nie chcąc porównywać je ze sobą. To było silniejsze ode mnie.

Wysokie blondwłose chłopisko po wskazaniu mi drogi do komory przejściowej i przypomnieniu numeru lotu odeszło szybkim krokiem w stronę wyjścia. Ale przez oszklone ściany lotniskowego hallu widziałem w słońcu, że suka nie rusza, a czoło konwojenta, na które spadają długie jasne włosy, przylepia się do szyby szoferki. Czekali, dopóki nie odlece, na wszystko mieli oko, jak wtedy nocą, nie mógłbym się im wymknąć. Zresztą nie miałem dokąd uciekać, w wyprawa do Odkrywki, mimo że przymusowa, zaczynała mnie podniecać. Poza tym nigdy dotąd nie leciałem samolotem.

Na plastikowym krążku wielkości dziecięcej dłoni czerwień walczyła z żółcią i silnie luminującym błękitem. Znaczek miał centymetrowej szerokości czerwone obrzeże, środek tego czerwonego pierścienia wypełniało żółte tło, na które nałożono wizerunek czerwonych dłoni trzymających niebieski aparat fotograficzny. Kamera, z powodu tego błękitu, wprost wibrowała i zdawała się odrywać od plastikowego krążka. Tajniak w pośpiechu przyczepił mi znaczek do góry nogami. Odpiąłem go i zawiesiłem prawidłowo.

W komorze przejściowej czekało około dwudziestu osób. Prawie komplet. Zaraz przy wejściu stała grupka młodych mężczyzn w garniturach i z dyplomatkami w dłoniach najprawdopodobniej urzędnicy średniego szczebla - i czterech albo pięciu fizycznych w elegancko na podróż wypranych i odprasowanych drelichach.

Urzędnicy i fizyczni nie dostrzegali siebie nawzajem, mimo że jedni i drudzy zachowywali się bardzo podobnie. Stali w dwu oddzielnych grupkach, hałaśliwie opowiadali dowcipy, zapijali cienkimi łykami Coli kęsy sandwichów, niedyskretnie pokazując palcami w głąb komory. Spojrzałem przez ich ruchliwe ręce i sylwetki - rzeczywiście, było na co popatrzeć. W głębi siedziała olśniewająca dziewczyna, takich nie spotyka się często ani w życiu, ani nawet na ekranie. Tamta z MIASTA byłaby przy niej jak starsza siostra, brzydsza i gorzej ubrana. Tu po prostu oczy bolały od patrzenia, a we wnętrzościach coś aż kłuło od nie dopowiedzianych marzeń. Miała wszystko na swoim miejscu: wspaniałe czoło, włosy, spojrzenie, siedziała jak królowa, wyglądała jak królowa i czuła się jak królowa. Fakt, że nigdy w życiu nie widziałem prawdziwej królowej, nie te czasy, nie zmniejszył mojej pewności. Obok dziewczyny tkwił starszy łysy facet z wściekłą gębą, tatuaż albo majątny kochanek, wszystka jedno. Sytuacja była beznadziejna, stojący przy wejściu doszli już dawno do tego samego wniosku, dlatego i jedni, i drudzy ograniczali się do spojrzeń, prymitywnych drwin i zalotów na odległość.

Trudno było powstrzymać oczy, po prostu same biegły ku tej dziewczynie, zawzięłem

się jednak, postanawiając dokończyć przeglądu. Niezbyt elegancki facet w podeszłym wieku, niewiele młodsza od niego kobieta, chyba żona, dwie dziewczynki z matką kurczowo trzymające ją za ręce, drzemiący jak gdyby nigdy nic gość w niebieskawym mundurze, jasnowłosy trzydziestolatek z małą podrózną torby ułożoną między nogami...

Zatrzymałem się przy nim. Było coś zastanawiającego w twarzy tego człowieka. Przyglądał mi się od dłuższego czasu, chyba od samego początku, jak tylko, po rozstaniu tajemniczym, stanąłem w drzwiach komory. Na chwilę odwróciłem wzrok, nieprzygotowany na taką ostentację i wmawiając sobie, że się mylę, spróbowałem się trochę przygotować, a potem wróciłem doń oczami. To nie było złudzenie. Facet gapił się nadal z niewytłumaczalną natarczywością. W jego szczupłej wyrazistej twarzy niechęć i podejrzliwość mieszała się z nieokreśloną nadzieją. Niebieskie oczy patrzyły nieufnie, ale zarazem usiłowały być w szczególny sposób zalotne - w każdym razie nie było w tym nic z rutynowego spojrzenia łapacza ludzi.

Dopiero po dłuższej chwili milczącego badania, w lewej klapie jego szarego wiosennego płaszcza spostrzegłem identyczny znaczek, jaki dostałem od konwojenta.

Widoczne zza okrągłej przesłony dwu grubych i niezbyt czystych szyb absurdalnie nieruchome skrzydło samolotu odrywało się od betonowego tła umykającego coraz szybciej spod maszyny. Poszliśmy ostro do góry, silnik zdawał się pracować na najwyższych obrotach. I potem, kiedy skończyło się lotnisko, a pod skrzydła weszły wydłużone prostopadłościany wieżowców, nastąpiło raptowne załamanie. Poczulem się tak, jakby ktoś delikatnie zanurzając dłonie w mój brzuch wyjmował mi z ciała wnętrzności. Pomyślałem, że spadamy. Jęknęła któraś z dziewczynek, ale zaraz po niej jakiś mężczyzna tuż za moimi plecami parsknął śmiechem ulgi. Zwolniłem kurczowy uścisk na poręczy fotela. Nieprzyjemne wrażenia ustały, żołądek wrócił na swoje miejsce.

- To tak zawsze w minutę po starcie - spróbował mnie uspokoić siedzący obok trzydziestolatek.

Płaszcz z przyczepionym do klapy krzykliwym znaczkiem upchnął przy mojej kurtce w automatycznie otwierającym się pojemniku nad naszymi głowami, torbę włożył pod fotel. Potem usiadł obok nie mówiąc, siedział, nerwowo krzyżując stopy, raz kopnął mnie przy tym i natychmiast przeprosił skinieniem głowy. Odbierałem to wszystko kątem oka, przylepiony do okienka, obserwując lotnisko i moment startu. Odezwałem się dopiero, gdy pofrunęliśmy w górę.

- Zdaje się, że lecimy w to samo miejsce - powiedziałem nie patrząc w jego stronę,

lecz na cienkie smużki mgły, które poczynały przesłaniać malejący w dole obraz betonowych budynków - w to samo miejsce i w tym samym celu.

- Możliwe - przytaknął z nieskrywanym wyzwaniem w głosie. - Tylko tak się składa, że ja nie jestem Współczesnym Artystą.

Oderwałem oczy od okna i spojrzałem na niego. Była w jego twarzy zapalczywość, która mogła się podobać i która wzbudzała zaufanie.

- Ja także nie jestem - wyjaśniłem. - Jadę na Odkrywkę, nie wiem po co. Kazali mi. Facet z AMF powiedział, że wybiją mi tam z głowy Starocie i w ogóle zrobią ze mnie człowieka.

- Nastąpiła gwałtowna przemiana. Błyskawicznie podał mi dłoń; wyraz nieufności całkowicie zniknął z bladej twarzy. Nie było także agresywności w jego głosie, gdy się przedstawiał krótko i z godnością.

- Jestem Gray, inżynier Gray. Także jadę tam przymusowo. I nie sadzę - uśmiechnął się szeroko - żeby zrobili ze mnie człowieka. Za późno się do tego zabrali.

Jeśli grał, to był bardzo dobrym aktorem. Przypomniałem sobie dziewczynę z MIASTA, ciągle w myślach nazywałem ją panią Cock - ona niczego nie grała i nie udawała. Przeciwnie, robiła wiele, bym milczał i sama przecież nieskora była do mówienia.

- Raz jeden byłem szczery - powiedziałem patrząc mu w oczy - z taką jedną panią w MIEŚCIE - przy słowie MIASTO ożywił się - i nie wiem, czy miała mikrofon w szafie, czy gdzie indziej, czy wygadała się przez telefon, kiedy opuszczałem MIASTO, czy byli u niej od razu po moim wyjściu, dość, że wiedzieli o wszystkim już po paru godzinach... Taki wypachniony palant z ósmego piętra AMF, Szef pionu B, dziś rano czytał we mnie, jakby miał na biurku stenogram naszej rozmowy.

Gray zbagatelizował moje przypuszczenie, że również on mógłby być tajniakiem. Po prostu nie przyszło mu to do głowy.

Też myślałem o mikrofonach - wskazał palcem na swoją pierś - i przed odlotem dokładnie przeszukałem wszystko w toalecie. Mieli moje ubranie, mogli mi zapuścić jakąś pluskę... i nic, naprawdę nic nie znalazłem.

- A znaczek? - myśl o znaczku była jak olśnienie.

Długo oglądaliśmy nasze znaczki pod światło okienka. Misterna stalowa agrafka wtopiona w plastik. Naprawdę nie było niczego innego w plastikowej masie.

Nagle stuknął się w czoło.

- Samolot - zawołał półgłosem - blachy działają jak ekran. Poza tym chmury, odległość... Do tego trzeba by normalnego nadajnika i anteny. Nie ma szans, żeby odebrać sygnał

pluskwy z samolotu i w dodatku z takiej odległości.

- Może maja tu kogoś?

- Trudno to wykluczyć, ale ten w mundurze wiecznie śpi, a reszta wygląda na normalnych. Fizyczni i urzędnicy myślą tylko o panience, która leci z tym starym.

- Sądziłem, że na każdej trasie lata jakiś etatowy.

- Pewnie jest jakiś - szepnął drapiąc się w głowę - ale nie musi o nas wiedzieć, nie musi wiedzieć o tobie... Zaraz - zapytał, coś sobie przypominając - to kiedy właściwie zdecydowali, że lecisz do Odkrywki?

- Dziś rano.

- Jasne - uderzył się dłonią po kolanie - jasne jak słońce. Bo ja o tym, że lecę, wiem od czterech dni... To przypadek, że lecimy razem. Przypadek, że możemy rozmawiać. Bałagan - powiedział z pogardą - jak zwykle i na szczęście bałagan. Gdyby nie to, w ogóle nie można by było wytrzymać.

Przyszła stewardesa z napojami. Nie tak dobra jak dziewczyna siedząca z łyskiem w przedniej części samolotu, ale też niezła. Potem facet z fotela po drugiej stronie pytał Graya o gazetę i wyniki ostatnich rozgrywek. Potem ja musiałem iść do toalety i siedziałem tam bardzo długo w antyseptycznym wnętrzu pełnym chromów i nikli, wśród dudnienia silników, ogarniany falowo atakami ogromnej podejrzliwości i równie wielkiej nadziei. Miał twarz, której można było uwierzyć, i mówił w sposób zasługujący na zaufanie. Już po minucie rozmawialiśmy tak, jakbyśmy się znali latami. Rzeczywiście znalazł się w podobnej sytuacji jak moja, czy tylko starał się, oni się postarali, żeby to tak wyglądało? Tak czy owak postanowiłem go pytać, i jeśli się uda, uzyskiwać wyczerpujące odpowiedzi. Wszystko, co wiedziałem, powiedziałem już przecież pani Cock, a więc oni wiedzieli to także.

Przed wyjściem z toalety długo i cierpliwie przeszukiwałem kieszenie i wszystkie zakamarki ubrania. Zajrzałem nawet do butów. W tej sprawie przynajmniej Gray mówi prawdę - nie znalazłem żadnego mikrofonu,

Stewardessa roznosiła tace z obiadem. Była jarzynowa zupka, mizerny kawałek Mięsa z odrobiną Frytek i listkiem Sałaty. Fizyczni i urzędnicy podnieceni dziewczyną łyska, a także rozgrzani jeszcze czymś mocniejszym, zaczepiali stewardesę. Jeden z urzędników próbował ją zastąpić w roznoszeniu tacek. Oganiała się łagodnie, ale stanowczo, zupełnie nieprzyjęta zalotami. Po paru minutach, kiedy każdy dostał swoją porcję, pasażerowie ucichli i słychać było tylko równe buczenie silników. Lecieliśmy teraz ponad chmurami, nieruchome skrzydło lśniło w słońcu, cień samolotu mknął dołem po pierzastych pagórkach. Każdy, jak mógł, tak dłużył przy twardym kawałku wygotowanej wołowiny plastikowym widelczykiem i nożem -

parą nad podziw giętka i nieposłuszną. Mogliśmy wrócić z Grayem do naszej rozmowy.

- Kim ty jesteś - spytałem. - Co wiesz, jaka wartość dla nich przedstawiasz, że fundują ci przelot? Co właściwie zamierzają wybić ci z głowy?

W zakłopotaniu pochylił się nad plastikowym talerzykiem. - Trudno nazwać to wynalazkiem... Właściwie tak, to jest wynalazek. Skonstruowałem pewien aparat. Rozbudowaną końcówkę do komputera, która maluje obrazy...

- Sama?

- ...robi grafiki... Nie, nie sama. Ułożyłem program, bardzo skomplikowany, bardzo pracochłonny. Maszyna może powielać obrazy, grafiki i projekty architektoniczne dowolnie wybranych Artystów, jeśli tylko odpowiednią ilość danych na ich temat wprowadzić do programu. Z początku myślałem, że będzie tylko powielać, ale okazało się, że można pójść dalej i wytwarzać nie tylko kopie. Rozumiesz, ktoś umarł w wieku trzydziestu lat, namalował trochę, przepuszczam wszystkie dane na jego temat i jego twórczości przez komputer, robię pewne założenia biograficzne i maszyna robi mi obrazki, jakie on namalowałby, gdyby dożył pięćdziesiątki... Albo wprowadzam do programu drobne dezorganizacje i mam obraz robiony przez tego samego faceta... po pół litra.

- Masz pewność, że namalowałby właśnie to, a nie co innego?

Nie, oczywiście, że nie. Ale to bardzo prawdopodobne. Jest jakaś zgodność osobowości, jakaś wewnętrzna logika rozwoju, jakiś styl, który, jeśli weźmiesz kogoś pod lupę komputerowo; ujawnia się we wszystkim. Teoretycznie rzecz biorąc w każdym pociągnięciu pędzla... ja nawet nie muszę wiedzieć, nie wiem dokładnie, na czym to polega. Wszystko zależy od możliwie pełnych informacji - reszta rozstrzyga się we wnętrzu maszyny.

- Więc nie kontrolujesz tego procesu malowania.

- W pewnym sensie nie. Staram się tylko zdobyć wystarczającą ilość informacji i uszeregować je z głową. To wcale nie takie proste. Wyniki...

- I to rzeczywiście wychodzi?

- Tak. Nie zawsze, oczywiście, ale tak. Najszybciej z grafikami, bo są stosunkowo najmniej skomplikowane. Nie ma kolorów, półcieni. Skończymy jeść, to ci pokażę, wziąłem ze sobą kilka szkiców - wskazał na torbę leżącą na podłodze.

Ogarnęło mnie uczucie zawodu. Spodziewałem się czegoś więcej, jakichś sensacji. Jakichś gwałtownych wydarzeń. Oczywiście, to bardzo interesujące, z przyjemności obejrzę jego komputerowe obrazki. Tyle już ich widziałem: - siatki niezliczonych kolorowych linii, wibrujące wzorki, barwne plamy drażniące tylko wzrok i nie układające się w żadne konkretne figury.

- Trzeba być durniem - powiedziałem - durniem albo panikarzem, żeby wybijać ci z głowy coś takiego.

Spojrzał na mnie tak, jakbym niczego nie rozumiał.

- To bardzo kosztowna technika - wyjaśnił. - Podłączyłem się do informatycznego Systemu. Pracuję w Sałacie, miałem dostęp do Głównego Komputera. Można powiedzieć, że pasożytowałem na Systemie. Ale nie wygląda, żeby o to chodziło im najbardziej. Gdyby to było takie zwyczajne pitu-pitu, kreski, krzyżyki, kółka, elipsy... darowałyby mi bez słowa. Niewybaczalne jest to, że bawiłem się w Starocie. Rozumiesz... osiemnasty, siedemnasty wiek, zresztą dalej także. Najbardziej przeraziło ich to, że sięgnąłem do gotyku.

- Do czego?

Szybko narysował w powietrzu wskazującymi palcami kilka długich pionowych kresek i zamknął je u góry spiczastymi daszkami.

- No, do gotyku - powiedział. - W MIEŚCIE nie mogłeś tego zobaczyć... Wysokie strzeliste katedry, rozety, ostrołuki, piętnasty wiek. Tego nie mogli mi darować.

- Wygląda na to, że Starocie to ich obsesja. Wszystko, byle nie to. Pewnie proponowali ci BarwoMobil?

Żeby tylko. I WODEJ-DRZEWA-PTASZKI także. Gdybym się uparł, miałbym dożywotni wstęp do MIASTA. Co miesiąc, może co dwa. Warunek był jeden, ani słowa o aparacie. Pełna dyskrecja. Rozumiesz coś z tego?

- Ja takie mam milczeć, ale o zupełnie czym innym.

- O czym?

- Przyłapałem ich na jednym upozorowanym wypadku - powiedziałem. To banalne w gruncie rzeczy wyjaśnienie przyszło mi do głowy dokładnie w tym momencie, w którym postanowiłem opowiedzieć o wszystkim Grayowi. - Facet z dziewczyną wpakowali się szybkim Wozem na VTT, tylko że to był pic do kwadratu. Dziewczyna ociekała krwią wyciśniętą z jakiegoś kurczaka. Z początku myślałem, że to było morderstwo i że podrzucili już trupy. Ale to musiała być kaskaderka. Dobra dupa... bawiła się lepiej niż całe zaślinione towarzystwo, które się na nią gapilo. Teraz, kiedy o niej myślę, wydaje mi się, że ona chichotała pod nosem. Tylko że ...

- Wiesz na pewno, że krew było kurza?

- Wiem, bo...

- To nie był pierwszy ani ostatni wypadek w naszym mieście - zauważył głosem brzęmiącym dziwnie chropawo.

- Tak, ale to jeszcze nie dowodzi... przerwał mi znowu.

- Po tym, co powiedziałaś, nie mam już wątpliwości. Wypadki, skoki z okien... że też wcześniej o tym nie pomyślałem. I później ta wrzawa w telewizorze. Dziwiłem się, że nic im nie przeszkodzi, i że zawsze zdążają na czas z kamerami. To dobre, to nawet lepsze od Son-Lumiere. I pewnie znacznie tańsze... A dla wybranych MIASTO. Nigdy nie przyszło ci to do głowy?

Wyjaśnienie zjawilo się zbyt nagle, by uznać je bez zastrzeżeń.

- Jeden, może kilka wypadków, to bym rozumiał... Ale wszystkie! Zresztą z tą krwią to właściwie nic pewnego. Powiedzieli mi przecież, że biolog pomylił odczynniki.

Zachnął się. Nawet nie zapytał o biologa, o którym usłyszał po raz pierwszy.

- A co mieli powiedzieć! Co ty byś powiedział na ich miejscu? Myślę, że wszystkie wypadki są sfingowane... wszystkie albo większość.

- Przypuścmy. Czego w takim razie przestraszyli się w twoim aparacie?

- Tego nie wiem. Sama fobia do Staroci to chyba zbyt mało... W każdym razie ty masz ich w garści. Jesteś dla nich znacznie bardziej kłopotliwy ode mnie. Dostaniesz, co zechcesz.

Dopiero, kiedy klepnął mnie w ramię, zorientowałem się, że patrzę nań szeroko otwartymi oczami; dolna szczęka opadła mi jak zdziwionemu dziecku.

- Jest jeszcze jedna możliwość - zauważył z przekąsem. - Mogą spróbować cię wykończyć. Ale mieli, zdaje się, już parę okazji i żadnej nie wykorzystali. Chyba nic ci nie będzie.

Nie obejrzałem tych jego obrazków. Na razie nie. Na ekranie w przodzie samolotu zapalił się czerwony napis "LĄDOWANIE". Miły głos z mikrofonu zaprosił wszystkich do zapięcia pasów. W spodzie samolotu bezszelestnie rozchyliły się jakieś kłapy i w okrągłym okienku ujrzałem obok skrzydła grube gumowe koło na stalowym wsporniku. Na ziemi widać było niekończące się betonowe dzielnice, takie same jak te, znad których wystartowaliśmy, i jak te, nad którymi leciliśmy ponad dwie godziny niewidoczni spoza zasłony chmur. W od-dali, na przedłużeniu linii lotu czekała w dole wąska i krótka wstążka pasów startowych.

Przy pierwszym zetknięciu z ziemią maszyna zadygotała, a koło pisnęło i puściło cienką smuzkę dymu. Poczułem opór pasa na piersi, głowa poleciała mi do przodu. Hamowanie było krótkie i gwałtowne. Ruchomy trap podjechał prawie natychmiast.

- Proszę, wychodzimy, rozprostujemy trochę kości - zawołała stewardesa.

Otwarto drzwi do przedniej części samolotu i ani się obejrzałem, kiedy wszyscy staliśmy na płycie. Urzędnicy z dyplomatkami, roześmiani i hałaśliwi, szli na miękkich nogach w stronę budynku lotniska, odwracając się co chwila i machając na pożegnanie stewardesie i pięknej dziewczynie, która nieodmiennie tkwiła przy łysym staruchu.

- Czujesz. jak ciepło - westchnął Gray i twarz z zamkniętymi oczyma odwrócił ku słońcu. - Wiosna, definitywnie i nieodwołalnie Wiosna. Nie cieszysz się, stary?

Spytałem, czy nie ma ochoty pójść do airportu i wypić łyk czegoś mocniejszego.

Miał ochotę.

Fizyczni również mieli ochotę. Mundurowy z sennymi oczami nie zamierzał przepuścić okazji; podobnie mężczyzna w podeszłym wieku i jego żona także. Małe dziewczynki zablokowały najpierw toaletę, ale potem matka uraczyła je dwiema butelkami Pepsi, a sama wzięta piwo. Starszy facet z piękną dziewczyną poszli w kąt do jednego ze stolików, reszta stała przy barze. Budynek był mały, miniatura tego, z którego wyszliśmy przed paroma godzinami, ale wszystko, choć w skali, znajdowało się na swoim miejscu. Zielone szyby, dziesiątki ekranów telewizji wewnętrznej, słońce za oknami i maszyny na płycie połyskujące w tym słońcu - barowe lustra naprzeciwko i cichy szmer lodówek. Brakowało tylko wysokomlecznej barmanki. Decha pozbawiona zupełnie biustu podawała Grayowi i mnie już drugą wódkę.

Podniosłem kieliszek do ust, wpuszczając parę kropel alkoholu pod język, żeby rozkosznie podrażnić ślinianki.

- Nie jest źle odkrywać zakazane tajemnice - powiedziałem do Graya stukając moją w jego szklaneczkę. - Proszę bardzo, z przyjemnością odkryję jakąś następną. Gdyby nie tajemnica, siedziałbym teraz jak głupi w robocie, naciskał klawisze i przekładał papiery. Byłem już w MIEŚCIE, teraz ten lot. Czemu nie miałbym...

Szedł w naszą stronę szybkim krokiem facet w mundurze lotnika. Zatrzymał się przy barze i badawczym wzrokiem przeleciał wszystkim mężczyznom po ubraniach na wysokości piersi. Nie znalazł, czego szukał, więc podszedł do nas.

- Szukam pasażera o nazwisku Gray, nie wiecie, panowie?

Gray dopił wódkę i wytarł usta wierzchem dłoni.

- To ja, o co chodzi?

- Jest telefon do pana - powiedział lotnik - tam na zapleczu. Pan proszony jest także - dodał zwracając się do mundurowego, który sącył swoją porcję na drugim końcu baru.

Zostałem sam ze wspomnieniem twarzy Graya wykrzywionej w tryumfującym grymasie - a widzisz, nie mówiłem. Rozmowa trwała długo, widać sporo mieli mu do przekazania. Czekałem chyba z dziesięć minut przy barze nad trzecią wódką, ale Gray z mundurowym zjawili się dopiero wtedy, kiedy wszyscy, oprócz urzędników, siedzieli już w samolocie. Obaj mieli nieprzeniknione twarze. Gray minął swój fotel kierując się dalej w stronę ogona. Mundurowy sięgnął nad moją głowę, uruchomił automat, wyciągnął płaszcz i podał go Grayowi, następnie wyciągnął spomiędzy siedzeń torbę Graya i podał mu ją także, a potem klapnął przy

mnie.

- Mała zamiana - burknął nie patrząc mi w oczy.

W chwilą potem. zanim jeszcze unieśliśmy się w powietrze, głowa opadła mu na pierś. Chrapał. Cienka nitka śliny sączyła się z ust na mundur z błyszczącymi niklem guzikami.

A jednak się zdrzemnąłem. Miarowe odgłosy pracy silników działały sennie. Obudził mnie wstrząs, maszyna stęknęła, było tak, jakby samolot dostał pięścią od jakiegoś kosmicznego boksera. To z powodu tej wódki, z powodu wódki i nocnych szaleństw z panią Cock. Inaczej nigdy bym nie zasnął. Obok z niebieskawych ciemności patrzyły dziwnie przytomne oczy mundurowego. Pod nimi połyskiwały guziki. Od horyzontu po horyzont rozciągało się migotliwe miasto jak olbrzymi kawał czarnej, grubo tkanej i podziurawionej gdzieś tam materii, oglądanej pod światło, delikatnie pulsujące różnymi barwami.

W dole dostrzegłem zarys ulic i domów; między nimi nieliczne Samochody sunęły powoli poprzedzone ruchomą i wielokroć od nich dłuższą smugą reflektorów. Czerń i miejsca oświetlone nie były rozmieszczone równomiernie, to wszystko układało się w powtarzający się deseń dzielnic, zakładów przemysłowych, skupisk domów mieszkalnych i centrów handlowych. Światła miały różne odcienie, od jaskrawoniebieskich rtęciówek ulicznych po żółtawą barwę żarówek domowych i pomarańczową lub wręcz czerwoną poświatę dzielnic Burdelli. Ci tam w dole też pewnie mieli swoje MIASTO, swoje SonLumiere, swoje wypadki. Spróbowałem wyobrazić sobie, że jestem jednym z nich, drobiną zagubioną wśród betonowych wież, ale zaraz sobie pomyślałem, że przecież jestem jednym z nich.

Miałem spierzchnięte wargi i wysuszone usta. Język i przełyk były suche, twarde i gorące jak obce ciało. Gdyby nie łoskot silników, słyhać byłoby chyba wydobywające się spo między zębów delikatne skrzypienie,

- Pić, chce mi się pić - powiedziałem głośniejszym głosem, niż zamierzałem. Niemal natychmiast i bezszelestnie wynurzyła się z ciemności stewardesa z tacą i napojami.

- Dziękuję. przed chwilą piłem - podziękował mundurowy.

Oddałem stewardesie pusty kubek i poprosiłem o następny.

- Łądujemy za dziesięć minut - zapowiedziała odchodząc. - Wkrótce Odkrywka.

Mundurowy obrócił się w moją stronę.

Niech pan nie zapomni o znaczku - rozkazał krótko. - Powinien być widoczny. Czeka ją tam przecież na pana, muszą was po czymś rozpoznać. Aha, i proszą na razie nie oddalać się ode mnie.

Czekali na nas rzeczywiście. Stali już przy wyjściu z komory. Mieli krzykliwe znaczki przyczepione do modnych kurtek w szkocką kratę. Dwóch młodych wysportowanych facetów ostrzyżonych na języka. Wyglądali przyzwoicie, nie byli najprawdopodobniej łapaczami, brakowało mi jednak w ich twarzach tej cieplej przylepności, która była w Grayu.

Prawie natychmiast rozdzieliliśmy się. Zdążyliśmy tylko z Grayem podać im dłonie i powiedzieć swoje nazwiska. Oni burknęli coś niezrozumiale. Jeden z nich wziął Graya i ruszył przodem.

- W porządku - powiedział mundurowy nie odstępujący mnie do tej pory ani na krok. - Wiecie, panowie, co macie robić - rzekł do nich, podniósł dłoń do czapki i odszedł szybkim krokiem w głąb airportu.

Przed budynkiem stał mały gospodarczy Samochód. Gray wsiadł do niego przednim wejściem, mój towarzysz wskazał mi miejsce na końcu. Kierowca odwrócił do nas głowę przyjaźnie uśmiechnięty.

- Już wszyscy, tak? Możemy ruszać. Trochę się panowie spóźnili, ale jeszcze nie wszystko stracone.

Za szybami wozu migwały światła domów i pawilonów sklepowych, pawilonów było niewiele, ilość skromna, nie spostrzegalem, słowem, niczego, czego bym nie znał na pamięć. Jechaliśmy ostro, droga była prawie pusta, widać tutaj także obowiązywały patrolowe ograniczenia. Dopiero po kilku minutach minęliśmy jakieś kino; od niego zaczynała się chyba dzielnica Rozrywki, bo nagle chodniki po obu stronach jezdni zapełniły się tłumami ludzi. To wszystko było tak znajome, tak swojskie; można by pomyśleć, że zrobiliśmy w powietrzu wielką pętlę i znowu jesteśmy u siebie. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, więc odezwałem się do siedzącego obok konwojenta.

- Też macie tu MIASTO?

Zbagatelizował moje pytanie.

Siedział w milczeniu, także ten drugi nie odzywał się do Graya. Wisiała między nami jakieś tajemnica, jakieś nie sprecyzowane ostrzeżenie. "Wiecie, co macie robić." Cóż mieli robić do ciężkiej cholery! Zacząłem się im przyglądać. Pierwsze wrażenie zmyliło mnie jednak. Nie byli wcale podobni - to z powodu tego języka, kurtek i znaczków. Ten mój zdradzał wyraźną skłonność do tycia, miał błyszczącą gębę i obleśne wargi. Drugi, pilnujący Graya, twarz miał ostrą, kostyczną; czarne oczy patrzyły ze szczupłej twarzy ostro i z wyrzutem. Siedzieli w milczeniu, to mogłem zrozumieć, ale Gray nie odzywał się także i nie patrzył mi w oczy.

Cisza skończyła się dopiero wtedy, kiedy za oknem po lewej stronie raptem urwała się ściana światła. Skończyły się budynki, wzrok grzęznął w ciemnościach rozciągających się na wiele kilometrów w głąb. Nie było widać krańca czarnej pustki. Niemal jednocześnie kierowca, towarzysz Graya i ten siedzący obok mnie oznajmili nam, że właśnie Odkrywka.

- Teraz to już bliżej niż dalej - dodał szofer radośnie uśmiechnięty, odwracając na chwilę twarz w tył Wozu. - Może zdążycie jeszcze, panowie, na projekcję.

- Uhm, dojeżdżamy - potwierdził chudy z ponurymi oczami, siedzący przy Grayu.

Dopiero teraz poprzez szybę, w której odbijały się światła domów stojących z prawej strony, co bardzo utrudniało obserwację, dostrzegłem powtarzające się w ciemnościach zarysy jakichś konstrukcji oświetlonych dziesiątkami małych punktów świetlnych. Te wyglądało jak powiększone wielokrotnie świąteczne choinki, jak budowlane dźwigi, jak wyrzutnie na kosmodromie.

- Przyjrzyjcie się, panowie - zawołał szofer. - Widać wielkie koparki.

Przez bramę opatrzoną wielkim napisem ODKRYWKA Samochód wjechał na teren przemysłowych zabudowań. Stało tu na wysokich słupach kilka rtęciowych lamp nieznacznie zaledwie rozpraszających ciemności. Odkrywka zostawała gdzieś z tyłu, samochód zdawał się zawracać, kluczył na wąskich dojazdowych drózkach i po chwili pomiędzy przemysłowych baraków błysnęły na powrót nieco teraz wyraźniejsze światła koparek.

- Wsiadamy - zadysponował siedzący przy mnie tłścioszek.

Staliśmy przed trzypiętrowym budynkiem z jedną obszerną klatką schodową pod sporym daszkiem. Światła w budynku były wygaszone. Miało to jakieś sto metrów szerokości. Budynek przypominał szkołę, do której chodziłem w dzieciństwie.

-Tu będziecie mieszkać - oznajmił opiekun Graya. Nie macie żadnych bagaży oprócz tej torby?

- Przecież widzisz - powiedziałem z wyrzutem. - Wzięli mnie z rana, jak stałem.

Mój tłścioszek zwrócił się do Graya.

- Torba nie będzie ci przeszkadzać, co? - Gray skinął mu głową. - To dobrze. Podskoczmy jeszcze na pokazy filmowe, a potem dopiero rozlokujemy was na noc. Zresztą nic się chyba nie zmieni, będziecie spać w tym budynku do końca turnusu.

Obaj zawołali szofera i powiedzieli, żeby był gotów na rano o dziewiątej. Kierowca wsiadł do szoferki, Wóz zawrócił i pojechał w stronę bramy.

W budynku naprzeciwko, podobnym do tego, pod którym stanęliśmy, światła paliły

się w kilku oknach. Weszliśmy doń po schodkach. Przy wejściu nie było nikogo. W lewo i prawo rozciągał się szeroki korytarz. Tłuszczek pociągnął mnie w prawo. Gray ze swoim ruszyli za nami. Po kilkunastu krokach staliśmy przed drzwiami, zza których dochodziły dźwięki ostrej rytmicznej muzyki w wykonaniu zespołu, którego nazwę przypomniałem sobie bez przyjemności. Może dlatego, że śpiewali i grali w nim sami mężczyźni trochę za bardzo podobający się Kay.

Weszliśmy do środka.

Na małym ściennym ekranie tańczyły barwne esy - floresy. Poza tym w pomieszczeniu było ciemno. Świetlisty ostrosłup kończący się na ekranie miał swój wierzchołek w stojącym na stole terkotliwym projektorze. W salce na krzesłach i stołach siedziało dwadzieścia, a może nawet trzydzieści osób. Chyba była wśród nich parę dziewczyn.

Znałem ten obraz z ekranu, a w każdym razie wielokrotnie oglądałem już rzeczy w tym typie. Pokazywali to, co jakiś czas w godzinach wieczornych na trzecim programie w audycjach poświęconych filmowej Awangardzie. Ekran pulsował płaskim obrazem pozbawionym głębi, roily się pełzające barwne linie zapisów oscylatorowych; na to nałożono pojawiające się na chwilę, zbyt krótką, zgrafizowane w czerwieni sylwetki nagich kobiet poruszających się bardzo Erotycznie. Zciemnienia i rozjaśnienia ekranu, rytmiczne zmiany kształtów i kolorów - nie było w tym, nie licząc oczywiście tańczących kobiet, niczego porywającego ani zaskakującego.

- Dobrze, nie? - trącił mnie w bok tłusty konwojent.

Wydało mi się w ciemnościach, że widzę drwiący, ironiczny uśmiech Graya.

Usiedliśmy. Na górnej szpulce projektora zastało jeszcze trochę taśmy. Świetlne podrygi urwały się dość niespodziewanie, zapanowała cisza skrzypnęło parę krzeseł. Rozpoczęła się projekcja nowego kawałka utrzymanego w ciemnej, szaroniebieskiej tonacji.

Film robiony był kamerą z ręki, w kadrze widać było nogi i stopy operatora. Te stopy kroczyły po jakimś wysypisku, po jakichś śmieciach, obraz drgał, więc nie można było przyrzec mu się dokładnie. W kadr nie wchodziło nic poza podłożem i stopami. Operator maszerował bardzo długo i stopniowo traciłem nadzieję, że pojawi się na ekranie coś jeszcze. O tym samym świadczyła coraz cieńsza warstwa taśmy pozostająca na górnej szpulce.

Grat niecierpliwie wiercił się na swoim krzeselku i pisał coś w małym notesie.

- Jakie było nazwisko autora tego filmiku? - zapytał swego chudzielca głosem dziwnie służalczym.

Zrobiło mi się przykro i głupio.

Taśma już się kończyła. Raptem operator podniósł kamerę i zatoczył nią obszerny

krąg. Wysypisko zdawała się nie mieć końca, rozciągało się aż po horyzont. Swoją drogą, gdzie i kiedy udało im się znaleźć taki ogromny obszar puste, nie zabudowanej zupełnie przestrzeni?

Na ekranie zapanowała czerń poprzecinana paroma błyskami białych zygzaków. Taśma zsunęła się ze szpulki. To był koniec.

Rozległ się trzask trącanego krzesła. Któryś z siedzących dotychczas mężczyzn zerwał się i ruszył w stronę kontaktu. Facet przy projektorze pstryknął przełącznikiem i zapanowały na chwilę absolutne ciemności.

- Czy to zakończenie nie było czasem zanadto dydaktyczne? - zapytała w ciszy jakaś dziewczyna głosem istoty obdarzonej intelektualnymi ambicjami, długimi nogami i biustem najwyższej jakości.

Błysnęło światło. W salce, która okazała się teraz znacznie mniejsza, niż myślałem, kilkanaście osób mrużyło oczy. Byli to młodzi ludzie, nieco młodsi ode mnie i Graya. Wszyscy mieli przypięte do ubrań znaczki z wibrującymi błękitem fotograficznymi aparatami. Dziewczyny były w mniejszości, dostrzegłem zaledwie cztery, ale dwie z nich wciągnęły na siebie imitujące skórę kombinezony z plastikowymi łatkami, a i pozostałe dwie prezentowały się na tyle dobrze, że warto było zatrzymać na nich oko. Jedna miała wdzianko z teksasu podobne do pani Cock, druga, bardzo zgrabna, choć z nienajlepszą twarzą poprzestała na obciśłych spodniach i barwnym swetrze. Pomyślałem, że może być tutaj jeszcze zupełnie wesoło.

Gray podnosił się z krzesła z bolesciwą miną.

- Muszę się odlać - powiedział półgłosem do swojego towarzysza - bo pęknie mi pęcherz. Popiliśmy trochę z kolegą i tym Funkcjonariuszem na przesiadce.

Dostrzegłem w oczach Graya jakieś zaproszenie. Więcej, to było jak rozkaz... Zresztą gdyby nawet nie było rozkazu...

- Słuchajcie, ja też...

Tłuscioszek przyjrzał mi się badawczo.

- Dobra, to pójdę z nimi - powiedział do opiekującego się Grayem. - Reszcie przedstawimy ich potem.

W toalecie weszliśmy do sąsiednich kabin. Tłuscioszek mył ręce, zresztą kto wie, może pił wodę z kranu pod lustrem.

- Chłopaki, tylko bez sztuczek - zawołał po minucie. Miałem już wychodzić i wtedy pod przepierzeniem od strony Graya zobaczyłem dłoń z kartką wyrwaną z notesu. Błyskawicznie się pochylałem i podniosłem ją do oczu.

Na lotnisko dzwonił ten twój z

AMF mówi żeś niebezpieczny fa
cet Pamiętaj nic nie wiem tylko
o moim aparacie rozmawialiśmy
jakby co mój adres Suweral 277
kwa 683 VTT 25-48-460 gray

Zapalnie zgłupiałem. Nie wiedziałem, co powinienem zrobić z tą kartką - połknąć ją, podrzeć czy spalić. Po krótkim namyśle wpadłem na rozwiązanie najprostsze możliwych. Powtórzyłem parę razy w pamięci adres Graya, zmiąłem kartkę w kulkę, wrzuciłem ją do klozetu i spuściłem wodę.

PRZESTRZEŃ I CZAS

“Nastąpiły oklaski, znowu z prawej strony sali. «Tych można sobie łatwo pozyskać» - pomyślał, i razila go tylko cisza w lewej połowie, którą miał akurat z tyłu za sobą i z której dochodziło tylko pojedyncze klaskanie w dłonie. Zastanawiał się, co by powiedzieć, aby zdobyć od razu wszystkich, a jeśli to niemożliwe, chwilowo przynajmniej tamtych.”

Franz Kafka “Proces”

- Stałem w oknie oślepiiony porannym słońcem i jeszcze nieprzytomny po nocy z trudnością rozpoznawałem wczorajsze dziewczyny. Zniknęły teksasy, przezroczyste łatki bardzo Seksy i wzorzyste swetry, diabli wzięli całą ich elegancję. Pod budynkiem czekała gromada kilkunastu kukieł z plastikowymi hełmami na głowach, odzianych w poplamione ziemią drelichy w kolorze spranej khaki. Kierowca oparty o samochód przyglądał się im z rozbawieniem, ćmiąc papierosa. W oddali, zza lekkiej mgiełki, to było jednak znacznie dalej, niż wydawało się nocą, wystawały z ziemi szczyty koparek, a dalej jeszcze kominy z brunatnymi warkoczami dymu.

Wszyscy oprócz kierowcy mieli przy sobie co najmniej po jednym aparacie fotograficznym. Dostrzegłem także parę filmowych kamer. Cztery dziewczyny wyglądały jeszcze bardziej pokracznie i bezkształtniej niż mężczyźni. Ktoś odbiegł z gromadki i próbował reszcie pstryknąć zdjęcie, ale to nie miało sensu. Byli tacy nieciekawo i tacy bezbarwni. Prawda, znaczki - jedyne, co jakoś urozmaicało szarą gromadkę, to gra kolorów na znaczkach przypiętych do drelichów i słoneczne błyski na chromach i obiektywach doborowego sprzętu.

- Widzisz, czekamy na ciebie - chłodno powiedział Liq stojąc w drzwiach pokoju za moimi plecami.

Miał na sobie taki sam kombinezon jak inni. Kask trzymał w dłoniach. Starał się patrzeć z wyrzutem na moją piżamę i rozczochrane włosy; niecierpliwie pokazywał palcem na zegarek. Wróciłem spojrzeniem do okna, uchyliłem szyby. W dole klatki schodowej mignął jakiś jasny kształt, a potem pokazał się Gray w wiosennym płaszczu. Dziewczyny powitały go wymówkami.

- No nareszcie, łaskawy pan się obudził - zawołała jedna z nich. Wyglądała jak niedopompowany zielony balon, poprzewiązywany w paru miejscach sznurkami. Długie kasztano-

we włosy wypełzały zwycięsko spod jej przekrzywionego kasku.

- Elegancik! - dodała druga i cała grupa parsknęła śmiechem.

- Nie mógłbyś się trochę pośpieszyć? - usłyszałem ponownie głos Liq, o którym zdążyłem zapomnieć, a który uparcie nie wychodził z pokoju.

Mógłbym, jasne że mógłbym, gdybym się wyspał jak człowiek. Ten facet nie miał ani odrobiny wycucia. Najpierw doba bezsenności w AMF, potem pani Cock, wczoraj ten lot i jeszcze przeciągające się godziny ostatniej nocy spędzone na próbach zaśnięcia i opędzania się przed jego pytaniami. Na półprzytomnym kluczeniu między pułapkami, w które usiłował mnie złapać. Wtedy nocą nie miałem wyjścia, nikogo więcej nie było w pokoju, a Liq leżał obok na sąsiednim łóżku. Zaczął chytrze od wyznań, ale potem próbował przyciskać mnie do muru. My, ja i Sap, uważamy... t sformułowanie powtórzył w ciągu nocnych indagacji kilkanaście razy jak kiepski dowcip. Sap to był ten drugi, także poznany na lotnisku - szczupła blada twarz o badawczym spojrzeniu ciemnych oczu przesłoniętych okularami. Liq, tłustawy, z połyskującym obliczem, w którym nos biegł ku ustom, broda podwijała się w stronę nosa, prawie natychmiast po projekcji i błyskawicznej prezentacji zaciągnął mnie do swojego pokoju. Sap opiekował się Grayem.

- Słuchaj, czy ja muszę? Dopiero wstałem i ledwo żyję.

- Nie możemy cię zostawić, ubieraj się.

- Przecież one tam nie wytrzymają. To potrwa.

Położył rękę na kłamce.

- Pójdę i uspokoję dziewczyny - oznajmił. - Wytrzymają i zaczekają, niech cię głowa nie boli. A ty się pospiesz. Robocze stroje dostaniecie bezpośrednio w kopalni. Mówiłeś w nocy, że interesujesz się filmem. Proszę bardzo, jedna z tych kamer jest dla ciebie.

W milczeniu, skrzywiony jakby go bolał żołądek, Sap podawał Grayowi i mnie po sandwiczu w folii.

- Spóźniliście się na śniadanie - wyjaśnił Liq wyjmując z leżącej na podłodze torby dwie butelki Coli. - Porządnie najecie się dopiero w czasie obiadu.

Dziewczyny nie przestawały patrzeć na mnie i Graya wzrokiem pełnym pretensji. Jeśli myślały, że pozbawią nas w ten sposób apetytu, to nie miały racji. Samochód trząsał na wybojach, siedzieliśmy wszyscy ciasno zgnieceni, jeden przy drugim. Chłopcy oprócz kamer trzymali jeszcze w dłoniach duże plastikowe teczki i grube rulony. Na moich kolanach podskakiwała kamera, która mimo że podobna do tej, jaką miałem w domu, wyglądała znacznie bardziej Podniecająco. Okolice była nieskończenie ciekawsza niż wnętrze mojego mieszkania i

widoki na asfaltowych ścieżkach między blokami, a nie daliby nam przecież kamer gdyby także tutaj obowiązywał zakaz fotografowania - jak w MIEŚCIE.

Jechaliśmy tą samą drogą którą przybyliśmy z lotniska. Po prawej stronie widać było ruchome czerpaki kilku koparek. Dziura w ziemi rozciągała się na dużej przestrzeni, podróż trwała już ponad piętnaście minut. W pewnym momencie, nie dojeżdżając do miejsca, w którym zaczynały się zabudowania po obu stronach szosy, skręciliśmy w prawo na odcinek drogi, którym wczoraj nie przejeżdżaliśmy. Odkrywkę i szczyty koparek zakrywało teraz małe wzniesienie. W dół na lewo i w tył widać było miejskie zabudowania.

- Daleko jeszcze? - spytałem siedzącego obok chłopaka.

- Jeszcze z piętnaście minut.

Przyglądałem się Liqowi. Wciśnięty między nieco nastroszoną rudą i drugą, ciemnowłosą dziewczynę o przyzwalającym uśmiechu, obdarzał obie równą porcją żartów, Erotycznych gestów i skupionej uwagi. Potrafił bardzo pięknie mówić i jeszcze piękniej słuchać. Wprost koczyło człowieka, żeby ciszę, która zapadała po jego pytaniach, wypełnić przejrzystymi i absolutnie pełnymi wyjaśnieniami. Był mistrzem w swoim fachu. Ze mną w nocy też grał w ten sposób i pewnie wyciągnąłby wszystko, na co miał ochotę, gdyby nie ostrzeżenie Graya. "Nie sądzisz, że ten facet to szaleniec", oświadczył w pewnym momencie, kiedy opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem o Grayowym aparacie, "przecież to nie ma sensu". "Dlaczego", pytałem sennie, a on długo i zawile wyjaśniał, że każdy czas ma swoją sztukę, że nie ma sztuki dla człowieka w ogóle i wobec tego Gray rozmnażający przy pomocy swego aparatu dzieła minionych epok działa, obiektywnie rzecz biorąc, jak facet, który chce nas wszystkich cofnąć do okresu kamienia łupanego. I to do jakich czasów... kiedy Sztuka była towarem, miała bezsensowny odtwórczy charakter, a uprawiali ją nieliczni uprzywilejowani... "A MIASTO", pytałem, "przecież wszyscy podniecamy się do MIASTA". "Tylko nie wszyscy", ogniście oponował Liq, "na przykład ja i Sap uważamy..." On i Sap uważali, że powielanie tradycyjnych technik, tematów i wzruszeń to idiotyzm. Sztuka jest formą świadomości społecznej determinowaną przez wiele innych form świadomości społecznej, takich jak Nauka, Technika, umiłowanie postępu. Trzeba umieć pogodzić się ze swoim Czasem, więcej, trzeba przyznać rację Rzeczywistości. Nie istnieje sztuka dla człowieka w ogóle, istnieje sztuka określonego Czasu. Nie ma tu miejsca dla takich jak Gray, Gray jest ahistorycznym wstecznikiem, nie wyciąga wniosków z tego, co go otacza, tylko patrzy w przeszłość. Parodia polega na tym, że on ośmiela się w tym celu używać komputera...

- Nigdy nie czułem się tak dobrze ani przed telewizorem, ani w Pornosie, ani w czasie najlepszego SonLumiere, jak wtedy w MIEŚCIE - bełkotałem zasypiając, ale Liq nie dawał

mi zasnąć.

- Myślisz, że mnie wszystko podoba się w SonLumiere - podskakiwał na łożku, aż skrzypiały sprężyny. - Ja i Sap uważamy, że SonLumiere to zupełnie nie wykorzystana technika, wszystko dopiero przed nami. Widujesz przecież te pokazy, za dużo w nich złego smaku, za duży ukłon w stronę marzącej o niezwykłości niewybrednej widowni. SonLumiere za bardzo wzoruje się na telewizji, komiksach i komercyjnym kinie. Sztuka tymczasem - mówił Liq, a jego głos dochodził do mnie jakby zza ciemnej gęstej kurtyny: Sztuka jako byt materialny nie istnieje w ogóle. Sztuka jest myśleniem o Sztuce, Sztuka nie może być towarem ani wulgarnym opowiadaniem. Gray, apelujący do tego, co w widzach najgorsze, to wariat.

Odkrywka było ogromna. Po prostu zapierało dech w piersiach. Olbrzymi kolisty dół, którego przeciwległy kraniec ginął w cienkiej mgielce. Pracujące na samym dole koparki wyglądały z góry jak zabawki dla dzieci. Te, których szczyty oglądaliśmy jadąc Samochodem, i te, które dawało się spostrzec z budynku noclegowego, pracowały na wyższych piętrach Odkrywki. Tych pięter-poziomów było bardzo dużo, w dół schodziło się systemem tarasów biegnących wzdłuż zboczy. Asfaltowa droga prowadziła tuż tuż do samego krańca gigantycznej wyrwy. Dalej trzeba było iść na piechotę.

W półmroku małego baraku stojącego przy szosie Gray i ja zakładaliśmy w pośpiechu kombinezony. Cała masa kombinezonów wisiała byle jak na podręcznych wieszakach, stopy kasków rzuconych na kupę i przemieszanych z butami zalegało jeden z rogów baraku. Nie było szansy, abyśmy zamienili z Grayem choć parę słów; Sap stał obok z ponurą miną, przytrzymując moją kamerę i aparat Graya. Nie poganiał nas, nie mówił nic, niczego nie zabraniał. Wszystko rozumiało się samo przez się.

Dopiero po chwili zjawił się strażnik. Najpierw dały się słyszeć odgłosy jakiejś dyskusji, a potem senne i wielkie chłopisko (gdzie do diabła werbowali takich osiłków) stanęło w drzwiach. Strażnik zasłonił nam tę odrobinę światła, przy której Gray i ja usiłowaliśmy trafić wystrzępionymi sznurówkami w metalowe kółko cholewek przepoconych buciorów. Sap skrzywił się jeszcze bardziej; w odgrywaniu niezadowolenia jego twarz miała wprost nieograniczone możliwości. Chyba dlatego to jednak on, nie Liq, od początku wydawał mi się Sze-fem zgrupowania.

- Pozwolenie jest? - zapytał strażnik groźnym tonem, niebezpiecznie operując ręką w okolicach siedzenia. - Ci na zewnątrz mówią, że pan powinien je mieć - zwrócił się do Sapa. On także bezbłędnie rozpoznał w Sapie Szefa.

W odpowiedzi Sap wyjął z kieszeni na piersiach plastikowy migacz i pokazał go straż-

nikowi.

- Jesteśmy od przedwczoraj - burknął opryskliwie. - Pan jest nowy, prawda?

- Dobra, dobra, zaniepokoiły mnie te aparaty. Wie pan, kręcą się tutaj różni tacy... - mundurowy nie precyzował, kogo ma na myśli.

- Będziemy tu jeszcze pięć dni - powiedział Sap z wyrzutem. - Dobrze byłoby, gdyby pan nas zapamiętał. Kolega nie robił nam takich trudności.

Schodziliśmy w dół całą grupą, a strażnik niezupełnie przekonany stał na krawędzi wyrwy, nienaturalnie wysoki na tle nieba, patrząc za nami w zadumie.

- Mądrała - parsknęła z pogardą ruda dziewczyna. Już ją rozszyfrowałem. Uważała, że każdy fakt, każde wydarzenie, każda rzecz, której ona nie skomentuje, istnieje jakby połowicznie i nie do końca.

Pod nogami mieliśmy drobny kamienny żwir. Lekka stromizna zdawała się nas poganiać, przyspieszone kroki kilkunastu osób składały się na równomierny chrzęst kamyków będący jedną wielką seria drobnych uderzeń.

Włokłem się na samym końcu, tuż przede mną maszerowały niezdarnie cztery dziewczyny. Próbowałem sobie przypomnieć ich ponętny wygląd sprzed parunastu godzin i okazało się, że kiedy włożyć w to trochę wysiłku, zadanie nie jest niewykonalne. Baloniaste drelichy zakrywały wiele, ale wiele też można było sobie pod nimi wyobrazić. Najlepsza była ta ruda i pyskata, to chyba ona miała wczoraj na sobie obcisłą skórę z łatkami. Takie dziewczyny są niemożliwie nieprzystępne; potrafią być dobre i łagodne dla tego jedyne, którego sobie upatrzą. I tym ostrzejsze są wtedy dla wszystkich pozostałych. Czuję, że nie ma szans, że bym został takim wybranym facetem. Może u tej drugiej, ciemnowłosej, miałbym jakieś szanse. Ale tą na dobrą sprawę mógłby mieć każdy. To chyba byłaby jednak porażka.

Obudowa kamery już kilkakrotnie uderzyła mnie w pierś przypominając o sobie. Na matówce, przy ustawieniu transfokatora na najdłuższą ogniskową, cała grupa zielonych drelichów wydawała się stłoczona; wprost jedni drugim wchodzili na plecy, podskakiwali w jednym miejscu, przekładając z ręki do ręki kłopotliwe pakunki. Nagle, tuż tuż przed samym nosem wyrosła mi w celowniku nieostra twarz Liga.

- Szybciej, szybciej - zawołał. - Filmować będziemy na dole.

- Nie filmuję, przecież nie dałeś mi taśmy. Patrzę.

- Masz banalne pomysły - powiedział dobrotliwie. Zresztą nie dziwie ci się... Przy twoich poglądach. Trzymaj się grupy.

Pobiegłem parę kroków, wyprzedzając na chwilę wszystkie dziewczyny, ale nie zrezygnowałem z patrzenia na Odkrywkę przez przybliżający jak lornetka obiektyw kamery. Na sa-

mym dole przy jednej z trzech koparek, do których zdawaliśmy się zmierzać, stali jacyś ludzie. Mieli na głowach kaski, ale nie należeli chyba do naszej grupy, nie byli raczej Artystami, bo nie dostrzegłem w rękach żadnego z nich niczego, co przypominałoby kamerę. Koparki pracowały. Dopiero teraz dostrzegłem obsługujący całą Odkrywką wielopoziomowy skomplikowany system pasów transmisyjnych, które odprowadzały porywane czerpakami grudy ziemi gdzieś w głąb Odkrywki, ku dymiącym w oddali na jej prawym krańcu kominom.

Dwudziestocentymetrowej co najmniej długości zębiska uderzały ze zgrzytem i hukiem w brązowe i połyskliwe podłoże. Każde z tych uderzeń wstrząsało konstrukcją koparki, jej wydłużonym ramieniem, wzdłuż którego, górą, sunęły puste czerpaki z wyszczerzonymi bojowo zębami, by wracać dołem ociążałe i pełne urobku. Te wstrząsy przenosiły się także na korpus koparki, płataninę osłon, drabinek, żebrowań i trapów prowadzących gdzieś w górę do samotnej jak kawalerka w wieżowcu budki operatora.

Koparka stała na podwoziu opatrzonym gąsienicami o średnicy kół nośnych większej od wysokości człowieka. Ramię było ruchome, koparka także, podgryzała przecież grunt na którym stała, i musiała co pewien czas zmieniać miejsce pracy. Z obszernej rynny z boku koparki, pomyślałem o niej jak o zadku, wylatywała nieprzerwanym strumieniem brunatna struga, którą, nim doleciała do ziemi, przechwytywały pasy transmisyjne. Te pasy także nie były zainstalowane na stałe; musiano je przecież przestawiać za koparką.

Paru fizycznych o twarzach ogorzałych od pracy na świeżym powietrzu i charakterystycznych rysach, z bliska nie wziąłbym ich nigdy za Współczesnych Artystów, rozmawiało z Liqiem, ćmiąc papierosy. Fizyczni śmiali się. Pokazywali palcami na dziewczyny i na nasze aparaty. Liq kręcił głową, że nic z tego. Oni nie przestawali się śmiać, jeden z nich, szczerbarty i przez to jeszcze bardziej pocieszny niż pozostali, objął ni stąd, ni zowąd ciemnowłosą dziewczynę, zdarł jej kask z głowy i przytulając swoją brudną, zakurzoną twarz do jej policzka, poprosił o zdjęcie. Szeroko uśmiechnięty Gray podniósł szybko aparat do oka, ale zaraz opuścił kamerę. Widać, on także nie dostał jeszcze taśmy. Nikt z grupy nie pstryknął tego zdjęcia. Dziewczyna nawet się nie wrywała. Fizyczny puścił ją w końcu, nie przestając się uśmiechać, ale było w jego twarzy coś ogromnie smutnego.

- Innym razem, wie pan - powiedział Liq. - Mamy teraz dużo rzeczy do zrobienia.

Ciemnowłosa czyściła twarz chusteczką i poprawiała kask na głowie.

Jeden z chłopców wspinał się po drabince i znikał w czeluściach koparki. Wyszedł stamtąd po minucie obwieszony jakimś sprzętem, pod pachą trzymał dwa albo trzy statywy fotograficzne. Schodził powoli i ostrożnie, patrzyłem nań przez lornetkę kamery, widząc każ-

de stąpięcie, każde niepewne drgnienie nóg i dłoni, ale nie zdarzyło się nic niespodziewanego. Chłopak stanął w końcu na ziemi, dał jeden statyw Sapowi, drugi zatrzymał dla siebie. Rzucił też na ziemię kilka zwojów sznurka i torbę, w której przy zetknięciu z gruntem stuknęły jakieś puszki.

- Rozdzielamy się - powiedział Sap. - My zostajemy, Liq, bierzesz swoich i pójdziesz tam - pokazał palcem dalej w głąb Odkrywki.

Liq podszedł do jednego z chłopaków i wziął od niego kilka żółtych opakowań. Dwa pudełka dał mnie, dwie taśmy wręczył Grayowi.

- Ty idziesz z nami - wskazał na mnie.

Szły też z Liqiem w ośmioosobowej grupce dwie z czterech dziewczyn. Ciemnowłosa i jeszcze jedna, dość zgrabna, ale o twarzy najgorszej z nich wszystkich. Gray i ta ruda zostali w grupie Sapa.

Nad nami wisiały ściany Odkrywki wyrybane w ziemi. W górze był tylko błękit i chmury; system tarasów na zboczach zdawał się prowadzić do nieba. Gdzieś na wysokości, prawie rozpuszczony w błękitcie, powoli sunął samolot, zostawiając za sobą cienką smugę. Nie było słyhać jego silników.

Pod nogami mieliśmy połyskujące brązowe kamienie. Wydawały mi się one jednak lżejsze i miększe od żwiru, którym wysypano tarasy. Brązowa skała reagowała na uderzenia zupełnie inaczej niż kamienie czy beton. Odgłosy stąpięć były głuche i jakby stłumione, choć jednocześnie miałem wrażenie, że dźwięk rozchodzi się długo i daleko w głąb podłoża.

- To węgiel, węgiel brunatny- powiedział widząc moje zdumienie ten sam chłopak, który wynosił statywy ze schowka w koparce. - Zobacz, widać nawet słoje drewna. Taki kawałek ma kilkadziesiąt milionów lat.

Rzeczywiście, widać było drewniane słoje. Niezupełnie WODA-DRZEWA-PTASZKI, ale coś w tym rodzaju - fakt, Wszystko się zgadzało, Szef pionu B nie kłamał.

- Pałą tym w tych... kominach

- Uhm, to elektrownia. Ale chyba nie zużywają wszystkiego. Reszta jedzie gdzieś pociągami. Podobno po zmieleniu można tego używać jako podłoża do hodowli Roślin. Zamiast ziemi.

- Gdyby podpalić to wszystko - powiedziałem - pożar ...trwałby chyba z miesiąc. To jest ogromne.

- Myślę, że dłużej niż miesiąc - chłopak nagle się roześmiał. Jakby wbrew woli. Musiał bawić go taki pomysł. Liq znowu się zatrzymał i czekał na nas. Nie tracił, mnie z oczu.

- No co tam? - zapytał bez żadnego zainteresowania - co tak cię rozbawiło, Kon?

- Nic - uśmiechnął się Kon. - Człowiek ma pomysły jak Artysta - wskazał na mnie. - Mówiłeś, że to urzędnik, a on powiada, żeby podpalić Odkrywkę. Wyobrażasz sobie ten dół pełen ognia... Stary, to byłoby Arcydzieło.

Liq spojrzał na mnie z uznaniem.

- Przypadkiem nie opowiadaj o tym pomysle strażnikom. Nie sadzę, żeby mógł im się spodobać.

Szliśmy teraz twardym błyszczącym podłożem porysowanym zębami czerpaków. Wyglądało, że jest to najniższe miejsce Odkrywki, ale nie było to nic pewnego, kilometr w przód lub w tył z powodzeniem można byłoby znaleźć miejsce położone jeszcze niżej. W odległości jakichś stu metrów minęliśmy kolejną koparkę. Miała trochę inną konstrukcję niż poprzednia. Czerpaki nie biegły wzdłuż długiego ramienia, tylko kręciły się na specjalnym kole zamocowanym na jego końcu. Ta koparka nie nabierała węgla z podłoża; wgryzała się w pionową ścianę, która unosiła się nad nią. Maszyna była większa, masywniejsza. Paru fizycznych, którzy stali na pomostach, machało do nas dłońmi, opierając się o barierki. Wyglądali jak marynarze na wojennym okręcie. Widziałem taką ilustrację w dzieciństwie albo może zapamiętałem scenę z jakiegoś filmu, i pamiętam, że zrobiła na mnie duże wrażenie.

Liq uprzedził mój gest i zapytał z ironią.

- Na pewno masz ochotę ich sfilmować?

- Pewnie, przecież to ciekawy widok.

Machnął ręką z rezygnacją.

- A co, nie wolno - spytałem jeszcze.

- Wolno, wolno, tylko po co. Co z tego wynika? Fizyczni na koparce. Bardzo dobrze. Tylko tak dalej. A ja myślałem, że jednak trochę słuchasz tego, co mówiłem ci w nocy.

Głupi. przemądrzały tłusciuch. Przyszło mi do głowy, że przecież nic nie może mi zrobić i to podsunęło mi najprostszy sposób przywołania go do porządku.

- Więc zasadniczo wolno, tak?

- Jasne, ale...

- Dobra, dobra - powiedziałem i skierowałem kamerę na koparkę. Trzymałem palec na przycisku dobre dziesięć sekund nie robiąc nawet specjalnych kombinacji z transfokatorem. Potem zwróciłem się do niego.

- Nie jestem, nie byłem i nigdy nie będę Artysta - pieprzony intrygant, niech sobie nie myśli. - i nie widzę powodu, dla którego nie miałbym robić tego, na co mam ochotę - dodałem.

Cały poczerwieniał.

- Powód jest taki, że ja tutaj decyduję. Zapamiętaj to sobie. Jeszcze jedna sztuczka i zabieram ci kamerę. Będziesz nosił statywy.

- Proszę bardzo, choćby zaraz - zdjęłem rzemyk z szyi i wyciągnąłem dłoń z tym rzemykiem w jego stronę.

Zrobiłem to jednak odrobinę za późno. Liq zdążył się odwrócić i pójść do przodu.

- Tak naprawdę, to gotów byłem oddać mu kamerę także dlatego, że z tych dziesięciu sekund zanotowanych na taśmie nic na dobra sprawę nie wynikało. Zrozumiałem to prawie natychmiast, kiedy odjąłem aparat od oka. W sumie, także tutaj na dnie Odkrywki, byłem równie bezradny jak wtedy w mieszkaniu, kiedy robiłem transfokatorem najazdy na dno sedesu i półkę z kosmetykami Kay.

I to właśnie dlatego oświadczyłem Liqowi, że nigdy nie będę Artystą.

Jeśli nawet Liq miał podobne kłopoty, to on i jego ludzie radzili sobie z nimi doskonale.

Pokłady węgla urwały się nagle i zaczęła się strefa czystego, białego niemal piasku. Może dlatego, że był jasny, leżały na nim jeszcze w paru miejscach płyty śniegu nadwątlone słońcem. Chłopcy idący na czele zrzucili swoje pakunki. Dziewczyny zdjęły kaski i poprawiały włosy, a potem sięgnęły do leżących na piasku toreb i wyjęły z nich jakieś sznurki i plastikowe kołki.

Chłopcy rozłożyli koc i położyli na nim kilkanaście fotograficznych aparatów. Potem zaczęli łączyć je wszystkie długimi odcinkami czarnego kabla. Na drugim kocu Liq manipulował przy czarnej skrzynce z pokrętłami i wybierakami cyfrowymi, która wyglądała na podręczny komputer starszego typu. Kiedy stanąłem nad nim, od razu podniósł głowę i fuknął na mnie na pół dobrotliwie, na pół obojętnie, jakby nic nie pamiętał.

- No, rejestruj Akcję, na co czekasz, mądralo!

- Co, filmować to wszystko?

- A jak!.

Zrobiłem krótkie ujęcie z Liqiem pochylonym nad czarną skrzynką. Filmowałem go z góry, a potem z przysiadu skrzyłem chłopaków zajętych aparatami. Kon pomachał mi ręką.

- Te, podpalacz - krzyknął - tylko nie zrób mi krzywdy. Czulość taśmy nastawiłeś prawidłowo?

Drugi dowódca się znalazł.

- Znam się na tym - odkrzyknąłem. - Mam w domu kamerę takiego samego typu. Myślisz, że Ty i Liq pożarliście wszystkie rozumy.

Podszedłem do dziewczyn. Jeden kołek wbiły głęboko w piasek. Do tego kołka przywiązany był naprężony teraz sznur. Ta zgrabna, ale z twarzą brzydką jak nieszczęście, stała przy kołku. Ciemnowłosa zakreślała drugim kołkiem przytwierdzonym do ruchomego końca sznura okrąg o dziesięciometrowym co najmniej promieniu.

Wyprostowały się od razu, kiedy mnie zauważyły. Ta ciemna poprawiła włosy, ta zgrabna obciągnęła kombinezon. Z zamkniętymi oczami... kto wie.

- Nie przeszkadzajcie sobie - krzyknąłem i nacisnąłem spust.

Podzielili ten okrąg na sześć, a potem na dwanaście części. Na specjalnych podstawkach rozmieścili na nim dwanaście aparatów połączonych kablami. Cały ten system podłączyli do czarnej skrzynki. Wszyscy weszliśmy do wnętrza okręgu, aparaty skierowane były obiektami na zewnątrz. W ich pole widzenia nie wchodziło nic ciekawego. Koparki pracowały zbyt daleko, a aparaty stały zbyt nisko, by pierwsza lepsza nierówność terenu nie zasłoniła im tego, co najciekawsze, to znaczy, jednego przynajmniej z krańców Odkrywki.

Liq nazywał to Akcją. Akcja polegała na badaniu związków Czasu i Przestrzeni. Prądowe impulsy wysyłane z czarnej skrzynki uruchamiały kolejno migawki aparatów w określonych odstępach czasowych. Liq zmieniał ustawy pokręteł i kolejność cyfr na przyciskach, dzięki czemu mógł powtarzać badania przy różnych parametrach. Dziewczyny zapisywały te parametry i kolejność ujęć na specjalnych arkuszach.

Wszyscy byli skupieni i zarazem ożywieni jak jasno cholera. Nawet mnie udzieliło się ich podniecenie. Zmarnowałem na rejestrację tego wszystkiego już dwie dziesięciominutowe taśmy i dostałem od Liqa trzecie opakowanie. Dziewczyny i chłopaki obserwowali stojące nieruchomo aparaty, wsłuchiwali się w biegnący po okręgu trzask migawek, jakby za chwilę miało zdarzyć się coś niesamowitego. Jakiś wybuch czy cud. Jakby miało sfrunąć coś z nieba lub ziemia miała się rozstąpić i ukazać przedpotopowego potwora.

Sap ze swoimi bawili się inaczej. Kiedy przyszliśmy do nich obładowani torbami i obwieszani aparatami, tak samo jak przedtem stało przed koparką kilku fizycznych w kłębach papierosowego dymu. Ale to nie była ta samo koparka. Mówiąc ściślej, nie wyglądała tak samo. Cała konstrukcja, obwieszona była w kilkudziesięciu miejscach dużymi, metr na metr chyba, czarno-białymi zdjęciami. Przynieśli je ze sobą w tych płaskich teczkach. Duże arkusze przymocowane sznurkami drgały na lekkim wietrzyku; odbłaski na emulsji nie od razu pozwalały dostrzec, co też takiego przedstawiają fotografie.

To nie była żadna specjalna tajemnica. Zawartość jednego zdjęcia wyjaśniała całą

resztę. Do jednego z kół nośnych gaśienic przymocowali fotogram przedstawiający fragment tego samego koła w skali 1:1. To był cały szyfr - i jedyna prawidłowość. Na wysokości kilkunastu metrów nad ziemią, przyczepione do kabiny operatora, powiewało zdjęcie kabiny. Zdjęcie drabinki tarasowało drogę do znajdującego się u góry nad tą drabinką blaszanego trapu. Kratownicę długiego ramienia koparki zasłaniały w parunastu miejscach czarno-białe fotogramy przedstawiające akurat to, co skrywały. I tak dalej i dalej wzdłuż i wszerz. Cała koparka lśniła w nieskazitelnych suszarkowych połyskach, w których przy porywach wiatru odbijało się niebo. Wszystkie zdjęcia przedstawiały fragmenty konstrukcji, na żadnym nie było śladu twarzy człowieka.

- Na co czekasz - przerwał Liq moją milczącą obserwację - chciałeś przecież filmować koparkę. Proszę bardzo, zarejestruj także Akcję Sapa. Nie mam nic przeciwko temu.

Odwrociłem głowę i spojrzałem na niego. Nie wyglądało, żeby się drażnił czy mścił. Nic z tych rzeczy. Mówił zupełnie poważnie.

Stołówka mieściła się w tym samym budynku, w którym pierwszego wieczoru oglądaliśmy projekcję filmów. Obiad, od razu w talerzach, podawały dwie bezbarwne kelnerki. Stoły całej grupy Artystów zsunięto w róg sali; jedliśmy oddzieleni od reszty dużym pasem pustej przestrzeni. Obiad był prosty, ale bardzo treściwy - złożony z trzech dań i kompotu, z czego tylko kompot nie ociekał ciężkim tłuszczem. Nie była to jednak stolówka fizycznych, przy stołach siedzieli jacyś urzędnicy, może znajdowali się wśród nich pracownicy dyrekcji Odkrywki. W pewnej chwili Sap wstał od nas i poszedł w głąb sali. Przysiadł się tam do jednego ze stołków i rozmawiał długo i konfidencko z przystojnym, wykwinicie ubranym facetem około czterdziestki.

Oprócz kompotu zamówiłem do obiadu piwo. W kościach czułem przyjemne rozleniwienie, twarz piekła mnie rozkosznie od długiego pobytu na świeżym powietrzu. Tuż obok - dwie dziewczyny, ciemna z naszej grupy i ta ruda od Sapa, dyskutowały z Liqiem zawzięcie, siekąc dłońmi uniesionymi nad powierzchnią stołu. Pokazywały po prostu, jak według nich powinno wyglądać wykonana przez noszą grupę przed dwiema godzinami zaledwie rejestracja Czasu i Przestrzeni. Po wywołaniu filmów, rzecz jasno, zrobieniu odbitek i rozwieszeniu całości na specjalnych stelażach.

Łyknałem kolejną porcję goryczkowego piwa. Miało swój zapach i barwę. Temperaturę... w ogóle wszystko było, jak trzeba.

- Przecież to będą cały czas te same zdjęcia - powiedziałem do Liqa, licząc jednak, że może przynajmniej ta ciemnowłosa zwróci na mnie uwagę. - Kilkaset identycznych zdjęć.

Czasowe przesunięcia nic tu nie zmieniają.

Ciemnowłosa potrzepotała dłońmi w powietrzu.

- Och! - tylko tyle zdołała z siebie wykrztusić. W oczach miała ogromne wzburzenie.

Ta ruda, Liq mówił do niej pani Fire, spojrzała na mnie jakby z sympatią. Nie powiedziała jednak ani słowa, tylko odwróciła głowę i zatrzymała wzrok na Liqu. Ten rzucił się wstecz, dotknął plecami oparcia krzesła i mimo braku miejsca szeroko rozłożył ramiona.

- Wiecie, już z nim nie mogę - jęknął ustami pełnymi jedzenia, tonem domagającym się uznania i współczucia. Rozmowa nie miała sensu. Czułem się zbyt niepewnie, by zdobywać tę Fire, na ciemnowłosą z kolei straciłem całą ochotę. Liq był twardym facetem, miał swoje koncepcje, których nic nie mogło odmienić. Ale ja z kolei nie miałem zamiaru rozmawiać z nim i biernie pozwalać, żeby on robił mi wodę z mózgu.

- Chce mi się spać - oznajmiłem nie hamując ziewania. - Mam duże zaległości. Idę się zdrzemnąć.

- Jasne - zachnął się Liq - nic tylko spać. Dzień i noc. - To chyba we śnie przychodzą ci do głowy twoje najmądrzejsze pomysły... Nie ma mowy o spaniu - dorzucił ostro. - Zaraz po obiedzie mamy dyskusję.

- Przymusową?

- Nie - burknął - oczywiście, że nie. Dyskusja jest dobrowolna. Wszyscy w niej uczestniczą.

Na początku miał wystąpienie jakiś młody chłopak z grupy Sapa. Stał oparty o stół, a za jego plecami wisiała czarna tablica, na której białą kredą wyrysował ktoś niedbale zarys koparki z czerpakami biegnącymi wzdłuż długiego ramienia. Na ten rysunek nałożonych było z dwadzieścia albo nawet trzydzieści czerwonych krzyżyków rozmieszczonych mniej więcej równomiernie na całym zarysie koparki. Trochę w bok od chłopaka, przy drugim stoliku zawałonym papierami, siedzieli Sap i Liq. Reszta przysłuchiwała się temu z krzesełek. Graya oddzielało ode mnie parę osób, nie mogliśmy sobie nic powiedzieć.

- Te punkty - tłumaczył chłopak przy tablicy, wodząc plastikowym wskaźnikiem od krzyżyka do krzyżyka - wybrano jako miejsca rejestracji. Potem...

Wszyscy siedzieli grzecznie, podobnie jak wtedy w czasie projekcji, i patrzyli na przemawiającego, jakby był powoli rozbierającą się Striptizerką. Sap wprost wisiał oczami na ustach chłopca. Mógłby ktoś pomyśleć, że telepatycznie dyktuje mu całe wystąpienie. Nieuchwytnie kiwał głową po każdym zdaniu młodego prelegenta, choć żadne z padających tu zdań nie było dlań zaskoczeniem.

- ...zadanie Akcji - tłumaczył szczaw przy tablicy - zadaniem Akcji było rozbicie i zdemaskowanie umowności języka komercyjnej fotografii...

- Można to odnieść także do filmu - powiedziała niezawodna pani Fire.

- Tak, do filmu, do telewizji w ogóle do ewidentnego fałszu wszystkich przedstawiających mediów wizualnych.

- Do malarstwa także? - krzyknął ktoś.

To był Gray.

Chłopak skrzywił się, jakby zgryzł coś gorzkiego, a potem poszukał oczami Sapa.

- Nie będziemy chyba dyskutować o malarstwie - powiedział po chwili. - Mamy XXI wiek.

Większość na sali wybuchnęła śmiechem. Gray zerwał się z ręką podniesioną do góry.

- Chwileczkę - zawołał - dlaczego nie mielibyśmy podyskutować o malarstwie. Mam u siebie w pokoju kilka ciekawych szkiców, które chciałbym wam pokazać. W końcu to jest wymiana zdań. Dlaczego...

Sap podniósł się także.

- Dobrze, skoro tak koniecznie chcesz - powiedział - możesz im to pokazać. Pójdę z tobą, mam klucz od pokoju... Liq, prowadź dalej dyskusję, może będą jakieś pytania.

Gray z Sapem wyszli. Dziewczyna z naszej grupy podniosła rękę, a Liq udzielił jej głosu. To było ciemnowłosa. Nie dość, że już dawno wyskoczyła ze szpetnego drelichu, to w dodatku, w krótkiej przerwie między obiadem o dyskusją, zdążyła zmienić uczesanie i wymalować policzki.

- Akcja Sapa - powiedziała - w sposób ewidentny i ostateczny, tak ja przynajmniej uważam, a jest to na pewno sąd obiektywny, demaskuje bezczelną uzurpację tak zwanych Artystów realistycznych - to ostatnie mówiła krzywiąc się ironicznie - którzy w swej działalności chcą naśladować rzeczywistość... Zdjęcie nawet najdoskonalej wykonane, zresztą cóż to znaczy d o s k o n a ł e, skoro jak wszyscy się zgadzamy, taka realistyczna, a w gruncie rzeczy szalbiercza doskonałość nie ma sensu, także, takie zdjęcie, jak mówię, nigdy nie będzie tym przedmiotem; jaki na pozór przedstawia. Dlatego fotografia, zamiast naśladować to, co widzialne, co jest zajęciem i wrednym, i jałowym, powinna zaproponować coś, co będzie samą fotografią, suwerenną i niezależną...

- Czystą fotografią - podrzucił chłopak od tablicy.

- Tak - powiedziała dziewczyna - i to prowadzi nas do koncepcji fotografii, w ogóle sztuki, jako p u s t e g o znaku, który wyzbywszy się fatalnej więzi łączącej go z konkretem, uzyskuje status pojęcia lub mówiąc lepiej znaku doskonale abstrakcyjnego. Takiego znaku, któ-

ry będzie dzięki temu konkretem sam w sobie. Stanie się po prostu innym, nowym konkretem.

Chłopak przy tablicy skwapliwie skinął głową.

- Zgadzą się, oczywiście. Taki był cel Akcji. Fotografia realistyczna nigdy nie będzie konkretem, dlatego powinna z niego zrezygnować. Ta koparka...

- No właśnie - przerwała ciemnowłosa - ale żeby demaskacja pseudorealistycznej uzurpacji była pełna, fotogramy winny być kolorowe. Ich podobieństwo do rzeczywistej koparki byłoby wtedy większe, rzekomo oczywiście, tym większa byłaby skala i perfidia oszustwa i tym dosadniejsza kompromitacja... Nie wiem, czy się rozumiemy. Uważam po prostu, że czarno-białe fotogramy były rozstrzygnięciem połowicznym i wygodnickim. Demaskacja powinna być druzgocąca i ostateczna.

Parę osób z sali nie do końca zgadzało się z ciemnowłosą

- Co nie czepiasz, koparka i tak była szara. Kolor nic tu nie dawał.

- Setka kolorowych zdjęć metr na metr w ciągu doby! Nie za dużo tego dobrego?

- Nie setka. tylko...

Liq podniósł dłoń nad stołem.

- Proszę pojedynczo, nic nie słyhać.

- No właśnie - chłopakowi przy tablicy udało się przebić ponad bezludny gwar - chodziło przecież o tempo. Zrobienie kolorowych fotogramów byłoby znacznie bardziej kłopotliwe. Choć oczywiście...

- A wy co, Przestrzeń i Czas robiliście na kolorze? - rzucił napastliwie starszy nieco chłopak spod drzwi.

Ciemnowłosa wstała z oburzoną miną i obróciła się w jego stronę.

- O naszej Akcji będziemy mówić za chwilę, ale na to pytanie odpowiem od razu. Oczywiście, że zrobimy na kolorze, trudno przypuszczać, że mogłoby być inaczej.

- Ciekawe w takim razie, czy zdążycie na jutro z prezentacją,

- To zdążymy na pojutrze. Uważam, że każda Akcja powinno być robiona w sposób optymalny. Nie ma tłumaczenia...

Weszli Gray z Sapem. Gray miał w ręku swoją torbę; wydało mi się przez chwilę, że od razu ruszy z nią do tablicy, ale Sap go powstrzymał i wskazał dotychczasowe miejsce.

- Jest problem - rzucił Liq od stołu. - Sap, tutaj mówią, że fotogramy na koparce powinny być kolorowe. Mały wskazał na prezentującego Akcję - właściwie przyznał rację dziewczynie...

Sap skrzywił się. Potem powiedział do ciemnowłosej.

- I dobrze zrobił. Tylko że na drugi raz pójdziemy do ciebie, żebyś nosiła kuwety i pilnowała temperatury kąpeli. Zobaczymy, czy wtedy też będziesz taka perfekcjonistka.

- Nikt mnie nie prosił. Na pewno bym pomogła.

- Bardzo dobrze - powiedział Sap siadając obok Liqa. - Czy ma ktoś jeszcze do mnie jakieś pytania?

Nikt nie miał. Gray znowu powstrzymany, tym razem gestem dłoni Liqa, siadł i cierpliwie czekał na swoją kolej.. Czuję się z chwili na chwilę bardziej sennie, pewnie z powodu tego piwa, głowa co i raz spadała mi na piersi. Przy stole nastąpiła zamiana. Chłopak siadł wśród słuchaczy, ciemnowłosa zajęła miejsce za stołem. Kon szybko stał tablicę za jej plecami i narysował białą kredą odręczny schemat naszej Akcji. Ciemnowłosa opowiedziała krótko o tym, co robiliśmy, a o czym, jak wynikało z wcześniejszego przebiegu dyskusji, mieli jakieś takie pojęcie także ci z grupy Sapa.

- Akcja miała na celu - kończyła krótki spicz - ustalenie związków Czasu i Przestrzeni. Wyniki w postaci kolorowych plansz przedstawimy wszystkim jutro. Albo pojutrze - dodała patrząc złośliwie w koniec sali.

Chłopak spod drzwi przyjął wyzwanie.

- Mam pytanie. Czemu nie uwzględniliście nieba?

- Samoloty - powiedziała dziewczyna - przecież to takie proste. Nad Odkrywką przebiega linia lotnicza. Chcieliśmy wykluczyć możliwości interwencji jakichkolwiek elementów fabularnych. Chodziło nam tylko o Przestrzeń i Czas.

- Chłopak spod drzwi usiadł. Nagle podniosła się pani Fire.

- Czy nie można było ustalić z lotniskiem godzin przelotu i wykonać rejestracji w momencie, kiedy niebo było puste? - spytała w ciszy.

- Stara, nie bądź złośliwa - szarpnął się Kon. - Czemu się czepiasz?

- Nie, dlaczego - zawołał ten spod drzwi - Fire ma rację. Albo albo. Jak się innych zachęca do perfekcjonizmu to samemu też trzeba.

Lig wstał. Uprzednio podniósł jednak rękę, żeby wyglądało, że zabiera głos na prawach zwyczajnego dyskutanta.

- Uspokoję was. Ja dzwoniłem na lotnisko... Nie ma takiej możliwości, żeby w przeciągu trzech godzin nie przelatowała ani jedna maszyna. Akcja trwała właśnie tyle. Ale to nie jest ostatnia Akcja tego typu. Za dwa dni zajmiemy się niebem. I wtedy wykorzystamy te dane zdobyte na lotnisku. Będziemy po prostu się spieszyć i operować węższymi przedziałami czasowymi.

- A to w porządku - zgodził się chłopak - ale czemu ona tego nie mówi?

- Są jeszcze jakieś w a ż n e pytania? - uciął kwestię Sap.

- Czy dublowanie się kątów widzenia aparatów jest celowe?

- Tak - odpowiedziała ciemnowłosa.

- Nie - sprostował Liq - nie ma dublowania. To znaczy, występuje zachodzenie pól widzenia w odległościach od okręgu jakieś dwa, może trzy metry i dalej. Ale z kolei na odległościach bliższych od tych trzech metrów mamy dwanaście trójkątnych martwych pól nie rejestrowanych przez żadną kamerę. Żadna z kamer poza tym nie rejestruje wnętrza okręgu.

- To błąd - powiedział chłopak spod drzwi. - Jak zamierzacie go wyeliminować?

- Bardo prosto. Jutro powtarzamy taką samą serię zdjęć. ale już z aparatami skierowanymi obiektywami do środka koła. Wtedy nie będzie już miejsca, którego nie zarejestrowałaby przynajmniej jedna z kamer - to powiedziała ciemnowłosa.

- Zgoda, tylko że wtedy aparaty będą fotografować także siebie nawzajem.

Liq rozłożył ręce.

- Tego nie da się uniknąć. Ale skrzynkę sterowniczą i przewody skryjemy w wykopie, a sami będziemy się kryć za najbliższymi wzniesieniami.

- Czy są jeszcze jakieś pytania? - zapytał Sap swoim normalnym zgorzkniałym głosem.

Za padła cisza.

- Właściwie - oznajmił Sap - właściwie mieliśmy mieć wolne, no i przygotować się nieco do jutrzejszej pracy i prezentacji. Ale mamy tu gościa, pana Graya. Pan Gray sądzi, że zdoła powiedzieć nam coś nowego o... malarstwie.

Parę osób parsknęło śmiechem. Kilku chłopców wstało. Szurnęły krzesła.

- Krótka przerwa - zakończył Sap - kto chce, może zostać. Spotykamy się za dziesięć minut. Może ktoś z was spróbuje podyskutować z Grayem.

Było mało osób. Co najmniej połowa wyszła. Za stołem pozostali Sap i Liq, ale tego przecież należało się spodziewać. Na krzeselkach, w dwu przeciwległych krańcach sali, nie patrząc na siebie, spoczywały pani Fire i ciemnowłosa; chłopak spod drzwi przysiadł obok Fire. Kon założywszy nogę na nogę ulokował się w pierwszym rzędzie i rozrucił szeroko ramiona. Było jeszcze dwóch chłopaków z grupy Sapa siedzących z tyłu, no i ja w środkowym rzędzie. W sumie dziewięć osób. Dziesiąty, Gray, przyczepiał skoczem do tablicy kilkanaście czarno-białych rysunków i jeden kolorowy obrazek. Gray był zdeprimowany i próbował to ukryć, ale mimo że siedziałem dopiero w czwartym rzędzie, widziałem, jak drżą mu dłonie.

Nie ulegało wątpliwości, że publiczność jest niezycliwa. Jedyńm sojusznikiem mogłem być ja. Kto jeszcze? W czasie dziesięciminutowej przerwy Liq zaczął mnie na kory-

tarzu. "Miałeś, zdaje się, ochotę iść spać", zapytał wręczając mi klucz od pokoju. Odmówiłem, tłumacząc, że się rozmyśliłem, bowiem kiedy śpię w ciągu dnia, nie mogę potem zasnąć w nocy. Liq nie miał zadowolonej miny, ale nie powiedział już nic.

Na tych rysunkach rozłożonych przez Graya widniało kilka Staroświecko ubranych postaci, jakieś pola i Drzewa. Była w tym trudna do nazwania, ale jakby zamierzona niezręczność i skrótowość. Wszystko wyglądało na swój sposób wdzięcznie i prosto; nieskończenie bardziej prosto od nachalnej perfekcji komiksów, a jednocześnie nieskończenie bardziej szlachetnie. Cienka kreska, najprawdopodobniej rysunek tuszem kreślarskim, gdzie tusz zalewał i robiły się czarne plamy, zdające się sugerować ciemności, głęboki cień...czy ja wiem, co jeszcze wywoływało z pustki białych kartek wrażenie domów, uliczek, lamp gazowych, takich jak w MIEŚCIE. Wrażenie mostów nad rzekami, wizerunki odwróconych profilem brzuchatych mężczyzn odzianych w Staroświeckie ubrania z nadmierną ilością guzików; wizja kobiet wiejskich zbierających Zboże z pola w sposób prymitywny i prostacki, niedbałe szkice małych żaglowych stateczków... Na jasnym pastelowym portrecie namalowanym dużą ilością cienkich maźnięć dominowały żywe kolory czerwieni, zieleni i żółci. Obraz przedstawiał mężczyznę w futrzanej czapie na głowie, w zielonym mundurze i bardzo zniszczonych butach, palącego krótką fajeczkę. Twarz mężczyzny, z bardzo wyraziście i smutno patrzącymi oczyma, niewątpliwie twarz fizycznego, zawinięta była mimo tej czapki wokół uszu jakąś białą chustką lub szalikiem..

- Znacie się zapewne na Sztuce - powiedział Gray napastliwie, choć nie mógł jednocześnie pohamować drżenia głosu - spróbujcie więc odgadnąć, czyje to rysunki?

Kon zaśmiał się nerwowo, odwracając głowę w tył i ogarniając szybkim spojrzeniem przez ramię resztę sali.

- Przecież to absurd - zawołał - on rzeczywiście... na serio.

- Van Gogh - powiedziała tryumfująco pani Fire głosem niepoprawnej prymuski - poznaję. Na pewno van Gogh.

Liq i Sap nie kontaktując się niemal, równocześnie skinęli z niesmakiem głowami.

- Dobrze, ale niezupełnie - zawołał Gray w uniesieniu. - Czy wszystkie rysunki i ten obraz to van Gogh. To ważne... proszę powiedzieć, czy wszystkie

Dziewczyna spytała o coś chłopaka, który siedział przy niej.

- Jasne - powiedziała po krótkiej naradzie i chwili namysłu - nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, co to znaczy.

Gray wziął do ręki parę szkiców i podszedł z nimi do dziewczyny.

- Tylko te trzy - powiedział nie hamując radości - tylko te to wykonane w skali 1:7 reprodukcje rysunków van Gogha. Reszta to nie reprodukcje, lecz właściwie oryginały. Van Gogh nigdy tego nie namalował. Teoretycznie mógłby to zrobić, gdyby zaszły pewne okoliczności. o których nie chcę teraz mówić, a które udało mi się za symulować przy pomocy maszyny.

- Nie rozumiem - powiedziała pani Fire dziwnym tonem, jakby przyznawało się do czegoś takiego po raz pierwszy w życiu.

- Nie wiem. czy warto to rozumieć - rzucił Kon, ale Fire spiorunowała go wzrokiem.

Liq wstał, patrząc na Sapa z ogromną pretensją, ten jednak pociągnął go z powrotem za rękę kiwając uspokajająco głową. Gray w krótkich nerwowych zdaniach opowiedział o swoim aparacie to wszystko, o czym mnie mówił już w samolocie. Dwaj ludzie od Sapa cały czas rechotali prowokacyjnie, ale Fire patrzyła w Graya jak raptem zakochana, potakując po każdym wypowiedzianym przezeń zdaniu. To wystarczyło, mimo tych śmiechów, żeby powiedział swoje do końca.

- Wszystko jest funkcją posiadanych informacji o danym malarzu, o danym stylu. Bo można też przy pomocy mojej aparatury budować plany katedr, jakie nigdy nie powstały, malować późne obrazy malarzy, którzy umarli młodo, można robić nieskończone wariacje na jakiś temat, w których jednocześnie nie będzie nic z dowolności. Na przykład te chłopaki w polu, ta żaglówka, właściwie to wszystko, co widzimy, to nie są, dosłownie rzecz biorąc, oryginały, lecz maszynowe wariacje na tematy wykonane już przez artystę. Osoby van Gogha nie wybrałem przypadkowo. Piętno osobistego stylu jest tu wielkie i dzięki temu stosunkowo łatwo zawrzeć to w programie. Jednocześnie bardzo duża jest bibliografia na temat van Gogha, jego listy do brata i do innych artystów to po prostu kopalnia informacji i wskazówek, to zbiór idei, marzeń i przejawów fascynacji innymi artystami zestawiony bardzo precyzyjnie. Oczywiście poradzić sobie może z tym tylko maszyna. Żaden ludzki umysł tego nie pomieści, chyba że chcemy mieć kopie, wulgarne pastisze...

- Buty - powiedziała pani Fire - znam podobne buty z jego innego obrazu.

Gray spojrział na nią z wdzięcznością.

- Zwierzę się pani. Wcale nie mam pewności, czy to jest dobra droga. Wyobraźnię artysty traktuję jak jakiś wielki magazyn, jak szczególną rupieciarnię, z której artysta wyciąga pewne elementy i ustawia je według pewnych reguł... ustawia oraz modyfikuje, zgodnie z zasadami swej moralnej i artystycznej wrażliwości. Przy pomocy mojej techniki mogę próbować odtwarzać zawartość tego magazynu i badać, a następnie stosować te reguły. Mogę także próbować przewidywać pewna zmianę tych reguł, z wiekiem powiedzmy, pod wpływem al-

koholu albo jakiejś psychozy lub uczucia. Ale nigdy nie mam stuprocentowej pewności. Odpowiedzią jest tu dopiero efekt ostateczny. Pani r o z p o z n a ł a van Gogha. To by znaczyło, że trafiłem. Równie dobre, a nawet znacznie lepsze efekty dawała symulacja prac średnio-wiecznych architektów. Po prostu jest to jeszcze dziedzina plastyki, ale już bardzo ściśle podporządkowana regułom matematycznym. Z Vermeerem nie szło mi tak łatwo. W ogóle nie wiedziałem, jak zabrać się do Boscha, do Brueghela... Świat pewnych artystów wydaje się światem bez reguł albo światem reguł głęboko ukrytych. Ale dzięki skonstruowanej przeze mnie maszynie udają się próby przynajmniej częściowego uchylecia drzwi do niektórych z tych światów. Oprócz tych drzwi, oczywiście, które sam artysta zostawił otwarte. To nawet może budzić pewne etyczne i artystyczne sprzeciwy, myślałem o tym, ale i tak uważam...

Mówił to wszystko do pani Fire. Zapomniał, że są jeszcze na sali Liq, Sap i ich ludzie.

- To budzi jeden zasadniczy sprzeciw, taki mianowicie, że całe przedsięwzięcie pozbawione jest sensu - leniwie zauważył Kon, zmieniając ułożenie nóg i jeszcze szerzej rozkładając ramiona.

Gray spojrział na niego, jak wyrwany z jakiegoś pięknego snu.

- Dlaczego, przecież...

- Pan wskrzesza trupa - zawołała ciemnowłosa. - Mówiąc ściślej, cały cmentarz - dorzucił Kon. Wstałem.

- Mnie bardzo podobają się te obrazki i uważam je za interesujące. Nie to, co nasze dzisiejsze pstrykanie...

- Pan Neut - przerwał mi bardzo autorytatywnie Liq - urzędnik Neut mówi teraz przez sen. Całe szczęście, że nie musimy przejmować się tym, co urzędnicy niższego szczebla bredzą o Sztuce... Słucham. co kolega chciał powiedzieć - zapytał jednego z dwu siedzących za moimi plecami ludzi z grupy Sapa.

- Czy można wiedzieć, po co pan Gray to robi, po co traci czas i absorbuje energię komputera?

- Jak to po co? Żeby rozmnożyć skromny dorobek niektórych przynajmniej artystów. Żeby zadać pewne pytania ich twórczości, skoro nie można zapytać ich samych. Żeby dostarczyć ludziom dzieł nie będących wulgarnymi reprodukcjami wytworzonymi kiedyś, ale i tak bez żadnej pieczołowitości, przez poligrafię. Żeby otrzymać coś na kształt oryginałów, które jednak będzie można wytwarzać masowo...

- D z i e ł - powiedział z ogromną pogardą któryś z chłopaków za moimi plecami, a Sap tryumfująco uśmiechnął się do Liq.

- Dostarczać oczywiście za pieniądze - dodała ciemnowłosa, karcąc jednocześnie

wzrokiem panią Fire za naganną u Współczesnego Artysty fascynację przemową Graya. Wracamy, cofamy się. Sztuka jako d z i e ł o... na nie, to zabawne.

- Dla mnie to po prostu grzebanie w trumnach.

Wstał Liq.

- O ile dobrze pana zrozumiałem - rzekł bardzo życzliwie - wskrzesza pan przy pomocy swojej aparatury, abstrahując od tego, czy skutecznie, pewien miniony już, zarzucony i skompromitowany sposób traktowania obrazu, w ogóle powierzchni malarskiej, narzucając jej na powrót funkcje realistyczne...

- Dla mnie to nie jest minione!

- Chwileczkę, proszę dać mi skończyć. Tymczasem wiadomo dziś, że autentyczne d z i e ł o S z t u k i nie może wyrażać nic, nie może być znakiem czegokolwiek. Ono istnieje samo przez się, odrzuciło wszelkie walory wyobrazeniowe... Linia jest linią, mól panie, i niczym więcej, barwa barwą, kształt kształtem. Jedyne jeszcze, co w sztuce możliwe i celowe, to ukazać ich antyiluzjonistyczną jedność formy. Jeśli oczywiście założymy, że wypełnianie kwadratu płótna cokolwiek ma dziś w ogóle sens... A pan zaprzęga całą aparaturę do naśladowania drgnień ręki neurotycznego faceta sprzed dwustu lat, który znajdował przyjemność w rysowaniu bab na polu...

- Pan bełkocze! - krzyknął Gray z wściekłością.

Fire zrobiła taki gest, jakby mu chciała dodać odwagi. I jakby prosiła, żeby dyskutował spokojniej.

- To pan bełkocze - wtrącił Sap stłumionym głosem na granicy słyszalności i raptem zrobiło się bardzo cicho. - Wszyscy tego wysłuchaliśmy, bo jesteśmy dobrze wychowani. Niech pan teraz posłucha nas. Dla sztuki, mój panie, ważne są tylko te dokonania, które stwarzają możliwości zaistnienia nowych sytuacji rozwojowych. To wymyślili mądrzejsi od pana. Ważne są tylko te sytuacje i działania, które r o z s z e r z a j ą. Następujące później wypełnienie tego obszaru nie jest działalnością twórczą, na pewno nie jest sztuką. Pan tymczasem robi coś jeszcze gorszego, pan przeżuwa nietwórcze. To niepoważne.

Gray poszukał oparcia w dziewiątce par oczu, które patrzyły nań z sali. Może znalazł je u pani Fire. Nie znalazł go u mnie. Nie wiedziałem, co powiedzieć. To fakt, jestem zwykłym urzędnikiem i nie znam się na sztuce. Jestem poza tym niebezpiecznym facetem, który musi uważać na to co mówi. Opuściłem oczy.

- A gdyby potraktować badania pana Graya jako próbę - zaczął bez przekonania chłopak siedzący obok Fire - jako próbę... zbadania sytuacji rozwojowych nie wykorzystanych z powodu przedwczesnej śmierci albo...

- Co ty wygadujesz - rzuciła ciemnowłosa - dwieście lat wstecz będziesz szukał sytuacji rozwojowych. Bez sensu!

Chłopak nie zabrał już głosu.

- Myślę, że na tym skończymy - powiedział Liq. - Pan Gray musi jeszcze przemyśleć pewne sprawy.

Nie wiedzieć czemu. Gray spojrzał na mnie ze złością. - Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem. W takim razie, jeśli to wszystko nie ma sensu, czemu ludzie garną się tak do MIASTA. skąd te wieloletnie kolejki. Powiem wam, bo znajdują tam ten ludzki jeszcze sposób rozumienia sztuki, którego nigdy nie pojmiecie. Rzeźby przedstawiające ludzi i Bogów, normalne malarstwo naścienne, architekturę, którą nie polega na rozstawianiu prostopadłościanów. Ja nie bełkoczę, to wy...

- Ludzie piją także wódkę - powiedział Liq spokojnie, zgarniając papiery ze stołu. - Bardzo ją lubią...

- ... i podniecają się do wypadków - rzucił! Gray. Słyszac to Liq skamieniał.

- Proszę, koledzy, ustawiajcie krzeselka - zwrócił się Sap do swoich chłopców. - Już wychodzimy.

- Nie tak szybko - krzyknął Gray - o co wam chodzi, w co wy właściwie gracie... Współczesna Sztuka, wariackie kreskówki i duperelne fotografowanie pustej Przestrzeni. Popatrzcie - wrócił się do Fire i do stojącego już obok niej chłopaka - co nam zostaje, jakie są nasze rozrywki, jak spędzamy czas. Tkwimy przed telewizorami, podniecamy się do Murzynek i onanizujemy automatami lub w PornoSalonach. Co miesiąc pokazują nam na niebie jakieś wygłupy. Po kilka, po kilkanaście lat jęczymy do MIASTA, a wpuszczają nas tam na parę godzin zaledwie. WODEŃ-DRZEWA-PTASZKI oglądamy większości jedynie na filmach, stoimy w kilometrowych kolejkach do kin i łazimy po ulicach czekając, że zdarzy się coś nadzwyczajnego. Nie zdarza się nic, więc zalewamy pałę i skaczemy z okien, a najbogatsi z nas rozwalają się Samochodami, mimo że prawie już nie ma benzyny... Nie, ale nawet to nie jest prawda, to mistyfikacja...

W trakcie Grayowej przemowy Sap dał znak i ci dwaj podbiegli do Graya i złapali go z tyłu za ramię.

- Chamstwo - krzyknął Liq - onanizm pana Graya jest jego prywatną sprawą.

- Dlaczego, chciałabym wysłuchać tego do końca - powiedziała pani Fire.

Zrobiło się zamieszanie. Gray szarpał się i krztusił, ale nie mógł nic powiedzieć. Miał w ustach jakąś szmatę wepchniętą mu przez Kona. Poleciało na podłogę parę krzesel. Ciemnowłosa spoglądała na to w osłupieniu pomieszanym z dziką satysfakcją. Faworyt Fire po-

niósł klęskę - to było najważniejsze. Ja siedziałem na swoim miejscu, jakby mnie sparaliżowało. Nie ruszyłem ani ręką, ani nogą.

Siedziałem tak dopóty, dopóki nie wyprowadzili Graya, i Liq nie podszedł do mnie.

- Domyśliłeś się jednak - powiedział ze złością. - Uważasz, że jesteś cholernie sprytny. I w dodatku rozpowiadasz to na lewo i prawo... Kiedy znalazłeś okazję, jeszcze w samolocie, tak? No powiedz!

- Tak.

- No to wracasz dzisiaj, wieczornym lotem. Rano porozmawiasz sobie z Szefem pionu B.

Nie ukrywał irytacji, ale była to przede wszystkim irytacja faceta, któremu odebrano jakąś cenną a skradzioną poprzednio rzecz, i który musi się z tym pogodzić. Nie było w nim za grosz szaleńczej wściekłości oprawcy grożącego najgorszymi konsekwencjami i wzbudzającego śmiertelny przestach. Dlatego po myślałem, że jest mimo wszystko bardzo żaloszny.

Przyjechałem tu z pustymi rękami. Szczoteczkę do zębów, ręcznik i piżamę wydali mi na miejscu pierwszego wieczoru. Zmiany dziennej bielizny już nie zdążyłem dostać. Liq zamknął mnie teraz na klucz w naszym pokoju, rzucił rutynowo bezsensowny rozkaz, żebym się pakował, a sam pobiegł do centrali telefonicznej załatwiać z lotniskiem przelot dla mnie i Graya. Tym razem mieliśmy podróżować osobno - ja pierwszym lotem wieczornym, Gray nocą.

Można by chyba to nazwać aresztem domowym. Stałem przy oknie czekając, aż mnie wypuszczą. Nie czułem strachu. Wszystko się rozwijało nad podziw korzystnie i prawie rzecz biorąc bez udziału mej woli. MIASTO, Odkrywka, dwa zupełnie niegroźne spotkania w AMF... nigdy w życiu nie przeżyłem tylu przygód na raz i trudno byłoby mi jeszcze przed tygodniem przypuszczać, że kiedykolwiek je przeżyję. Teraz, kiedy po przemowie Graya wyszło na jaw, że wypadki są pozorowane, kiedy uznałem to w końcu, a oni dowiedzieli się, że ja wiem - należało oczekiwać jakiegoś kolejnego prezentu. Może mieli dla mnie miesięczny abonament do MIASTA, taki sam, jaki proponowali Grayowi. Brałbym go, do jasnej cholery, brałbym go z zamkniętymi oczami, nawet ze cenę absolutnej dyskrecji. Także wtedy, gdybym nie mógł nigdy, do końca żyda powiedzieć choćby słowa samej Kay.

Po podwórku przed budynkiem noclegowym włóczyło się paru chłopaków i dwie z czterech dziewczyn. Wszyscy kiwali się na nogach - zażyli chyba po kilka piw albo butelkę któregoś z mocniejszych alkoholi podawanych do późnych godzin w budynku stołówki. Dla większości z nich, dla tej części przynajmniej, która mogła skorzystać na Grayowym wybu-

chu, wydarzenia podczas dyskusji sprowadzały się chyba do dziwnego ekscesu. Między chłopakami a dziewczynami poczyniała się rozwijać, a może już rozwinęła się, podniecająca Przygoda, w wyniku której pewne pokoje pozostaną puste dzisiejszej nocy, a w pewnych łóżkach położą się pary. To wyczuwało się na odległość. Mieli już bardzo mało czasu na dokonanie ostatecznych wyborów. Widoczne w oddali szczyty koparek i wysypiska Odkrywki poczynaly różowieć w czerwieniejących promieniach słońca schodzącego ku zachodowi za moimi plecami.

Nie było między nimi Graya. To oczywiste. Gray czekał na swoją kolej w pokoju Sapa; niewykluczone, że był związany i skneblowany. To jego wybuchowi zawdzięczałem kolejną odmianę. On z kolei zawdzięczał swoją wiedzę temu, co powiedziałem mu w samolocie. Wszystko się poplątało i zmieszało. Czemu Gray dał się sprowokować, skoro jeszcze dzień wcześniej sam zalecał mi dyskrecję? Czyżby tak bardzo rozpałiło go nieoczekiwane uznanie pani Fire, a może liczył na to, że zdoła nawrócić ich wszystkich... Albo te jego rysunki - zrobiły na mnie duże wrażenie, nie takich rzeczy przecież oczekiwałem, kiedy mówił o swej aparaturze jeszcze w samolocie, ale co najmniej równie dziwne było to, co Gray powiedział o naszej codzienności. Nigdy chyba nie myślałem o niej w ten sposób. Zawsze wydawało mi się, że życie jest ciekawe, tylko ja nie potrafię do niego dotrzeć. Zresztą kiedy była Kay, w tym wszystkim można było znaleźć trochę sensu - życie nie układało się wcale tak źle. Gdybym jeszcze potrafił robić filmy... Ale uprzytomniłem sobie zaraz, że tego jedyne, prawdziwego filmu, który mógłbym próbować nakręcić, filmu opowiadającego o przeżyciach paru ostatnich dni - nie nakręcę nigdy i nigdzie.

Nie minęła godzina i wszystko było załatwione. Liq z kierowcą odprowadzali mnie do Samochodu w dodatkowej eskorcie Sapa i Kona. Obyło się bez pożegnalnych czułości; kiedy wsiałem, nikt nie powiedział ani słowa. W podróży na lotnisko miał mi towarzyszyć tylko Liq.

Już ruszaliśmy. Przez szybę wozu spostrzegłem bez trudu, że czterej chłopcy zdążyli położyć ręce na biodrach dwu dziewczyn. Zjawiała się także pani Fire z włosami płonącymi czerwienią zachodu i w kostiumie z łatkami, ale na razie bez żadnego towarzysza. Z dziewczyn brakowało tylko ciemnowłosej. Dopiero gdy wjeżdżaliśmy w bramę Odkrywki, przypomniałem sobie, że ciemnowłosa jest nieobecna z powodu tych fotogramów przygotowywanych na jutrzejszą bądź pojutrzejszą prezentację. I mimo, iż wiedziałem już przecież, że cała Akcja jest błagą i parawanem mającym ukryć sprawy znacznie ciekawsze - poczułem coś na kształt absurdalnie dokuczliwego żalu. Wiadomo, nigdy i nigdzie nie rozwinie mi się żadna miła przygoda z którąkolwiek z tych dziewczyn. Nie zobaczą najprawdopodobniej żadnej z

nich, podobnie jak nie zdążę już obejrzeć przemyślnego zestawu kilkuset kolorowych zdjęć rejestrujących przebieg Akcji Przestrzeń i Czas.

Natomiast, choć trudno byłoby mi wyjaśnić, skąd się brało to przeświadczenie, byłem niemal pewien, że spotkam się jeszcze i porozmawiam z Grayem.

WIOSNA

“«Teraz dowiem się wszystkiego» - pomyślał K. i przytaknął żywo głową (...)”

Franz Kafka “Proces”

Jeszcze dwie lub trzy podobne wizyty i będę się czuł w tym gabinecie, jak u siebie w domu. Niemal wszystko było jak przedtem. Biurko z telefonami i monitorem, w rogu wygaszony BarwoMobil; pozostała nawet szachownica na ścianie. Z boku po prawej od drzwi maszyna do pisania, a nad nią pani Char. Ubrana w tę sama co poprzednio, urzędową sukienkę, na twarzy ma identyczny makijaż z niejaką rutyną zapewne odtwarzany co rano. Za plecami Szefa pionu B okna. W oknie oddzielone ramą dwa prostokąty jasnego nieba, po którym płyną Wiosenne chmurki. Okno jest uchylone, klimatyzacja wyłączona, rozkoszny chłód poranka pieści moje stopy.

W czasie mojej dwudniowej nieobecności Wiosna na dobre rozgościła się w mieście. Konwojent, który zabierał mnie z lotniska, kolejna nowa twarz do zapamiętania, kazał kierowcy zatrzymać Wóz wcześniej. Szliśmy razem pod ciepłym porannym słońcem z włosami rozwichrzanymi łagodnym wiatrem, wśród tysięcy ludzi, dziesiątkami ulic. Z Wiosną wypuszczały pąki rachityczne Drzewka stojące w betonowych klombikach, z Wiosną wyległy na jezdnie setki rowerzystów, a na chodnikach instalowali się sprzedawcy losów Laserowej Loterii, rozprowadzający niebieskie bileciki w małych ruchomych straganach. Ta Wiosna przyniosła także nowego Szefa pionu B na ósme piętra AgroMeteoFlory.

Zza biurka patrzył srogo i badawczo mężczyzna tak bardzo w sumie podobny do poprzednika. Był tylko nieco młodszy. Elegancik koło pięćdziesiątki z nieznacznie siwiejącymi skroniami, czego nie skrywał, przeciwnie, puszył się tym. Jego twarz była silnie opalona; facet nie żałował sobie w ciągu zimy kwarcówkowych seansów.

- No i co pan tak rozrabia - powiedział po chwili badawczego milczenia. - Właściwie powinniśmy pana zamknąć, Neut... Żeby nauczył się pan trzymać język za zębami.

Wiedziałem dobrze, że jest to pomysł, którego nie wprowadzą już w życie. Mimo to pozwoliłem rysom mej twarzy - ułożyć się w wyraz łagodnego przestachu.

- Niech pan nie pajacuje, Neut - warknął. - Nie lubię tego.

Dał znak pani Char. Wręczyła mu plastikowy migacz o złocistym połysku. Szef pionu B zdawał się ważyć go w dłoni. a potem, po namyśle, podał migacz mnie. Pod cienką war-

stewką plastiku złącił się kartonik z wybitym na brązowo nazwiskiem i datą urodzenia oraz przyklejonym zdjęciem twarzy mężczyzny, pod którym drobniejszymi nieco literami wydrukowano jedno siewa - Capricorn. To była moja twarz i moje nazwisko. Po drugiej stronie, wypisane na centymetr chyba wysokimi i ozdobnymi literami, sięgającymi obu krawędzi migacza, srebrzyło się niezrozumiałe słowo SUBWAY. W dole po prawej drobnutką czcionką wybito wczorajszą datę i krótki napis - Karta rocznego wstępu G-1.

Podniosłem oczy na Szefa pionu B nie kryjąc zawodu. - Myślałem, że to będzie do MIASTA.

- Rozległ się krótki, nerwowy śmiech pani Char.

- Słuchajcie, Neut - powiedział facet za biurkiem - pan jest głupi, czy tylko udaje?

Nie istnieją rozsądne odpowiedzi na tak postawione pytania.

- Słuchajcie, Neut - powtórzył - mój poprzednik uznał pana za durnia i przejechał się na tym. Nie powtórzę jego błędu. Być może jest pan głupi, ale ma pan dużo szczęścia. Odkrył pan jedną tajemnicę i zbyt blisko znalazł się drugiej, by pozwolono panu dochodzić do niej samemu. Ryzyko, że poinformuje pan co najmniej połowę obywateli o swoim odkryciu, było zbyt wielkie. Pan dużo mówi, Neut...

- Potrafię także milczeć.

- Nie wątpię. Inaczej nie rozmawialibyśmy w ten sposób.

Pani Char szurnęła szufladą swego biurka.

- Myślę, że teraz moglibyśmy... - zaczęła, ale nowy Szef spiorunował ją wzrokiem.

- Mamy czas - powiedział, nie wiadomo, do niej czy do mnie - mamy czas i pewne plany w stosunku do pana, Neut. Domyśla się pan chyba, że rzecz się nie skończy na nieuchronnych w tej sytuacji ustępstwach z naszej strony. Oczekujemy teraz rewanżu od pana...

- Gdybym wiedział, o co chodzi.

- Wszystko w swoim czasie, Neut. Na razie niech przestanie pan mówić. Mówić, telefonować, zwierzać się, pytać, dochodzić czegokolwiek na własną rękę.

- Rozumiem.

- Ale jeszcze nie wszystko, Neut. Zobacz pan, że nie wszystko. Jutro jeden z naszych zabierze pana do... podziemi. Za trzy, cztery dni dowie się pan, czego oczekujemy od pana, ale już jutro zobaczy pan, co ma do stracenia... Nie zamierzam dochodzić, czy pan nie wiedział w SUBWAYU, czy wiedział, a teraz udaje. Wystarczy, że był pan blisko. Zimno, ciepło, gorąco... parzy. Rozumiemy się, Neut. Teraz jedno słowo i diabli biorą ten migacz, niech pan o tym nigdy nie zapomina. Poza tym zawsze możemy pana izolować... - zawiesił głos i wyglądało, że chce jeszcze coś powiedzieć.

- Filtr - odpowiedziała pani Char. Spojrzał na nią bez odrobiny wdzięczności.

- Babskie rządy - mruknął pod nosem, po czym pochylił się wysuwając jedną z szuflad biurka. - Jest jeszcze coś - mówił z twarzą ukrytą pod blatem - mam coś dla pana.

Kiedy podniósł głowę, jego twarz była czerwona. W wyciągniętej tece trzymał połyskujący niklem przedmiot wielkości pięści, zakończony z obu stron rurką niewiele grubszą od kciuka.

- Proszę to założyć, Neut... W domu, na kran z wodą pitną. Przestanie się pan tak podniecać.

- Ja się nie podniecam!

- Podnieca się pan, spokojna głowa, wszyscy się podniecacie... łagodne środki pobudzające - wyjaśnił - wodociągi. - Dzięki temu czujecie się lepiej. Ale panu nie będzie to potrzebne. Przeciwnie... Aha. I proszę nie pić Coli tylko Pepsi. Zresztą ma tu pan szczegółową listę produktów. Proszę tego przestrzegać.

Przypomniałem sobie wszystkie te chwile, wszystkie wieczory spędzone z Pulsating-Paulą i kolorowymi pismami. Wszyscy się podniecacie... Mały kuternoga od fryzjera także. Musiałem się bardzo wysilać, by nie poznał niczego po mojej twarzy.

- Myślę, że teraz - ośmieliła się po raz kolejny wtrącić stówko pani Char - skoro pan Neut już wie... W dodatku, kiedy nie mamy tam Deca. Uważam, że powinniśmy się spieszyć.

- Co stało się z Decem? - zawołałem. Nie potrafiłem tego powstrzymać.

- Dec nie żyje - rzucił z niezadowoloną miną nowy Szef pionu B.- Na waszym osiedlu pan go zastąpi.

Za dnia, przy wygaszonych burdelowych światłach, okolice kina Adonis nie wyglądały tak ponętnie jak o zmroku. Stada pedałów odsypiały pewnie nocne szaleństwa. Fasada kina było szara, mur łuszczył się w paru miejscach, nieoświetlone gabloty ze zdjęciami wyglądały żałośnie i niestosownie. Ale także ten fragment miasta zdobiła Wiosna. Wiosna zdobiła wszystko.

Maszerowałem chodnikiem bijąc się z myślami. Obok przechodzili ludzie, mijali mnie, tręcali jak wtedy, gdy za pierwszym razem opuszczałem gmach AMF z kompromitującą plamą na spodniach. Dzisiaj było inaczej - gorzej czy lepiej? Dec nie żył. Samolot z Grayem, niewykluczone, że związanym i pod silną eskortą, podchodził już chyba do lądowania na skraju zachodnich dzielnic. "Zawsze, kiedy zechcemy, możemy pana izolować..." Kim naprawdę był Dec. Dlaczego umarł? Co stanie się z Grayem? Czego zażądają ode mnie? Znałem tylko częściowe odpowiedzi na te pytania.

Byłem mniej więcej w jednej czwartej drogi między AMF a STARYM MIASTEM. Pomyślałem właśnie, żeby zrezygnować ze spacerów i do domu pojechać metrem, kiedy w przodzie rozległy się jakieś łoskoty i w chwilę potem zadudniły i zaświstały nad ulicą silniki dwu lecących nisko helikopterów. Tłum na chodnikach ruszył, rowerzyści na jezdni także mocniej nacisnęli pedały. Zrobił się mały rowerowy korek. Dwóch cyklistów upadło. Ludzie biegli. Brzęknęły rowerowe dzwonki. Jakiś starszy mężczyzna potknął się o jeden z leżących rowerów. Migotały w słońcu szprychy wirującego koła.

Zrobiłem odruchowo dwa, może pięć kroków razem z tym rozpędzonym tłumem, ale zaraz stanąłem w miejscu.

Obok, raptem osamotniony, patrzył za biegnącymi straganiarz Laserowej Loterii. Pobiegłby pewnie za nimi, gdyby nie przeszkadzał mu jego wózek. Poprosiłem o dwa losy. Spojrzał zdziwiony, ale nic nie mówiąc podsunął mi plastikową miseczkę z dwudziestką niebieskich bilecików. Wziąłem dwa, a potem powoli zdarłem plomby na obydwu i niemal jednocześnie rozwinąłem oba papierki.

Zamiast numerów zobaczyłem napyłone na karteluszki dwa małe metaliczne prostokąty. Po chwili, pod wpływem światła na obu prostokątach wykwitły czerwone literki.

NIESTETY

PUDŁO - może

następnym razem

Poprosiłem jeszcze jeden. Tym razem miałem Szczęście. Po kilku sekundach oczekiwania pojawił się napis zawiadamiający o Sukcesie.

UDAŁO SIĘ

Wyplata razy 5

Straganiarz zapytał, czy gram dalej. Odpowiedziałem, że nie, a wtedy on bez uśmiechu wypłacił mi Wygraną.

Metro zajęchało niemal puste. W rogu mojego przedziału siedziało dwóch fizycznych. Teraz z rana nie powinni tu być - pewnie drugozmianowi. Obracali w dłoniach dziesiątkami niebieskich papierków z czerwonymi napisami i cieszyli się jak dzieci. Losy były przegrane, ale tym większa i tym czystsza byli ich Radość. Zastanawiałem się, cóż mogliby kupić, gdyby podobnie jak ja trafili stawkę pięciokrotną. Może pięć butelek Coli. Zresztą także stawka stukrotna, górna granica Wygranej z Laserowej Loterii, dawała niewiele możliwości.

Na moim osiedlu było umiarkowanie cicho i spokojnie. Tylko paru szczawi mąciło ciszą asfaltowych alejek nadużywając rowerowych dzwonek. W głębi wygodnie usadowione

na ławkach pod sąsiednim blokiem jakieś kobiety wystawiały do słońca twarze i odsłonięte kolana. Trawa między alejkami poczynała się zielenić. Tutaj także wkroczyła Wiosna. Na wszystkich niemal piętrach okna były uchylone, część puszyła się błękitem pożyczonym od nieba. Zmęczona nocą kurewka wchodziła chybotliwym krokiem do ostatniej klatki bloku, walcząc z Seksualnymi butami na wysokich obcasach i ze spustoszeniem, jakie musieli poczynić w jej wnętrzu podnieceni mężczyźni. Na parterze pod oknami kobieta dozorky krzątała się w małym ogródku odwijając krzewy Róż z plastikowej folii. Nie było takich ogródków pod innymi oknami innych parterów.

Skinąłem dozorczyńni głową i wszedłem do mojej klatki schodowej. Skrzynka na listy była pusta. Kay wracała dopiero za kilka dni, na dobrą sprawę powinna jeszcze napisać. W mieszkaniu wisiał niemiły zaduch długo niewietrzonego pomieszczenia. Kilka karaluchów rozzuchwalonych pod moją nieobecność i zachęconych ciemnościami z powodu opuszczonych zasłon wylazło z kuchennej szafki. Całe stadko mrówek faraona zerowało odważnie na pozostawionym na stole wysuszonym kawałku nadgryzionego tostu.

Czułem ogromne zmęczenie, sił starczyło mi tylko, żeby sprzątnąć ze stołu i wkręcić filtr do kuchennego kranu nad zlewozmywakiem. Jeśli Dec pracował dla nich, powinien mieć coś podobnego u siebie, ale byłem przecież niedawno w jego kuchni i nie mogłem sobie przypomnieć żadnego takiego urządzenia. Czyżby mu go nie dali, o może Dec odkręcał filtr zawsze przed moim przyjściem.

Wypiłem dwie pełne szklanki przefiltrowanej wody, smak zdawała się mieć zwyczajny, jak zwykle. Wziąłem potem na tapczan dwa pierwsze z brzegu numery zeszytów Porno z twardym postanowieniem wypróbowania jakości filtra. Rzeczywiście, uroda malowniczo przegiętych Mulatek nie skrywających już przed obiektywem niczego, nie brała mnie ani trochę. Szef pionu B nie kłamał. Myślałem o Kay, ręka opadła mi na piersi, o dwa numery Pornosów zsunęły się bezszelestnie na podłogę.

Ktoś dzwonił do moich drzwi długo i uparcie. Obudziłem się. W pokoju było chłodno. Za oknem pociemniało od chmur, siąpił z nich drobny deszczyk. Ten ktoś za drzwiami nie ustępował. Musiał wiedzieć, że na pewno jestem u siebie. Dec, pomyślałem i zaraz przypomniałem sobie, że Dec przecież nie żyje.

W wizjerze zobaczyłem znajomą twarz dozorky. Odsunąłem zasuwę i otworzyłem drzwi.

- Dowiedziałem się od żony, że pan już jest - powiedział - dlatego dzwoniłem tak długo. Przepraszam, zdaje się, obudziłem pana.

Zaprosiłem go do środka. mówiąc, że przeciwnie i że nie się nie stało. Właśnie miałem już wstawać. Na dobrą sprawę była to prawda.

- O Decu pan już wie oczywiście? - zapytał z chytrym wyrazem twarzy.

- Tak, ale co to było właściwie?

- A więc nie wie pan wszystkiego...

Poprosiłem, żeby wszedł dalej. Wymówił się gestem dłoni, potem szybko poszedł do przodu i zamknął drzwi do pokoju z VTT.

- Pan wie - powiedział wracając do mnie i uśmiechając się z zażenowaniem - ja tylko na chwilę, ale lepiej uważać.

- Co się stało z Decem?

- Popęłił samobójstwo - szepnął krótko - skoczył z okna. To było wtedy nocą, kiedy pana przywieźli tą suką. Wołałem przecież, ale pan nie miał ochoty na rozmowy.... Myślałem, że pan wie więcej.

- Nic nie wiedziałem. Nie przywieźli mnie, czekali na faceta, który deptał mi po piętach do samego domu. Znowu zamachał rękami.

- Niech pan mi nie mówi takich rzeczy - jęknął. - Proszę posłuchać. Chciałem tylko powiedzieć, że byłem wtedy u Deca. Zaraz po tym, na wie pan... I tam u niego przyklejona skoczem do szyby od balkonu wisiała koperta zaadresowana do pana. Pisało wyraźnie - "Oddać Neutowi, jeśli wróci".

- Gdzie jest ta koperta, pan ją ma?

Rozłożył dłonie.

- Nie mam. W pierwszej chwili schowałem ją nawet, ale przyjechali ci w skórach i maglowali mnie tak długo, aż im oddałem. Zagrozili mi...

- Próbował pan czytać list pod światło?

- No, wie pan... Właściwie tak. Ale nic nie mogłem odcyfrować. Potem zaraz oni przyjechali. Naprawdę. Właściwie przyszedłem zapytać, co było w tym liście, bo myślałem, że skoro oni pana odwieźli, to musi pan wiedzieć...

- Nic nie wiem. W ogóle nie wiedziałem o liście.

- Taki młody, przystojny mężczyzna. Co to się dzisiaj wyprawia, jak słowo?

Nie znałem jeszcze precyzyjnej odpowiedzi na tak sformułowane pytanie. Sam zresztą miałem na końcu języka pytanie inne, znacznie bardziej skomplikowane. Czy Dec rzeczywiście nie żyje, czy może jego śmierć jest kolejnym wypadkiem sfingowanym przez tych z AMF dla urozmaicenia życia obywatelom pokroju dozorecy?

Z F-3 NA G-1

“Gdy się K. przypadkiem odwrócił, zobaczył, że niedaleko za nim płonie również jakaś wysoka świeca, przymocowana do jednej z kolumn. Pięknie to wyglądało, ale do oświetlenia obrazów, które wisiały przeważnie w mroku bocznych ołtarzy, zupełnie nie wystarczało, raczej powiększało ciemności.”

Franz Kafka “Proces”

Byłem umówiony w południe przed głównym wejściem Bliźniaków z facetem, który zadzwonił do mnie do pracy linią bezobrazkową i dlatego nie zobaczyłem jego twarzy. Obiecał trzymać w lewej ręce najnowszy numer Pornosu, a prawą chować na piersi pod połą niebieskiego płaszcza. “Jak NAPOLEON, pan rozumie”, rzucił słuchawkę, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, o co może mu chodzić.

Czekał tam, gdzie powinien, dlatego poznałem go natychmiast mimo że nie był żadnym z tych Funkcjonariuszy, z którymi miałem do czynienia w ciągu ostatniego tygodnia. Wyobrażałem sobie, że ci przynajmniej faceci zaczną się powtarzać, ale widać załoga AMF miała nieograniczone rezerwy. Podobnie jak wszyscy niemal poprzednicy chłopak był młody, miał jasne włosy, szczerą, pewną siebie twarz szczęściarza, któremu wszystko się udaje, i był wysokiego wzrostu. Od razu, w momencie prezentacji powiedział, że nie ma czasu, ale że na pewno poradzę sobie i bez niego. “To takie proste, wyjaśniał, najlepsze stąd połączenie z SUBWAYEM to pojechać linią NS i nie wysiadać pod Cebulą i Sałatą mimo przystanku końcowego...” Zrobiłem, jak mówił. Pod Jarzyniakami musiałem po raz pierwszy pokazać wejściówkę do SUBWAYU kontrolerowi zielonym mundurze który wyczesywał wagony z maruderów. Kontroler oglądał migacz długo i nieufnie, potem nagle, widząc na druczku świeżą datę, skrzywił się i dał mi spokój.

Kolejka ruszyła. Byłem sam w przedziale. Po paru minutach jazdy ciemnym tunelem, gdzieś w połowie pętli zwrotnej, metro zatrzymało się ponownie na manewrowej stacji, której sklepienie stanowiła sieć kabli, przewodów instalacyjnych i kanalizacyjnych, jakichś grubych rur opatulonych izolacją i rur bez żadnej izolacji. Na surowych betonowych ścianach wisiało kilkanaście rtęciowych lamp, które niezbyt dobrze radziły sobie z ciemnościami, ale bardzo skutecznie raziły mnie w oczy. Peron obstawiało kilkunastu Funkcjonariuszy w skórach z psami u nogi. Tutaj, jak ostrzegał ten młody drągał pod Bliźniakami, sprawdzili mi

wejściówkę po raz drugi. Psy zachowywały się spokojnie, ci w skórach byli uprzejmi, ale ciarki biegały mi po grzbiecie na myśl o tym, co by się mogło dziać, gdybym dostał się na stację bez żadnego dokumentu, a potem widząc ich wszystkich, spróbował panicznej ucieczki.

Z całej kolejki wysiadło zaledwie kilka osób. Sami mężczyźni. Widząc moje wahanie jeden ze strażników wskazał drogę; ruszyłem w przód po peronie, najpierw wzdłuż wagonów kolejki, potem skręciłem w prawo wąskim i niskim korytarzem, także z surowego betonu, oświetlonym znowu niewystarczającą liczbą rtęciówek. Było tu nieprzyjemnie chłodno i obskurnie. Para oddechu krzepła w powietrzu jak dym z papierosa. W krótkim ułamku sekundy przeleciało mi przez głowę podejrzenie, że może to pułapka, ale nie - strażnicy z psami już od dawna zachowaliby się zupełnie inaczej, gdybyśmy byli skazanymi, nie wyróżnionymi.

Przede mną, lekko utykając, stąpał jakiś starszy mężczyzna; za mną szło powoli jeszcze trzech albo czterech. Spotkaliśmy się przy drzwiach windy pilnowanej przez kolejnego strażnika z psem. Było nas teraz czterech; nie ulegało wątpliwości, że jestem najmłodszy z nich wszystkich, dlatego nie odzywałem się ani słowem. “Sześćdziesiąt osiem”, powiedział utykający facet, był szczupły i zniszczony, o kompletnie łysej czaszce. “Pięćdziesiąt sześć”, powiedział drugi, potężny i otyły. “Czterdzieści osiem”, dorzucił bez przekonania niski facecik z charakterystycznym wąsikiem. Wyglądało, że ten kulawy jest najstarszy i już wyciągałem swój migacz, by mu go podać do trzeciej i ostatniej kontroli, tak jak o tym mówił tajniak pod Bliźniakami, lecz nadszedł piąty mężczyzna, który zakasował sześćdziesięcioośmioletniego. “Siedemdziesiąt”, powiedział grubym głosem nie pozbawionym odcienia tryumfu; był wysoki bez odrobiny tłuszczu na ciele, miał żywe oczy i siwe, ale gęste jeszcze włosy - słowem, zupełnie nie wyglądał na swoje lata. “A pan?”, obrócił swoją twarz do mnie, więc zawstydzony powiedziałem “Trzydzieści jeden”, pokazaliśmy wszyscy swoje migacze temu siedemdziesięcioletniemu; czterdziestoośmiolatek i pięćdziesięciosześcioletni zwrócili się doń per “panie Seniorze”. I mimo że niezadowolony łysek mruczał pod nosem - wszystko odbyło się, jak trzeba. Senior obejrzał uważnie nasze wejściówki. “W porządku”, powiedział do strażnika i strażnik dopiero wtedy nacisnął klawisz windy.

Drzwi rozsunęły się, błyszcząca klatka z metalu mogła swobodnie pomieścić i trzydzieści osób. Senior wszedł pierwszy, po nim mrukliwy łysek, ja na końcu. Przez chwilę poczułem się lekki jak piórko, szarpnęło mnie w żołądku, winda poszła w dół, niemal tak błyskawicznie jak spadający kamień. Na tabliczce były tylko trzy guziki, ale odległość między piętrami musiało być ogromna, winda spadała i spadała. Nie było widać końca podróży.

Po paru minutach milczącej jazdy zaczęło się hamowanie, ale ostatni guzik z cyferką III świecił nadal, nie wiedziałem więc, czy już teraz wysiadam, czy mam jechać dalej. Do

windy wchodziła grupka monterów ubranych w niebieskie kombinezony; zrobiłem ruch noga, jakbym zamierzał wyjść, i spojrzałem niepewnie na Seniora, a on przytrzymał mnie za rękaw kurtki.

- Pierwszy raz w SUBWAYU?

- Tak.

Uśmiechnął się życzliwie, ukazując ładnie dopasowany garnitur plastikowych zębów.

- To widać - powiedział. - I co, przewodnik zostawił pana?

- Nie miał czasu, mówił, że bardzo się spieszy.

Senior spochmurniał.

- Oni nigdy nie mają czasu - szepnął ze złością. Ma pan może jego numer? Dobrze byłoby gościa podkręcić.

- To on do mnie dzwonił, nie ja do niego.

Senior machnął ręką.

- Jak tak dalej pójdzie... - westchnął. I nie dokończył myśli.

Winda ponownie rozpoczęła hamowanie, rozległy się dźwięki dzwonek, metalowa klatka stanęła. Musieliśmy być kilometr, a może i więcej pod poziomem metra.

- Życzę wielu wrażeń - szepnął Senior. - Szatnie będzie pan miał na wprost pod świetlną tablicą.

Otworzyły się drzwi i nasza piątka oraz paru fizycznych, którzy przysiedli się w drodze, ruszyło do wyjścia. Senior szedł pierwszy, niemal natychmiast straciłem go z oczu.

Nieoczekiwanie znalazłem się w wysokiej i ogromnej hall podobnej nieco do dworca kolejowego. Z powodu doświadczeń ze strażnikami i psami na stacji przejściowej spodziewałem się w dalszym ciągu niskich i ciemnych korytarzy z betonu - tym większe było moje zaskoczenie. Hala ciągnęła się w lewo i w prawo na kilkaset metrów, jej krańce były ledwo widoczne, a jasny sufit podświetlony specjalnym systemem lamp schowanych w zakamarkach bocznych ścian wisiał kilkadziesiąt metrów w górę nad wyłożoną różnokolorowymi kafelkami powierzchnią sali. Nigdy nie miałem tylu metrów powietrza nad głową w zamkniętym pomieszczeniu i już samo to robiło na mnie duże wrażenie. W całej hali znajdowało się sporo mężczyzn i kobiet; obecność samych mężczyzn w windzie, którą tu przyjechałem, była widać przypadkiem. Naprzeciwko windy, po drugiej stronie sali, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, widać było dziesiątki drzwi na fotokomórkę, które niemal bez ustanku otwierały się i zamykały. Te drzwi zdawały się wyciągać ludzi z hali, ale stale też windy za moimi plecami zasilały halę nowymi porcjami przybyszów. To wejścia do szatni, pomyślałem, i spojrzałem w górę na dużą świetlną tablicę ciągnącą się jakieś pięć metrów nad tymi drzwiami, w lewo i

prawo, na całej prawie długości hali.

Wyglądało to jak rozkład jazdy metra albo pociągów i pewnie było czymś w tym rodzaju, ponieważ przy wypisanych na tablicy kilkudziesięciu nazwach - wyobraziłem sobie od razu, że są to nazwy podziemnych przystanków - widniały godziny, co do których trudno było nie pomyśleć, że oznaczają porę odjazdu. W tym wszystkim była pewną ostentacyjną oczywistość, okazało się później, że nie myliłem się ani trochę, niewytłumaczalną zagadkę stanowiły dla mnie natomiast czerwone liczby wypisane przy każdej z tych nazw i migające obok nich inne liczby, żółte, zawsze trochę mniejsze od tych czerwonych. Nazwy stacji brzmiały dziwnie obco, było w nich coś kojarzącego się nieuchwytnie z MIASTEM i Starociami. W pośpiechu odczytywałem tylko niektóre z nich Rowet, Dotre-Name, Rouvle. Casre Roeur, Rorum Fomanum, Cazyliba, Lalew, Seimr, Lapitoc, Tarlamenp, Doletto, Mrekl, Gahia, Mopsia, Okropal, Nrambanap, Nokarak...

Dopiero po chwili, pod wpływem gwałtownego impulsu, rozejrzałem się wokół, myśląc, że przecież muszą tu być ludzie, których spotykałem w górze na ulicach miasta, a nawet jakieś bliższe mi osoby nie zdradzające się między wieżowcami ze swoim dostępem do SUBWAYU. I rzeczywiście, nie minęła minuta, kiedy dostrzegłem znajomą twarz faceta w średnim wieku, którego widywałem czasem metrze, jadąc do pracy, i któremu ukloniłem się parę razy w windzie mojego biurowca. "Nie wiedziałem", wykrztusił tylko widząc mnie, i uśmiechnął się niepewnie. "Nie przypuszczałem, że pan też..." Było coś ogromnie żenującego w takim spotkaniu; to tak, jakby zostać przyłapanym przez głodującego na ukradkowym jeździe czekolady, przy czym my obaj od naleźliśmy się raptem w roli owego chytrego żarłoka. Facet rzucił w przelocie, że bardzo się spieszy i że pogadamy innym razem. Zdążyłem go tylko zapytać o te drugie migotające cyferki z tablicy i o te, które nie zmieniały wartości.

- Ach widzę, że pan debiutant - powiedział z uśmiechem wyższości. Już drugi raz mówiono mi to w podziemiach. - To proste, żółte liczby oznaczają ilość odwiedzających, te czerwone graniczną liczbę osób, jaką może pomieścić obiekt.

Pożegnałem go szybko, zawstydzony, że nie domyśliłem się rozwiązania, które było tak banalne.

Za drzwiami pierwszej z brzegu szatni, do której wszedłem, w obszernym pomieszczeniu pierwsze, co rzucało się w oczy, to ogromna ilość luster i wieszaków. Grały na tych wieszakach dziesiątkami kolorów, złociły się ozdobami i zalecały ogromną ilością krojów i fasonów setki Staroświeckich sukien, wśród których buszowała dziesiątka co najmniej kobiet rozebranych do staników i majteczek lub mizdrzyła się przed lustrami częściowo już odziana w te dziwne stroje. Jedna z kobiet, półnaga, młoda i ładna, widząc moje osłupienie, zebrała

jedną ręką do kupy rozbiegane piersi, a drugą puknęła się bez słowa w kształtne czoło. Szybko zamknęłam drzwi, dopiero teraz dostrzegając na nich znak koła.

Obok, w męskiej szatni sytuacja wyglądała podobnie. Kilkunastu mężczyzn w gaciach i podkoszulkach mierzyło i wkładało na siebie jakieś zadziwiające ubiory. Były tam spodnie białe i obciste, wyglądające niemal jak kalesony, były kobiece bez mała żakiety i marynarki z ogromną ilością koronek, guzików, złoceń i połyskujących najróżnorodniejszymi kolorami kamyków. Były antyczne togi z żółtej prostej tkaniny, wiedziałem, że to togi dzięki napisom na wieszakach, i skórzane pasy wybijane metalem, a także pasy plecione z kolorowej tkaniny i złotej nici. U góry, na półkach nad wieszakami i na specjalnych hakach leżały i wisiały dziesiątki peruk, a także beretów, czapek i kapeluszy najprzeróżniejszych kształtów, wykonane z nie znanych mi wspaniałych materiałów w wielu kolorach i ozdabiane piórami zbyt pięknymi, by mogły pochodzić od prawdziwych ptaków.

- Może pan mi pomóc? - usłyszałem nagle tuż za plecami znajomy głos.

Obejrzałem się za siebie. Wysoki, szczupły mężczyzna z siwymi włosami... Nie, to nie był Senior. Tego tutaj poznałem wcześniej i w innych okolicznościach. Pamięć przywróciło mi dopiero pytanie niemal samo cisnące się na usta, gdy patrzyłem na dystygowaną twarz faceta: Czy ma pan jeszcze kaca po pijaństwie, z powodu którego omal nie wygadał się pan wtedy w metrze?... "Ty mało pojona kranową" - tak jest, to był on. Wtedy jeszcze nie mogłem wiedzieć, co oznaczają jego słowa.

Mężczyzna włożył na siebie sięgającą do pół łydki szatę z błękitnej tkaniny, spod której wystawały żółte skórzane buty z cholewami. Ta szata, w myślach nazywałem ją suknią, nie miała rękawów. Ręce faceta okrywały do połowy ramion czerwone fałdy materiału spiętrzone bufiasto, a dalej okryte były aż do dłoni pomarańczową koszulą w brązowe paski. Mężczyzna wyciągał w moją stronę szeroki pas z materiału przepleczonego złotą nicią i wyhaftowanego w piękne wzory. To w owinięciu się tym kilkumetrowej długości pasem miałem mu pomóc.

Uporaliśmy się z pasem dość szybko, a potem dziękując mi spojrział na mnie nagle bardzo uważnie.

- Przepraszam, my się skądś znamy?

- Właściwie nie.. Byłem wtedy w metrze, kiedy pokłócił się pan z tą dziewczyną. Konwojował mnie... ten sam, który...

- Wiem - przerwał mi, a zażenowany uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Pamiętam... Więc jednak udało się panu wtedy, o ile dobrze zrozumiałem, sprawa nie było jeszcze przesądzona.

Przytaknąłem i uprzedzając jego pytanie powiedziałem, że właśnie dziś po raz pierw-

szy znalazłem się w SUBWAYU.

- No i co? - zapytał. - Wybrał pan już coś dla siebie?

- Jeszcze nie. Zjechałem tu przed dziesięcioma minutami i zupełnie nie wiem, co dalej. Widziałem te nazwy na świetlnej tablicy, ale nie wiem, od czego zacząć... i nie wiem, jak dostać się do tych obiektów.

- A dużo ma pan czasu?

- Wieczorem muszę być w AMF. Chciałbym poza tym załatwić jeszcze parę zakupów na mieście... Myślę, że nie więcej jak dwie, trzy godziny.

- Coś panu poradzę - powiedział mężczyzna po chwili namysłu - to w sumie jest bardzo proste. Do każdego z tych obiektów można dojechać z peronów, które mamy tam - pokazał przeciwny kraniec szatni. - Tam za tamtymi drzwiami. Ale nie warto, żeby dziś właśnie tracił pan czas na jazdę kolejką. Proszę posłuchać dobrej rady, przejść dołem pod stacją i wyjść na Równinę. Nie ma tam co prawda zbyt wielu obiektów, te, które są, to jeszcze nie za bytki pierwszej klasy, ale i tak nie ma porównania z MIASTEM, już to zrobi na panu wielkie wrażenie. To najstarszą część SUBWAYU, sześćdziesiąt lat temu nie było tutaj niczego więcej. Dopiero później zaczęto SUBWAY rozbudowywać i ściągać wyposażenie z całego świata. Zresztą rozbudowujemy go bez przerwy. No więc, jak mówię, wystarczy przejść pod torami i znajdzie się pan na Równinie. Jazda kolejką do najbliższego obiektu trwa co najmniej kwadrans, poza tym nie wszystkie one jeżdżą zgodnie z rozkładem. Myślę, że za pierwszym razem nie warto czekać tak długo.

- Czy powinienem ubrać się jakoś specjalnie? - zapytałem, bo raptem wydało mi się to bardzo ważną sprawą, po której mogłoby się w SUBWAYU odróżniać bywalców od debiutantów.

Roześmiał się szczerze.

- Ach nie, niech pan włoży cokolwiek. Naprawdę, nie ma to tutaj żadnego znaczenia.

W pierwszej chwili trudno było powstrzymać się od wrażenia, że cała kilkuminutowa jazda w dół okazała się fikcją i że oto teraz znalazłem się na powierzchni pod niebieskim niebem pokrytym małymi przeganianymi wiatrem obłoczkami. Było nawet słońce, raziło w oczy jak prawdziwe. Równina pokryta pięknymi Staroświeckimi budowlami rozciągała się het aż po horyzont, był tu również horyzont i łagodnie porośnięta trawą, poprzecinana ścieżkami Równina zdawała się nie mieć końca. Dopiero po dłuższej chwili spostrzegano się wtopione w pejzaż, rozrzucone z rzadka i ukryte między budowlami olbrzymie filary podtrzymujące ko-

pułę nieboskłonu. Nie było ich więcej niż piątka; pomalowane niebieskimi farbami, wtapiały się w tło niemal idealnie.

Kiedy oswoiłem się z doskonałością imitacji, kiedy przestało mnie zachwycać niebo nie będące niebem, chmury chmurami, słońce słońcem - rozejrzałem się nieco uważniej. Równina stanowiła tu określenie niezbyt precyzyjne, w głąb pejzażu bowiem grunt unosił się lekko, dzięki czemu horyzont wypadał bliżej, niż się zdawało na pierwszy rzut oka, a budynki zasłaniały siebie nawzajem w znacznie mniejszym stopniu, niżby to musiało mieć miejsce na równinie autentycznie praskiej. W głębi, bliżej horyzontu widać było także kilka Drzew, a nawet mały Lasek; z tej odległości jednak nie widziałem, czy jest to imitacja, czy drzewa są prawdziwe.

W pięknym pejzażu szczególnie zwracała na siebie uwagę wysoka strzelista budowla o dwu wieżach, najpewniej był to kościół, która zdawała się wprost frunąć nad ziemią i dotykać wieżami nieba. Od razu przypomniały mi się ruchy rak Graya i jego krótki, zdawkowy, teraz dopiero zrozumiałem, jak zdawkowy, opis wspaniałości gotyku. Nieco dalej w głąb, w prawo od wysokiej świątyni, widać było wychodzącą z Lasu znacznie niższą budowlę, w porównaniu ze świątynią wydawała się wręcz przysadzista; miała płaski trójkątny dach, który spoczywał na kilku wysmukłych kolumnach zwieńczonych u góry jakimiś rzeźbami w kształcie Roślin lub Kwiatów. To także było piękne. Resztę powierzchni Równiny zajmowały budowle nie tak już wyraziste: wieże obronne, zameczki, kościoły i małe pałace podobne nieco do tych, jakie widziałem w MIEŚCIE, ale ich dobór był znacznie lepiej przemyślany i wszystkie one z osobna i w całości sprawiały wrażenie ładniejszych, lepiej utrzymanych, bardziej barwnych.

Trudne jeszcze do udowodnienia podejrzenie podpowiadało mi, że w MIEŚCIE znalazło się to wszystko, co tutaj z przeróżnych powodów, jakich nie potrafiłbym precyzować, dawałoby wrażenie dysonansu, nietaktu, braku smaku. Cieszyłem się, że to spostrzegam, bo nie były to na pewno spostrzeżenia debiutanta, lecz raczej kogoś, kogo stać już na zapanowanie nad wzruszeniem, na chłodną kalkulację wobec tego Bogactwa i Przepychu; które jeszcze przed tygodniem sprowadziłyby na mnie wyłącznie ślepy zachwyt połączony z kompletną pustką w głowie. Teraz powoli przemierzając równinę, zdołałem pomyśleć i o tym, że poprzedni Szef pionu B nie kłamał, kiedy mówił, że nigdy nie był i nie starał się o wstęp do STAREGO MIASTA. Komuś, kto widział i mógł odwiedzać Równinę, MIASTO niej było potrzebne. A zostawały przecież w podziemiach dziesiątki opatrzonych tajemniczymi nazwami obiektów, do których najpewniej zaglądał, a które i ja zamierzałem odwiedzić w ciągu najbliższych tygodni.

Przystanąłem obok niezbyt wysokiego, ale zgrabnego kościółka pokrytego kremowym tynkiem. Po schodach głównego wejścia, nad którym warowały dwie kamienne figury naturalnej wielkości, schodzili ubrani w barwne stroje mężczyźni i kobiety. Pomyślałem nawet, by tam zajrzeć, gdy nagle z wnętrza wyłoniła się grupka czterech kobiet; zbiegły roześmiane, nieco z tyłu towarzyszyli im trzej mężczyźni. Jeden z nich, młody i przystojny, pociągał, nie kryjąc się, długimi łykami z płaskiej metalowej piersiówki. Minęli mnie szybkim krokiem i raptem kobiety zaczęły biec, zrzucając wśród pisków kolorowe suknie, a mężczyźni pospieszyli za nimi czyniąc to samo z kapeluszami, kurtkami, spodniami i całą pozostałą garderobą wyprodukowaną w minionych stuleciach... Dopiero teraz spostrzegłem widoczny za prawym skrzydłem kościoła wkopany w ziemię basen, w którym pławiło się już kilkanaście par.

Poszedłem w tę stronę, ale po kilkunastu krokach przystanąłem zrezygnowany. Kobiety i mężczyźni mieli na sobie specjalne kostiumy w poprzeczne niebieskie paski; nawet mężczyznom zasłaniały one piersi i brzuchy. Wbrew temu, co mówił napotkany w szatniach mężczyzna, była to zapewne moda SUBWAYU, której należało przestrzegać. Poza tym wszyscy zgromadzeni wokół basenu, licząc także tych nadbiegających, sprawiali wrażenie dobranej, znającej się dobrze kompanii. Pomyślałem, że czułbym się między nimi jak intruz, na którego wszyscy od razu zwróciliby uwagę, dlatego po krótkim namyśle cofnąłem się pod główne wejście do kościoła i powoli, nie spiesząc się, wszedłem po schodach do jego wnętrza.

Panował tu miły chłód i półmrok. Niezbyt daleko, na drugim krańcu, wśród złocień, rzeźb i malowideł głównego ołtarza iskrzył się trójkąt ze świec, pod którym siedziało dwu mężczyzn pochylonych nad czymś płaskim i niewidocznym, tak że z tej odległości sprawiali wrażenie wspierających się o siebie głowami. Szczęśliwym trafem oprócz nich były teraz w kościele dwie tylko starsze kobiety. Klęczały przed pierwszym z brzegu bocznym ołtarzem po prawej stronie. Widząc mnie poderwały się przestraszone i niemal wybiegły z kościoła w absolutnej ciszy zakłóconej tylko szelestem staroświeckich sukien.

Zrobiłem jeszcze parę kroków i rozejrzałem się wokół. Do kolumn biegnących po obu stronach kościoła także przymocowano kilka świec. Ich nikłe światło wydobywało z mroku błyski złocień i rysy twarzy dziesiątków półnagich figurek klębiących się na ścianach i zwłaszcza na skraju sufitu. Pięknie to wyglądało, ale do oświetlenia malowideł na suficie i obrazów, które wisiały przeważnie w mroku bocznych ołtarzy, zupełnie nie wystarczało, raczej powiększało ciemności.

Kiedy oczy przyzwyczyły się do półmroku, spróbowałem jednak przyjrzeć się tym obrazom. Były na nich sceny z kobietami i mężczyznami ubranymi w długie powłóczyste szaty i przechadzającymi się w pejzażu podobnym nieco do Równiny. Mniej było w tym pejzażu

budowli, dużo więcej zieleni, Drzew i Krzewów, znacznie bujniejszych i zupełnie niepodobnych do tych, jakie znałem z betonowych klombów. Wiedziałem, że to, co przedstawiano na tych obrazach w sposób zarazem piękny i nieudolny, że sceny z brodatym i półnagim Chrystusem przybitym do krzyża, że piękna kobieta trzymająca stopę na głowie węża, że wszystkie sceny z tych malowideł, które mijałem, są opowieścią o świecie, który odszedł dawno temu, dając początek dziwnej wierze, będącej także wiarą mojej matki. Tylko że dość wcześnie, jeszcze w dzieciństwie, uznałem, że nie ma to sensu. A doszedłem do takiego wniosku, kiedy wydało mi się, że matka umarła dlatego, iż nie potrafiła się rozstać z promieniotwórczym krzyżykiem ze ściany w swoim pokoju. Teraz wiedziałem, że to nieprawda. Moja matka nie dożyła wieku kobiet które przed chwilą poderwały się z klęczek z zupełnie innego powodu. Za późno było jednak, by tego dochodzić, za późno, by próbować przeniknąć i przyswoić sobie uniesienie jej wiary, dla mnie dawno umarłej. A jednak wobec piękna tych Staroświeckich płócien, niezbyt czytelnych i w porównaniu z doskonałością zdjęć w magazynach i Pornosach na swój sposób nieporadnych i nieprawdziwych; pod wpływem spojrzeń postaci przedstawionych na tych obrazach, zdających się wodzić za mną oczami -poczułem się oszukany i ograbiony z czegoś bardzo cennego. Zrozumiałem, że nie zdołam już nigdy tego odnaleźć ani odzyskać.

Idąc od obrazu do obrazu, nic wiedzieć kiedy i jak, znalazłem się raptem naprzeciw głównego ołtarza. Myślałem, przez chwilę, by powtórzyć tu gest starych kobiet i na sekundę przyklęknąć, ale ze względu na siedzących na stopniach ołtarza mężczyzn, dałem spokój. Przyjrzałem się im uważnie dopiero teraz. Było to dwóch starszych facetów pochłoniętych bez reszty białawym płaskim przedmiotem leżącym między nimi. Kiedy jeden z nich nagłym tryumfującym gestem opuścił rękę i wykonał nią szybki ruch, poznałem, że grają w szachy.

- Uwagaaa - zawołał radośnie mężczyzna. - Uważaj teraz, bo będzie z tobą źle - i powiódł oczami po kościele, jakby szukając w nim uznania u nieobecnej przecież publiczności.

Dopiero wtedy go poznałem. On poznał mnie także.

- Co ja widzę - zawołał i podniósł się rozwierając ramiona w zapraszającym geście. - Witaj, człowieku, witaj... Nareszcie w środku, strasznie musimy się czuć zwycięzcy, co?

Był to poprzedni Szef pionu B odziany w długą szatę sztywną i białą, podobną nieco do sukni, ozdobioną dużą ilością złoci i kolorowych haftów. Nie znałem jego partnera.

- To Gray? - zapytał siedzący mężczyzna, co najmniej tak stary jak ten, który mnie powitał. Ubrany był zresztą podobnie jak Szef pionu B; podniósł głowę znad szachownicy i

przyglądał mi się badawczo, wzrokiem, w którym było wiele podziwu. - Ten sam, o którym mi opowiadałeś?

- Nie, skąd. To ten drugi.

- Ne... ur?...

- Jestem Neut - powiedziałem. - Znam Graya, ale od bardzo niedawna. Czy pan...

Mężczyzna stracił dla mnie całe zainteresowanie. Wstał, podszedł do mieszczącej się w centrum ołtarza złotej ozdobnej skrzynki, nad którą tkwiła złota rzeźba owcy wraz z opartym o nią małym sztandarem. Mężczyzna otworzył tę skrzynkę tkwiącym w drzwiczkach srebrnym kluczykiem. Jej wnętrze oświetlone lampką, która zapalała się zapewne dopiero w momencie otwarcia, aż kapało od złota. Towarzysz zdymisjonowanego Szefa pionu B sięgnął tam, wyjmując butelkę i dwa złote kielichy. Wrócił z tym do nas.

- Na pewno ma pan ochotę na parę łyków dobrego wina - zwrócił się do mnie - bo ja już nie mogę. Ale może ty - powiedział do eks-Szefa - napij się z panem. Spróbuję przez ten czas znaleźć odpowiedź na twój ruch wieżą... - musi być jakaś odpowiedź.

Znajomy z AMF kiwnął głową i rozlał wino do kieliszków. Potem podał mi naczynie i uderzył w nie lekko swoim kieliszkiem,

- Jak pierwsze wrażenia z. SUBWAYU? - zapytał. - Wspaniale... Niewyobrażalne wprost piękności... nieprawdaż?

Stać było mnie tylko na wykrztuszenie krótkiej odpowiedzi twierdzącej. Wydawałoby się, że to raczej on powinien czuć się zawstydzony i zakłopotany. Nie wiem czemu, było przeciwnie.

- Przejdzie panu - mruknął i wypił wino jednym haustem. - Na dłuższą metę także to staje się nudne. Jedyna prawdziwa rozrywka to podniecanie tych tam na górze i zabawa w kotka i myszkę z takimi jak pan... Mówię oczywiście nieoficjalnie.

Śmiał się. Oczy mu błyszczały, a język zaczynał się plątać. Na pewno nie była to pierwsza jego porcja tego dnia. - Strasznie dużo wątpliwości, co? Nie wiemy, od czego zacząć, no proszę, niech pan pyta. Ten nowy pewnie nic nie chciał powiedzieć - machnął ręką. - Ale i tak lepszy niż ja. On wpuścił, ja nie.

- Myślałem, że skoro zdymisjonowano pana z mego powodu - zacząłem. - Wydawało mi się, że powinien pan być na mnie wściekły...

Położył mi rękę na ramieniu,

- Dajcie spokój, Neut. Żal mi jedynie Char, a wściekły jestem tylko na tego palanta, który ją teraz pieprzy zamiast mnie. Zresztą szybko się tutaj pocieszę. Bawiłem się w Szefowanie pionowi B dziesięć lat i także to zmęczyło mnie już śmiertelnie... Szczerze mówiąc, za-

brakło mi bezwzględności. Nie pan pierwszy, Neut, wymknął mi się i dostał do SUBWAYU, ale pan ostatni i dlatego pana zapamiętałem najlepiej. Właściwie jesteśmy podobni, pan Capricorn, ja Cancer... Wiem, co pan przeżywa, Neut, te napady melancholii i nieśmiałości, te zmiany nastroju, ta nieumiejętność przełamania samotności, właściwie współczułem panu...

- Nie rozumiem, a czym pan mówi - powiedziałem, przypominając sobie jednocześnie, że słowo Capricorn wypisano na mojej wejściówce.

Nalał wina ponownie i wyciągnął do mnie rękę.

- Niech pan pokaże migacz - powiedział. Podałem mu go. Ciągnął dalej. - Oczywiście Capricorn, widzi pan tutaj, to pański znak zodiaku. Dlatego ma pan charakter taki, a nie inny, Neut, dlatego pan nie rezygnuje i dlatego jest pan taki nieefektywny... Zaraz - dorzucił nagle - zostawiłem pana na F-3 z ewentualnością przejścia na F-1, rzecz jasna, a on przerzucił pana na G-1. Ciekawe... Co, tego też pan nie rozumie?

Znowu, jak wtedy, gdy jeszcze pełnił swoją funkcję, nie była to rozmowa, lecz właściwie monolog. Cóż miałem robić. Tak jest, kiwnąłem głową, nie rozumiem również tego.

- Dobrze pan trafił, akurat mamy planszę - wskazał ręką na szachownicę. - Hm, więc jeszcze nie powiedział panu... Jest pan dopiero na początku drogi, Neut na początku świetlanej drogi. Postawili jednak na pana, ha, ja bym się nie odważył - chciał znowu nalać mi wina. ale powstrzymałem jego rękę.

- Bardzo pana proszę, nie dowiem się niczego, jeśli będziemy rozmawiać zagadkami.

Otrząsnął się. Dolał sobie, szybko wypił i jego twarz przybrała nagle poważny wyraz. Pochylił się nad szachownicą, nad którą z drugiej strony uparcie dumał jego towarzysz.

- To proste, Neut, niech pan spojrzy, ta szachownica to, uproszczony model naszej społeczności. Nie ujawnia wszystkich możliwości, ale pomoże panu zrozumieć sytuację. Proszę, niech pan sobie wyobrazi wszystkie figury w pozycji wyjściowej. Biali to obywatele, którzy dostali się do SUBWAYU i wiedzą o wszystkim, no... prawie wszystkim. Figury to ci obdarzeni dodatkowymi funkcjami. Tamta strona, czarni, obywatele, którzy nie wejdą do SUBWAYU. Był pan jednym z nich, nazywamy to strefą C. Czarni - strefa C, biali - strefa B... proste?... Od strony damy kobiety, od strony króla mężczyźni... Do SUBWAYU wchodzi i automatycznie wiedzą o wszystkim tylko ci, którzy znajdują się na pozycjach białych pionków i figur, ale jeśli przejdą do strefy B, -znaczy przynajmniej, że... ich szanse rosną. Im bliżej pionków i figur, tym większa jest ta szansa. Przy końcu pan był u mnie na F-3... O tu...

- Wtedy, kiedy spotkaliśmy się w AMF po raz pierwszy, zmienialiście mi strefę. Z C na B?

- Tak jest, ale po namyśle - ciągnął bezwstydnie. - Dlatego to trwało tak długo. Tego

biologa przekonaliśmy dość szybko, a z panem... Gdybym wtedy lepiej pana nastraszył, gdybym zbyt wcześnie nie obiecał MIASTA, gdybym później nie wpakował was z Grayem do jednej maszyny... Ale na mosiędz w MIEŚCIE reagował pan jeszcze prawidłowo; uznałem, Neut, że można was trochę przetrzymać... zresztą nie ma o czym mówić.

- Wspomniał pan o jakichś funkcjach. Pana następcą także mówił, że oczekuje ode mnie rewanzu. Ten G-1 to... koń...

- Inaczej nazywamy go skoczkiem.

- Ale co to znaczy?

Spojrzał z przebiegłym uśmiechem.

- Naprawdę nie powiedział panu? I rzeczywiście nie domyśla się pan ani trochę?

- To ma jakiś związek z wypadkami!

Dolał wina mnie i sobie.

- A jednak domyśliliśmy się w końcu. Jasne, że tak. Ja uznałem, że jest pan niezdolny, zbyt krnąbrny i prowadziłem pana raczej na gońcu... Nowy styl, nowe zasady... jego sprawa.

Patrzył z ironią. Jego partner podniósł głowę znad szachownicy i także zawiesił na mnie wzrok, w którym czytałem nieskrywaną pogardę. Widać te funkcje specjalne to nie było zajęcie zapewniające człowiekowi szacunek. Nawet tu, w podziemiach.

- Co będzie z Grayem? - spytałem po namyśle.

- Gray to niebezpieczny idealista. Już dawno wpuściłbym go do MIASTA i do SUBWAYU, ale on zawiązał się, żeby rozmnażać Starocie przy pomocy swojej aparatury. Żeby choć robił to tu na dole, proszę bardzo... ale on uparł się, chciał być uszczęśliwicielem całej ludzkości. Wyobraża pan sobie, co by mogło oznaczać w naszej sytuacji takie... podkreślenie głodu na autentyki, na Starocie. Gdyby ta cała hołota zechciała tutaj wtargnąć... Rozdeptaliby zbiory i rozkradli w przeciągu tygodnia... Zresztą poznał pan Graya.

- On nawet nie wie o istnieniu SUBWAYU.

- Tym lepiej. O ile się orientuję, izolują go teraz. Gray nie ma szans, tkwi na E-8... Głęboka strefa C, czarny król.

- A Dec? Dlaczego popełnił samobójstwo?

- Pan mnie wyciąga na zwierzenia. Neut... dobrze, niech będzie, wcześniej czy później i tak dowiedziałyby się pan wszystkiego... Dec współpracował z nami, to on zablokował pana wtedy w mieszkaniu, to on, trochę bez przekonania co prawda, namawiał pana na BartwoMobil... W sumie jednak Dec wiedział niewiele, miał być naszym człowiekiem jedynie na waszym osiedlu i wcale nie planowałem go do SUBWAYU. Pewnie to błąd, on był u mnie na G-8, czarny goniec... I nagle napatoczył się pan z tą nieszczęsną chusteczką. Dec zaczął kombi-

nować i domyślać się powoli części szczegółów, zresztą już wcześniej prowadził śledztwo na własną rękę... Historia rozwinęłaby się zupełnie inaczej, gdyby to on, nie pan odebrał telefon od tego cholernego biologa; do dziś nie wiem, czemu Dec dał biologowi pana numer... W sumie to był trochę niezrównoważony facet, a my nie zdążyliśmy mu nawet powiedzieć o wodociągach. Nachlał się wódki, potem nocą, czekając na pana, wypij morze czarnej kawy i jak to się zmieszało... On, zdaje się, kochał się w pańskiej żonie, uznał, że wydał pana na śmierć, zaczęły się bezsensowne wyrzuty sumienia i wtedy zdecydował się skoczyć... Zamiast wykorzystać... to beznadziejne - wyglądało, że eks-Szef pionu B rozmawia sam ze sobą. - Teraz już od pewnego czasu wprowadzony jest w życie przepis, że nie można wyznaczać funkcyjnych ze strefy C, bo spełniając swoje drobne zadania mogą niechcący trafić na ślad SUBWAYU. Zresztą słusznie, ja zawsze miałem wątpliwości, kto coś wie, a kto nie, kto tylko udaje głupka, a i tak domyśla się wszystkiego...

- Nie pokazaliście śmierci Deca w telewizorze.

Skrzywił się z niesmakiem.

- Widzi pan, te autentyczne wypadki... Nigdy nie zdążylibyśmy do nich na czas. Poza tym brak im... wyrazu.

Dopiero teraz przypomniałem sobie prawdziwy cel niespodziewanej wizyty dozorca poprzedniego wieczoru.

- To o Decu wyczytał pan po prostu z jego listu do mnie... Inaczej nie mógł pan zdobyć tych informacji.

- Hej, zobacz - zwrócił się Szef pionu B do milczącego mężczyzny, który patrzył w zamysłeniu na szachownicy ważąc w dłoni czarną damę - damą nic nie wskórasz... patrz, on wie nawet o liście... Przecież ten nowy o tym panu nie powiedział? - z tym już zwrócił się do mnie.

- Nieważne - warknąłem ze złością. - Wiem o liście i koniec.

- Jasne, panie Neut jasne, skoro chce pan prowadzić własną grę - znowu nalał sobie wina i wypił duszkiem zawartość kolejnego kielicha. - No i koniec butelki - powiedział wycierając usta. - Pan jest niegrzeczny, ja mówię wszystko, co wiem, a pan się stawia... Zaraz, chwileczkę... jasne, dozorca powiedział o liście. Z niewtajemniczonych tylko on był po tym wypadku w mieszkaniu Deca. Zgadłem, oczywiście.

W milczeniu przyznałem mu rację.

- Jak to się niesie - zamruczał do siebie - jak to się wszystko rozchodzi. Czasem mam wrażenie, że całość, że wszystko tak kiedyś pieprznie... Przecież stale ktoś czegoś próbuje, stale jakieś... Albo taki... nadziewa się na chusteczkę... po prostu sami wpychają mu ją do

rąk... To się rozpada, Neut, dlatego pan jeszcze żyje. Trzydzieści lat temu załatwiliby pana w parę godzin... Jeszcze parę lat w ten sposób i będzie koniec. Ale mnie już wtedy szczęśliwie nie będzie. Jestem zwykłym, szarym... Po prostu stary człowiek, emeryt. Ta banda, która tu wtargnie, musi to zrozumieć. Co mi kto zrobi, oglądam Zabytki na stare lata.

Spytałem go, czy ma na myśli tych facetów, którzy podburzają tłum wykrzykując na placach staroświeckie opowieści o niesamowitych wydarzeniach i klęskach kojarzących się nieco z SUBWAYEM. Nie wiedział, o co mi chodzi, więc opisałem mu dokładnie zajścia obok Cebuli i Sałaty w czasie ostatniego SonLumiere.

- Ach, nieee - powiedział i machnął lekceważąco dłonią. - Oni są bez znaczenia. Ich nikt już nie słucha. To tylko zazdrość o dawne wpływy, o zarekwirowane katedry, kielichy, ornaty... - wyglądało, że ma dokładnie sprecyzowany pogląd na te sprawę.

Nagle ożywił się szachowy przeciwnik Szefa pionu B. Zaszleściła szata, gdy się poruszył, a on w dodatku uderzył się dłonią w czoło, aż plasnęło.

- Jasne, że królowką nie można - zawołał - królowkę zostawiam w spokoju, ale patrz, ruszam się tutaj gońcem, no... Kombinuj teraz.

Mój rozmówca spojrzał nieprzytomnie na szachownicę. Potrząsnął głową, jakby chciał szybko wytrzeźwieć, potem odchylił się, oglądając figury bardzo nieufnie.

- Nic nie zaszachrowałeś? - zapytał w końcu bełkotliwie.

- Niestety, nie. Teraz niewiele mi zrobisz. Sam musisz się pilnować, bo mat w drodze.

Chwila zadumy przedłużała się. Były Szef pionu B przetarł oczy, potem czoło, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Po minucie odwrócił się w bok i spojrzał na mnie, tak i jakby zobaczył mnie po raz pierwszy.

- No i co pan chce jeszcze wiedzieć? - zapytał od rzeczy.

Zaatakowany tak zniemacka zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć. Pomógł mi ten drugi mężczyzna. Odezwał się do Szefa pionu B, nie kryjąc rozbawienia.

-Pan Neut chciałby, żebyś wyjaśnił wszystko tak ogólnie, w całości...

- Czy to wszystko było potrzebne - spytałem trochę może głośniejszym głosem, bo echo poszło po kościele. - Czy musieliście ludzi oszukiwać z tą promieniotwórczością, podniecać ich prochami i sfingowanymi wypadkami?.. Czy MIASTO nie mogłoby być większe, a SUBWAY za odpowiednią opłatą dostępny dla wszystkich?...

Przecież nie szprycujemy ich codziennie, Neut - bełkotał eks-Szef pionu B - tylko... zależnie od potrzeb. Czasem ... wybrane dzielnice, tylko...

Wyraz ironii zniknął z twarzy tego drugiego mężczyzny.

- To jest gra życiowa, Neut - powiedział ostro. - Nie myśmy ją zaczęli.

- Ale dlaczego?

- Miejsca jest bardzo mało, Neut, nie starczyłoby dla - wszystkich. Lepiej było to ukryć. Wie pan, tu są sami ludzie wpływowi, ja jestem człowiekiem wpływowym, pan też jest teraz człowiekiem wpływowym - wyraz ironii i obrzydzenia wrócił na jego twarz - a ludzie wpływowi nie lubią tłoku i kochają wygody... Zresztą tym na górze też trzeba było coś dać. I nie zostawiliśmy ich przecież bez niczego. Wymyślano to po kolei: stymulatory w wodociągach, wypadki, SonLumiere, dostali MIASTO, bardzo okrojone co prawda, właściwie to same Fasady, ale potem na pewno przyjdzie kolej na coś jeszcze... Niektórzy bawią się we Współczesną Sztukę; panu podobno to nie smakowało, ale są ludzie, których to szczerze podnieca... Poza tym jest życie, zwyczajne życie, Neut mają teraz Wiosnę...

Szef pionu B ocknął się, podniósł rękę, dając znak, że na powrót pragnie włączyć się do rozmowy.

- Wcale nie jesteśmy szczęśliwi, Neut - zajęczał - wcale a wcale... Jesteśmy... więźniami SUBWAYU... Najlepsi z nas, Neut, najlepsi z nas bawią się w strażników, szpiclów i policjantów. Słuchajcie, Neut - esteci, subtelni znawcy sztuki, miłośnicy architektury, starodruków, rzeźby... muzyki... donoszą, żeby... Neut... fanatycy zakochani w dramacie, w SZEKSPIRZE... ilu ja ich poznałem... Gnieciemy się tutaj na kupie, Neut, pan nie ma pojęcia...

- Więc po co to wszystko?

Znowu włączył się ten drugi.

- Panie Neut, to automat. Coś się zaczyna i potem działa już samo. Powiem panu przykładowo jak powstał pomysł fingowania wypadków: pan miał wtedy kilkanaście lat i pamięta pan pewnie, jak lalki dla onanistów zrobiły się raptem niemodne i jak wszyscy rzucali je z okien. Któremuś z naszych podsunęło to pomysł, odczekał porę lat i uruchomił sprawę. Sugestię, że Starocie są rakotwórcze, też pewnie podsunął przypadek; łatwiej było rekwirować zażytki i wzbogacać nimi MIASTO i SUBWAY... Proszę spróbować to zatrzymać, przecież pan sam, Neut, no... zobaczymy, czy pan się odważy...

Ten facet miał rację, niestety.

- Dziś rano - zabełkotał znowu eks-Szef pionu B próbując z pijackim uporem wycisnąć coś do kielicha z pustej butelki - dziś rano wstałem i spojrzałem na swoje mieszkanie... Przecież my tam na górze wszyscy żyjemy podobnie... Surowe przepisy... wobec funkcyjnych, bo całej reszty nie da się sprawdzić.. Żadnych Staroci w domu tylko różne... dupobarwile i tu w SUBWAYU... oaza. Szedłem ulicami, Neut, macie tam Wiosnę, słońce, pąki na drzewach. ... A my katujemy się sztucznym oświetleniem. Słuchaj - zwrócił się do drugiego rozmówcy - przecież to... scenografia... Ciebie to nie męczy? Szedłem dziś rano, szedłem i my-

ślałem sobie: żeby to ich ze wszystkim schować pod ziemię, a my z SUBWAYEM na wierzchu... tak jest Neut, dopiero wtedy... życie byłoby znośniejsze.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się i powiedział gorzko.

- Wracają stare pomysły. Bo na razie nie wszystko się zgadza. Są Morlokwie, Eloje, tyle że zamienieni miejscami.. Wehikuł czasu au rebours.

- Co to takiego... morlokoje? - spytał nieprzytomnie dymisjonowany SzeF pionu B.

- Co to znaczy o r e b u r ? - zapytałem ja.

Poruszałem się jak we śnie. Obok przechodzili ludzie niczego nieświadomi z nieznośnym wyrazem szczęścia na twarzy. Nie wiedzieli, nie domyślali się nawet, że ktoś ich spisał na straty, zarejestrował społeczną pozycję na szachowych polach, że ktoś strzeże ich kroków, podsłuchuje rozmowy, podsuwa spreparowane wzruszenia przewidując możliwe reakcje... Nie mogli o tym wiedzieć, inaczej nie uśmiechaliby się przecież tak promiennie.

Miasto prezentowało się obrzydliwie. Po SUBWAYU trudno było patrzeć na nie bez wstrętu. Było to wrażenie jeszcze bardziej przygnębiające niż po wyjściu z MIASTA. Ulice nie miały żadnego wdzięku, ocieniały je rzędy wysokich i niemal jednakowych. niebieskich i szarych pudełek. Ścian tych pudełek nie zdobiła żadna rzeźba, żadne malowidło; ich wierzchołków nie wieńczyły wieże ani kopułki, ich wnętrza najpewniej nie mogłyby mnie niczym zaskoczyć. Znosiłem to wszystko od dzieciństwa i teraz nagle spostrzegłem, jakie to wstrętne. Mężczyźni i kobiety przechadzający się ulicami ubrani byli z nieznośną po SUBWAYU tandetną elegancją, sprowadzającą się w najlepszym razie do jaskrawych kolorów tkanin, przezroczystych łątek, włosów zrobionych na Afro-Albino i przeraźliwie wysokich obcasów.

Niemożność podzielenia się z kimkolwiek z nich przeżyciami ostatnich godzin była aż do bólu nieznośna. Mieli swoje małe szczęście, swoje czekanie na SonLumierowy pierwszy poniedziałek miesiąca, mieli egzaltację wypadków i różne inne podniety codzienności. To wszystko wzmocnione proszkiem dozowanym przez specjalistów w Dyspozytorni Centralnych Wodociągów.

Przypomniałem sobie o Grayu. Już wcześniej, wznosząc się na powierzchnię w metalowej klatce, myślałem o nim. Mieszkał gdzieś we wschodnich dzielnicach, z trudem odtwarzałem w pamięci jego adres zapisany na kartce wrzuconej przed paroma dniami do klozetu na terenie Odkrywki. Zakupy mogły poczekać. Kay nie wróci wcześniej niż za dwa, może trzy dni. Do Graya jechało się metrem. Zawsze i wszędzie jeździło się metrem, ale tym razem żaden drybel nie deptał mi po piętach. Byłem swój, poznałem wartość nagrody i cenę odstęstwa; można było mieć do mnie zaufanie.

Nie mieli takiego zaufania do Graya. Nie mogli mieć. Dwóch facetów obstawiało jego mieszkanie. Kiedy stanąłem pod drzwiami, grzecznie wzięli mnie od tyłu pod łapki, zatkali usta i odstawili na półpiętro. Tam pokazałem im wejściówkę do SUBWAYU i wiedziony nagłym natchnieniem oświadczyłem, że mam z Grayem do pomówienia na polecenie n o w e g o Szefa pionu B. To ich przekonało.

- Kolego, nie będziemy cię sprawdzać - powiedział niższy, szczupły brunecik ze szramą na policzku i świdrującymi piwnymi oczkami, najwyraźniej dowódca, wiesz, co robisz, ale uważaj na siebie, to chyba jakiś fanatyk.

Potem, kiedy naciskałem dzwonek, krzyknął jeszcze z głębi korytarza, żebym się pilnował, bo alkohol, wyczul ode mnie alkohol, osłabia refleks, a facetowi mogą przyjść do głowy jakieś szaleńcze pomysły.

Gray otworzył drzwi patrząc poza mnie nieobecnyimi oczami. Od razu wiedziałem, że jest niedobrze. Zaprosił mnie do środka jednym niemrawym gestem obu dłoni. Okno balkonu było uchylone, widziałem, że stoi tam mały kuchenny taboret. Gray miał przewieszony przez szyję pasek od małej lornetki, takiej, jakie sprzedają w sklepach z zabawkami. Powiedziałem mu, że dobrze robi obserwując ulice, dużo ciekawych rzeczy można w ten sposób wypatrzeć. Myślałem, że może podchwyci temat i że zaczniemy rozmowę o fingowaniu wypadków, słowem, o rzeczy, której on domyślił się pierwszy, ale wyprowadził mnie z błędu. Głosem nieobecnym i chropawym wyjaśnił, że nie, że patrzy na świat przez o d w r o t n ą stronę lornetki. Im dalej obiekt, tym lepiej; a najbardziej lubi patrzeć w ten sposób wieczorem na gwiazdy.

Rozejrzałem się po jego mieszkaniu. Panował tu niesamowity bałagan. Wszystkie szafy były pootwierane, pościel wałała się na podłodze, na ścianach widać było wyraźnie jaśniejsze prostokąty, najprawdopodobniej ślady po obrazach. W tynku tkwiły jeszcze gołe gwoździe.

- Byli tutaj - mówił Gray za moimi plecami takim samym tonem, jak wtedy, gdy wyjaśniał, w jaki sposób używa lornetki. - Wypatroszyli całe mieszkanie, zabrali wszystko, kiedy byłem w Odkrywce. Nie ma książek, albumów z reprodukcjami, nie ma obrazów i grafik - nagle głos mu się załamał i zabrzmiało w nim tłumione łkanie. - Wyrzucili mnie z pracy i odcięli od komputera... zniszczyli wszystkie programy. To koniec.

Ostrożnie, żeby nie wyglądało to na zdradę tajemnicy, lecz jedynie na drobny sondaż, wyraziłem przypuszczenie, że gotyckie katedry, o których mówił kiedyś w takim uniesieniu, musieli gdzieś ukryć, niemożliwe, żeby wszystkie Starocie się rozpadły, niemożliwe, żeby wszystkie zmieściły się w MIEŚCIE. Ja myślę, że najlepsi z nich. najbardziej ustosunkowani musieli załatwić dla siebie jakąś tajną enklawę... Najprawdopodobniej pod ziemią... Popatrzył

na mnie z nagłą przenikliwością, której po nim już nie oczekiwałem, i oświadczył, że zadawał kiedyś podobne pytanie swojej maszynie i prawie zawsze, kiedy pytał o przyszłość sztuki, wychodziły mu malowidła jaskiniowe. To by znaczyło...

- Tak, przerwałem mu - tak, wystarczy, żebyś zgodził się milczeć, mogliby może i ciebie tam wpuścić - mówiłem, ale musiałem urwać pod jego przenikliwym spojrzeniem pełnym pogardy. Patrzył i patrzył, w mieszkaniu zrobiło się absolutnie cicho.

- Słuchaj, jestem tylko zwyczajnym słabym człowiekiem - powiedziałem po chwili, lecz on odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę balkonu. Nawet nie drgnął na swym taboreciku, kiedy wychodziłem.

Musiałem dziwnie wyglądać, bo jeden z tych dwóch pod drzwiami zapytał, czy nic mi nie jest. Zaszкодziło mi wino po prostu, powiedziałem, ale to nie było prawdą. Byłem raczej niedopity.

Nie bardzo wiem, kiedy i jak dotarłem do swojego osiedla. Słońce akurat zachodziło. Widoczne z mego balkonu okna wyższych pięter sąsiedniego budynku świeciły odbitą czerwienią, tak jakby czerwona kula znajdowała się z drugiej strony i prześwietlała cały ten blok na wylot. Wziąłem sobie na balkon małe krzeselko, powoli popijałem wódeczkę przyglądając się oknom z przeciwka. Wprost płonęły. Nawet te okna, wszystko było tu fałszem. Nad moją głową i pode mną głosami zniekształconymi przez elektroniczne tuby matki wołały z okien na kolacje małych rowerzystów. Wódka była ciepła i miała parszywy smak. Wiedziałem, że na drugi dzień rozboli mnie głowa i pomyślałem, że nie zasługuję na nic lepszego. Był Dec i był Gray, obaj lepsi ode mnie. Nawet Dec, który do momentu śmierci pełnił funkcję zwykłego, szarego tajniaka. Teraz to będzie mój rewir. Na dole przy budce z Pornosami dwóch facetów także pociągało na zmianę z jednej butelki. Popijało pewnie wielu facetów w różnych mieszkaniach na różnych piętrach.

Wyszedłem na chwilę do toalety, alkohol robił swoje. Kiedy wróciłem na balkon, ci dwaj spod budki znaleźli sobie trzeciego kompana, ale użytkowali go w sposób przedziwny. Leżał między nimi, oni pochylali się nad nim wykrzykując coś przy tym. i kopali go po żebrach, a jeden walił gościa w dodatku butelką po głowie. Ciało odskakiwało bezwładnie. Ta scena migiała wielkie, coraz większe rzesze podnieconych obserwatorów, którzy kibicowali facetom z okolicznych okien i balkonów.

- To pic na wodę, to manekin - powiedziałem do siebie i ruszyłem na klatkę schodową nie zamykając mieszkania.

Wsiadałem powoli, zatoczyłem się przy wejściu, a drzwi od windy uderzyły mnie w piętę. Faceci przy budce zdawali się nie zwracać na mnie uwagi, kiedy wypadłem z klatki i

potykając się bieglem w ich stronę, krzyżąc, by spieprzali na swoje osiedle. Dopuścili mnie na małą odległość. Byłem od nich jakieś dziesięć kroków i dopiero wtedy ten z butelką wyprostował się nagle i rzucił... Nie zdążyłem się uchylić. Głuchy łomot rozległ się we wnętrzu czaszki, uderzenie było tak silne, że na chwilę przysiadłem, ale piekący ból poczułem dopiero wtedy, kiedy ciepła słona strużka minęła nos i zatrzymała się w ustach.

Faceci byli już daleko. Znikali wśród bloków za zakrętem jednej z alejek, ciągnąc między sobą tego trzeciego. Gość nie wrywał się. Przeciwnie. Niezdarnie powłóczył nogami starając się w miarę możliwości pomóc im w transporcie. To akurat nie był chyba manekin, a bójka wyglądała na prawdziwą.

ROSZADA

“Gdy Gregor Samsa obudził się pewnego rana z niespokojnych snów, stwierdził, że zmienił się w łóżku w potwornego robaka”

Franz Kafka “Przemiana”

“Jak pies!” - powiedział do siebie: było tak, jak gdyby wstyd miał go przeżyć.”

Franz Kafka “Proces”

Pamiętam to tak dobrze, jakby zdarzyło się dosłownie przed chwilą, choć od powrotu Kay minęły już dwa tygodnie.

Przyjechała równo z listem. Wyjmowałem akurat kopertę ze skrzynki, kiedy zjawiała się na klatce schodowej. Wysoka, zgrabna dziewczyna z dwiema torbami w rękach, nie poznałem jej w pierwszej chwili. Dobre ciało, ale ubrana trochę po prostacku, pomyślałem tak, sując Kay katem oka, ciekawe, do kogo przyjeżdża taka dziewczyna, czyżby pierwsza rosza na moim terenie... i dopiero wtedy ją poznałem. Kay upuściła torby i zarzuciła mi ręce na szyję, a ja przytuliłem ją zapominając na chwilę o wszystkim.

Siedzieliśmy potem na kanapie, dotykałem jej kolan i dłoni, gładziłem ją po złościście opalanej twarzy i patrzyłem w jej oczy starając się odgadnąć, czy ona także ma coś do ukrycia. Na początku nie musiała wiele mówić, otworzyliśmy list i czytaliśmy go wspólnie, a Kay uzupełniała relację drobnymi uwagami. Tym razem list był nietknięty. Kay wysłała go w dniu mojej trzeciej wizyty w AMF, kiedy ręka zbrojona w czarny flamaster nie miała już dostępu do naszej korespondencji.

Okazało się, że ten Cock to śmieszny siedemdziesięcioletni staruszek, który w czasie pobytu w oazie WODY-DRZEW-PTASZKÓW spróbował przed śmiercią nie tylko przypomnieć sobie dawny kształt Natury, ale i odtworzyć w swym ciele minione porywy. Kay oganiała się jak mogła przed jego bezzębną czułością. W ogóle w tym drugim liście znacznie mniej było Entuzjazmu niż w pierwszym. Kay napisała i powtórzyła to potem z powagą, kiedy siedzieliśmy objęci, że po pierwszym olśnieniu pobyt wśród WODY-DRZEW-PTASZKÓW staje się nudą trudną do wysłowienia. Przemysłnie pozbawiono ich tam udogodnień technicznych, dwudziestoosobowa grupka stłoczona w jakimś małym domku, nazywano go Dworkiem, musiała obywać się bez ciepłej wody, bez telewizji, radia, magnetofonów, wide-

okaset, telefonów. Ograniczono im także ilość listów, jakie mogli wysyłać do domu w ciągu całego turnusu. Nieznośne było, pisała Kay i powtarzała to samo w dniu powrotu z głową na moich kolonach, że nie mogłam połączyć się z tobą, kiedy chcę, że kiedy chcę, nie mogę zobaczyć twej twarzy.

Najpierw wokół Dworku panowała cisza przerywana tylko szumem kilkudziesięciu Drzew i śpiewami Ptaków. Ta cisza zrazu smakowita, po paru dniach tak dzwoniła im w uszach, że chwilami mieli wrażenie, że oszaleją. Chcieli stłumić to piciem, ale oprócz trzech posiłków dziennie i tego do picia, co przywieźli ze sobą, nie mogło w ogóle być mowy o żadnych dodatkowych daniach ani alkoholach. Wszystko to wyglądało na perfidny sposób obrzydzenia im WODY-DRZEW-PTASZKÓW. Chcieli coś obejrzeć, a nawet przeczytać, ale nie było nic do czytania. Z początku wychodzili na spacerunki między stare i grube drzewa pochyłone nad małym stawem, obsługa Dworku nazywała to Parkiem: Park kończył się jednak po kilkudziesięciu krokach, a dalej za ogrodzeniem rozciągała się niezmierzona, płaska jak stół strefa ziemi uprawnej nie zabudowanej aż po horyzont. “Zaczynałam tęsknić już do miejskiego gwaru i do wieżowców,” mówiła Kay, “ale nigdzie nie było ich widać.” Dlatego kiedy w drugim tygodniu ich pobytu wyruszyły skądś na pola hałaśliwe traktory, powitali ten fakt jako interesujące urozmaicenie, które uchroni ich przed czającym się w ciszy obłędem. Później, oczywiście, okazało się, że hałas silników jest co najmniej równie nieznośny jak cisza.

W nocy, kiedy już leżeliśmy, kiedy po powitalnych szaleństwach Kay uspokoiła się na chwilę w moich ramionach, musiałem zaraz potem wytrzymać kobiecy test złożony z pytań o to, jak sobie radziłem i czy rzeczywiście cały czas, w każdej sekundzie byłem sam, czy nie urozmaicałem sobie czekania towarzystwem jakiejś innej kobiety? “No wiesz, Kay”, powiedziałem z wyrzutem, a ona niezwykle szybko uznała to za wystarczającą odpowiedź i nie poruszała już tematu, co wydało mi się niepokojące, bo przecież powinienem i właściwie miałem ochotę zadać jej pytanie podobne. Tymczasem Kay zauważyła zniechęcenie, że podobne filtry, jak ten, który kupiłem do kuchni, zainstalowano u nich w Dworku. “Wiesz, to dziwne, powiedziała, ale byliśmy tam cały czas właściwie, może poza Cockiem, jacyś senni, nieożywieni, pewnie to Wiosna...” Ścierpłem od tego, Kay wróciła niespodziewanie, dzień albo dwa wcześniej, niż myślałem; nie miałem na razie żadnych szczegółowych instrukcji. Co prawda dla facetów z AFM było oczywiste, że stan rozbicia rodzin na tych z dostępem do SUBWAYU i bez jest na dłuższą metę nie do utrzymania, i że w takich rodzinach informacji, do czego naprawdę służą filtry, także ukryć się nie da. Lecz był to jeszcze ten moment, w którym nie podano mi ceny dostępu do podziemi. Stary Szef pionu B rzucił parę niezobowiązujących przypuszczeń podczas przypadkowego spotkania w SUBWAYU, ale ten nowy nie spieszył

się z informacjami. Poznałem już z grubsza kilka wspaniałych obiektów, których nazwy miały się na świetlnej tablicy podziemnego dworca; nie znalazłem jeszcze szczegółowych planów tych z AMF w stosunku do mojej osoby. Tak więc mieli w ręku mnie i Kay, bo przecież i Kay chciałem tam wprowadzić.

Dlatego bardzo ostrożnie, by niczego nie popsuć, zacząłem opowiadać Kay o przygodach, jakie miałem w czasie jej nieobecności. Mówiłem, błagając cały czas o dyskrecję i z wielką uwagą oddzielając rzeczy, o których mogłem i miałem ochotę opowiadać, od tych, które nadawały się wyłącznie do ukrycia. Wśród tych ostatnich najtajniejsza była historia z dziewczyną z MIASTA.

- Och! - zawołała Kay, kiedy skończyłem opowieść. Och, Netu - powtórzyła dotykając pieszczotliwie stłuczenia na moim czole - widzę, że się bawiłeś lepiej niż ja.

Dziesięć dni temu zmieniłem pracę. Jest to wstęp do tak zwanej Roszady, pięćdziesięcioprocentowej zaledwie, ale i tak ci z AMF przygotowali wszystko wzorowo i zapięli akcję na ostatni guzik.

Pamiętam jak dziś, że kiedy po raz pierwszy wchodziłem do sześćdziesięciopiętrowego gmachu biurowca w zachodniej dzielnicy, drżały mi ręce, drapało w gardle, łzawiły oczy, pociła się głowa pod peruką, a kolana uginały się, tak jakby były z gumy i mimo wysiłków nie mogłem nad nimi zapanować. Rozumiem jeszcze - oczy. Przesłonięte maskującymi kontaktowymi źrenicami o pięknym błękitnym kolorze mogły piec; bądź co bądź plastikowe wkładki to obce ciało, do którego powieki i źrenice miały prawo przyzwyczać się nie od razu. Ale cała reszta była zwyczajnym strachem. Obawą, że potknę się na jakimś nie dopracowanym szczególe, że nie podołam i samowolnie przerwę Roszadę w połowie. Ze za karę stracę albo oddalę się na długie miesiące od tego wszystkiego, co już zdążyłem uzyskać.

Ten strach, w każdym razie jeśli idzie o udział w roszadzie facetów z AMF, był absolutnie bezpodstawny. Rozpracowali wszystko znakomicie i dali mi instrukcje tak precyzyjne, że lepsze trudno sobie wyobrazić. Mój poprzednik w tym miejscu, zdaje się, że była to kobieta, był mistrzem w swoim fachu. Właściwie od początku, gdy tylko skończyły się sensacje spowodowane tremą, poruszam się w nowej instytucji jak wyposażony w latarkę w ciemnym pokoju. Jak jasnowidz wśród ślepców, którzy znaleźli się w pomieszczeniu umeblowanym na nie znaną sobie modłę. Od tych dziesięciu dni, gdy tylko ochłonałem, coraz trudniej pohamować mi żal, im bliżej końca, że to wszystko potrwa tak krótko.

Kierownik biura wie oczywiście o wszystkim, ale zavalony pracą nie chciał mi poświęcić ani chwili czasu. Poznałem go w SUBWAYU w zespole Majhatal - tęgi facet w staro-

świeckim kostiumie kąpielowym w granatowe paski obrzucił mnie badawczym spojrzeniem i dalej moczył nogi w czarnym marmurowym basenie, w którym pływały poprzebierane za złote rybki aktorki specjalizujące się dla tych na górze w niewybrednych Pornosach.

- Ma pan nagrania, zdjęcia, materiały... proszę się z tym zapoznać - zasapał. - Nie będę panu przeszkadzał, nie będę pomagał. Niech pan robi swoje.

Przemądrzały grubas! Ale miał rację.

Zgadzało się wszystko. I nastroszony, bardzo młodzieńczy i dynamiczny kierownik mojego 45 piętra, który lubi podszczypywać wszystkie swoje dziewczyny i w wyniku tego procederu zdradzający więcej cech kobiecych niż męskich. I sekretarka kierownika piętra - egzaltowana czterdziestolatka o gołębim sercu i śladach nie tak dawnej, ale w niewytłumaczalny sposób naiwnej i niewinnej urody. Tej jestem pewien - po moim odejściu ona będzie lamentować i wspominać znacznie dłużej niż cała reszta... Najpełniejsze dane to te o piątce moich bezpośrednich współpracowników: Blondyn przy oknie, bez kompleksów, jego zainteresowania to rozgrywki ligowe, moda damska, stare numery Pornosów... lubi, kiedy po posiłku poczęstować go słodyczami. Poza tym jest pierwszym Odpowiedzialnym naszego pokoju... Jego sąsiadka twarzą w twarz, rozlazła brunetka, dwukrotna rozwódka, przepada filozofować na temat małżeństwa, a poza tym ma na blondyna oko. Najlepszy sposób zdobycia jej zaufania i sympatii to zabawić się w swata albo zwrócić na nią uwagę blondyna delikatnymi zalotami... Para po drugiej stronie - małomówni i bardzo drobni mężczyzna i kobieta, śpią ze sobą od lat, wszyscy o tym wiedzą, ale oni nieodmiennie zachowują tajemnicę. Dobrze jest przychylnie wyrażać się o jednym z nich, kiedy to drugie wyjdzie na chwilę z pokoju... Moja sąsiadka z przeciwka - kobieta koło trzydziestki ze złośliwymi wąskimi wargami, w grubych szklach, neurotyczka po dwukrotnej psychiatrycznej kuracji. W głębi ducha jest nie wyżyta despotką. Wszyscy chodzą wokół niej na paluszkach, a ona prosząc o duchowe wsparcie domaga się nieustannych pochwał za robotę, którą wykonuje najszybciej ze wszystkich, ale jednocześnie bardzo niedbale. Stale trzeba coś po niej poprawiać. Do dziś bez faceta. Zazdrości, komu się da, i uważa, że nie dostaje od życia tego, co powinna. Sądzi na przykład, że to jej należy się funkcja pierwszej Odpowiedzialnej. Właściwie nie ma na babę sposobu - nie lubi mądrych, bo ona jest najmądrzejsza. Nie lubi głupich, bo nimi gardzi. Słabych unika i tępi, wietrzy w nich bowiem rywali, którzy mogliby odebrać jej choćby część współczucia, jakim nieopatrznie obdarza ją pozostała czwórka i w ogóle cała załoga wszystkich innych pokoi czterdziestego piątego piętra z Kierownikiem włącznie.

Mam także cząstkowe dane na temat ludzi w pozostałych pokojach, na temat załogi magazynu materiałów papierniczych i warsztatu napraw maszyn biurowych w suterrenach.

Wiem, co trzeba, o najbardziej wyrazistych postaciach z pozostałych pięter, Nie za dużo i nie za mało, akurat tyle, ile można wbić do głowy przez trzy długie wieczory i ile było mi niezbędne, bym od początku mógł się tutaj pewnie poruszać. Zresztą nie tylko poruszać, lecz jeszcze w ciągu dziesięciu dni dać się poznać i polubić jakiejś pięćdziesiątce, a może i setce osób wymownych, znudzonych, zdolnych do współczucia, o zarazem poszukujących urozmaicenia szarej codzienności.

Udało się oczywiście. Nie mogło się nie udać. Mam znakomity życiorysowy scenariusz opracowany przez najlepszych fachowców: Żona odeszła ode mnie z dzieckiem do innego, bogatszego i przystojniejszego mężczyzny. Gość w dodatku pobił mnie, stąd stłuczenie na czole: Kocham mają małą córeczkę do szaleństwa, ale staram się jednocześnie pozować na twardego faceta i dlatego sprawiam czasem wrażenie człowieka beztróskiego i wesołego. Próbuję sobie na nowo ułożyć życie, lecz jasna, przychodzi mi to z trudem... Cześć tego scenariusza sprzedaję w krótkich urywanych wyznaniach w trakcie wspólnych posiłków, ale największą rolę w jego upowszechnianiu gra niczego nieświadoma egzaltowana sekretarka, która oplakuje teraz mój los nad obszernym biurkiem, w którym trzyma życiorys wraz z teczką pozostałych dokumentów podrobionych przez tych z AMF. Życiorys ten dotychczas nie wprowadzony do komputerowej pamięci Centrali biurowca nie zdąży się już w niej znaleźć.

Od paru dni neurotyczna z przeciwka próbuje brać mnie w krzyżowy ogień pytań. Niedwuznacznie z nich wynika, że to ja jestem wszystkiemu winien, bo przecież żona nie odeszłaby ode mnie bez powodu. Bronię się słabo, pozwalając, by przemówili w moim imieniu przekupiony słodyczami blondyn spod okna i zakochana w nim sąsiadka. Neurotyczna okularnica atakuje coraz zacieklej aż jej się pocą szkła. Przypadająca na nią porcja zbiorowego współczucia i aprobaty kurczy się niepokojąco. Ostatnio, przed dwoma albo trzema dniami, kiedy odbierałem dla naszego pokoju zestaw materiałów piśmiennych, siwowłosa magazynierka z suterren wręczyła mi niespodziewanie nie przysługującą tak krótko pracującym paczuszkę flamastrów w sześciu kolorach. "Niech pan da córeczce, powiedziała, proszę jej koniecznie to dać, kiedy tylko uda się panu ją zobaczyć." I raptem podniosła drżące dłonie do wilgotnych oczu.

Przerywam pracę. Odkładam długopis. Gaszę ekranik i wycieram chustką mokre czoło. Mówię blondynowi, że chciałbym na chwile wyjść do toalety, a on kiwa głową przyzwalająco. Uśmiecham się gorzko do wścieklej okularnicy z przeciwka pozostawiając ją z kolejnym podchwytliwym pytaniem na ustach, na które już nie doczeka się odpowiedzi. Dzisiaj jeszcze mamy spotkać się u mnie w domu, w zachodniej dzielnicy. Koleżeńska popijawa. Zgodzili się przyjechać od razu po pracy razem ze mną - blondyn i brunetka, milcząca para nierozłączek i

nawet kłótniwa neurotyczka. Dziewczyna spodziewa się pewnie znaleźć w moim mieszkaniu jakieś szczegóły, drobiazgi po innych kobietach lub jakiegokolwiek inne dowody potwierdzające tezę, że jestem niegodnym współczucia facetem, który zasłużył na swój los. Choć podejrzewam coś jeszcze innego. Ostatnie ataki neurotyczki wyglądają na test sprawdzający, czy nie nadaję się czasem na Seksualnego partnera.

Zresztą wszystko jedno. I tak nic z tego nie będzie. Dziś jest dziesiąty dzień mojej pracy w tym biurze. Dziesiąty i ostatni. Nigdy nie dojdzie do popijawy, o której już myślą i do której zaczynają wewnętrznie się przygotowywać. Naprawdę przecież po starym mieszkamy z Kay w dzielnicy północnej i chwilowo nigdzie nie zamierzamy się przeprowadzać - dlatego Roszada jest tylko pięćdziesięcioprocentowa. Nie będzie wizyty, na którą już wszyscy czekają.

Bardzo dokładnie, trzykrotnie obracając klucz, zamykam od wewnątrz drzwi toalety. Sprawdzam kilkakrotnie, jak mocno trzyma zamek, a potem po wielokroć upewniam się, czy rzeczywiście obecność klucza w drzwiach wystarczy, by nikt z korytarza nie mógł tu zajrzeć i podpatrzeć, co robię.

Na początek idą te wszystkie mniej ważne czynności, o których w pośpiechu mógłbym później zapomnieć, a co w razie odkrycia spowodowałoby nawet załamanie się Roszady: po pierwsze z ulgą wyjmuję z oczu niebieskie kontaktowe szkła i spuszczam je z wodą jednego z pięciu klozetów, po drugie przyklejam do policzków krótką czarniawą bródkę. Po trzecie ściągam perukę odsłaniając moje naturalne włosy i zaczesuję je na czoło tak, by zasłaniały siniak. Następnie pryskam na skórę twarzy, szyi i rąk opalaczem w sprayu... Wszystko to w sumie zmieniają twarz nie do poznania.

Ktoś szarpie za klamkę. Mimo wielokrotnych sprawdzianów serce w panice wjeżdża mi do gardła. Chwile, podczas których mężczyzna za drzwiami nie rezygnuje, wali pięściami, coś woła - zdają się trwać długie godziny. I raptem hałas słabnie. Słyszę męski głos oznajmujący komuś drugiemu, że widocznie toaleta jest w remoncie. Kroki cichną, głosy oddalają się. Znowu jestem sam i ocieram zimny pot z czoła.

Mam jeszcze kilka minut, ale lepiej się spieszyć. Ze schowka za drzwiami naprzeciwko kabin wydobywam lalkę zrobioną z ciepłego plastiku. Lalka jest bardzo duża, ma rozmiary, kształty i rysy twarzy dorosłego mężczyzny. Dokładnie takiego mężczyzny, jakim byłem wchodząc do toalety. Ma niebieskie oczy, moje włosy sprzed minuty, moją poprzednią karnację i nawet odrobioną jak żywy siniak na czole, choć to akurat nie wydaje mi się potrzebne. Ubrano lalkę w taką samą koszulę, jaką mam na sobie, w identyczne spodnie, skar-

petki oraz buty. Dotykam lalkę już trzeci raz, ale wrażenie pozostaje równie niesamowite jak za pierwszym razem. Czuję się tak, jakbym spotkał sparaliżowanego brata-bliźniaka, potknął się o trumnę ze swoimi własnymi zwłokami albo znieca uderzył nosem w lustro. Wbijam lalkę w swoją marynarkę, plastikowe ramiona poddają się niechętnie jak ramiona pijaka, a sam zakładam czekającą na mnie w schowku niebieska kurtkę i czapkę montera.

Za oknem pod błękitnym niebem upstrzonym białymi chmurkami rozciąga się równomierna, nie mająca końca zabudowa. STAREGO MIASTA stad nie widać, powinno być gdzieś na wprost, dostrzegam natomiast wieżowce Cebuli i Sałaty, które wraz z grupą innych budynków zasłaniają MIASTO. Z tej wysokości, z szarą panoramą miasta przed oczami, trzeba się specjalnie wysilać, by myśleć o SUBWAYU inaczej niż jak o jakimś pięknym i nierealnym śnie. W lewo za mgiełką kryje się w oddali moje osiedle, po drugiej stronie w prawo wystrzela nad niższą nieco okoliczną zabudowę ciemny blok AMF. Szeroko otwieram okno, lalkę opieram o parapet. Na podłodze przy oknie rozrzucam parę połyskliwych kolorowych zdjęć ładnej trzyletniej dziewczynki. Chciałbym mieć taką córkę. Kiedy przyjdzie pora, kilkanaście podobnych zdjęć, powoli kołując, sfrunie ku ziemi na głowy podnieconego tłumu.

Na Roszadę w wariantcie G-1 zdecydowałem się ostatecznie przed pięcioma dniami. Zostawili mi trochę czasu do namysłu, mimo że lalka była już w przygotowaniu, a całą akcję od samego początku, gdy tylko przyszedłem do tej instytucji, mieliśmy rozpracowaną w detalach. “Niech pan się zastanowi, mówił Szef pionu B, pan się zjawi i nagle zniknie: może wystarczy na początek wariant trzydziestoprocentowy. Lalkę możemy przecież wykorzystać następnym razem, a oni tam i tak będą mieli o czym mówić i w tydzień po pańskim odejściu, nawet jeśli odbędzie się ono na razie w łagodniejszej wersji...” Widziałem w jego oczach błyski lekceważenia i zastanawiałem się, co też mogłoby je zmniejszyć, moja zgoda czy odmowa, a on dalej bardzo chłodno tłumaczył mi, że niektórzy chojracy załamują się w ostatniej chwili, pękają przy oknie na minutę przed akcją, trzeba wtedy zatrzymać całą kosztowną przecież i już rozpedzoną maszynę. Tymczasem ci nieodpowiedzialni faceci przychodzą później do niego, histeryzują, proszą, by zwolnić ich z obowiązku przyjętego przecież dobrowolnie: mówią, że robiąc to, mieliby wrażenie, że w pewnym sensie oni sami rzeczywiście umierają. Wycofują się więc, ale tylko pozornie, nigdy nie posuwają nią aż tak daleko, by zaproponować, że choćby tylko czasowo zrezygnują z SUBWAYU. “Nie można później im ufać, to chyba oczywiste, mówił Szef pionu B, szukamy dla nich jakichś drugorzędnych prac pomocniczych, ale wolimy patrzeć im na ręce, a wstęp do SUBWAYU ograniczamy do tygodniowych kart wstępu wręczanych zresztą nieregularnie. Najchętniej nie wpuścilibyśmy ich ani do

SUBWAYU, ani do MIASTA, ani nigdzie, a dyskrecję zapewnili sobie jakimiś innymi metodami. Częściowo nam się to zresztą udaje...” Wiedziałem, że kłamie, że mnie straszy, obsługa całej wielopiętrowej tajemnicy była sprawą zbyt skomplikowaną, by mógł mu być potrzebny jeden tylko typ zdecydowanych na wszystko facetów. Dla historyków także pewnie mógłby znaleźć miejsce, gdyby tylko zechciał. Ale mimo to, pewnie trochę dlatego, żeby mnie w końcu uznał i docenił, żeby przestał patrzeć na mnie, jak na kogoś gorszego, kto przedarł się do stołu niezasłużenie i przypadkiem, powiedziałem mu, że się decyduję i nie zawiodę. Że chcę to mieć jak najszybciej za sobą.

Kay także pomogła mi w decyzji. Pamiętam, w niecałe dwadzieścia godzin po jej przyjeździe, kiedy nie wszystko było jeszcze postanowione, kiedy nocą radziłem się jej i pytałem, co robić - rano, na drugi dzień w podziemiach. AMF brali już ze mnie odlew. Pedał -formierz najpierw długo i cierpliwie smarował mnie olejem czy gliceryną, jego palce były podejrzanie ruchliwe i bezczelne, powtarzał, że tak trzeba, a następnie już we dwóch z pomocnikiem oblepiali mnie ciepłą masą, odmianą gips-plastiku, która krzepnąc, zdawała się, mimo tej gliceryny, obdzierać mnie ze skóry. Stałem potem pod prysznicem, długo wydłubując z włosów, wrywając z brwi i rzęs oraz wymywając z kącików oczu maleńkie okruchy gipsu, a kiedy w końcu wyszedłem spod natrysku, okazało się, że pierwsza wersja odlewu jest gotowa. Formierz z pomocnikiem czekali nieco z boku nie dziwiąc się wcale memu zaskoczeniu, widzieli setki takich sytuacji i znali je na pamięć. Tymczasem ja z zainteresowaniem, choć także z obrzydzeniem oglądałem szarą figurę przypominającą nieco antyczne posągi z MIASTA i SUBWAYU, ale przede wszystkim podobną do mnie i to tym perfidnym podobieństwem eksponującym to jedynie, co było we mnie niezdecydowaniem, słabością, instynktem posłuszeństwa i coraz wyraźniejszą skłonnością do tycia. Wieczorem, stojąc w łazience przed lustrem, opowiedziałem o tym Kay. Patrzyła pustymi oczami, kiedy mówiłem jej o wątpliwościach i upokorzeniach, kiedy pytałem ją po raz któryś z rzędu, czy mam prawo, czy powinienem zrobić to, czego ode mnie oczekują, czy SUBWAY dla niej, dla mnie i dla naszego dziecka, jeśli takie będzie, czy wspaniałości podziemi są dostatecznym usprawiedliwieniem i wystarczającą ceną... “Och, Neut, przecież nie mamy innego wyjścia, przerwała mi, musisz to zrobić.” I w krótkiej chwili, kiedy mówiła, poczułem z przerażającą siłą, że jej nienawidzę, ale była to tylko chwila i to przecież nie ja, lecz Kay miała rację.

Zostało już bardzo mało czasu. Sprawdzam na ciele lalki rozmieszczenie zbiorniczków z czerwoną farbą - pod pachami, w nogawkach i pod koszulą na brzuchu. Przygotowuję do włączenia ukryty pod marynarką magnetofon, z którego do momentu roztrząsania lalki o

bruk rozlegać się będzie krzyk spadającego człowieka. Nie jestem sam. W uliczkach, których nie widzę dokładnie z tej wysokości, czekają już wozy transmisyjne; ukryci w nich kamerzyści po raz ostatni pewnie regulują kamery. Na krańcach miasta w bazie sanitarnej dudnią silniki dwu co najmniej helikopterów, których piloci tylko czekają na sygnał, by wzbić się do góry. Telewizyjni spikerzy chrząkają przed kamerami w studio i poprawiają fryzury, a paru facetów na dole, bezpośrednio w pionowej linii pode mną i lalką, poczyniło ostatnie przygotowania do zabezpieczenia miejsca upadku.

Podnoszę lalkę jeszcze wyżej na parapet, teraz przytrzymuję ją w pasie i oglądam się za siebie sprawdzając drogę odwrotu. Klucz w drzwiach wejściowych - w porządku. Zdjęcia na posadzce i parapecie! Peruka zamknięta w walizeczce montera. Klucz w uchylonych drzwiach od schowka - tu zniknę w chwilę po rozpoczęciu Roszady, błyskawicznie zamknę drzwi od wewnątrz, odsunę w schowku kolejne drzwi i specjalną awaryjną studzienką przejdę na piętro 44, by tam wynurzyć się z toalety jako nikomu nie znany monter o nie rzucającej się w oczy powierzchowności.

Jeszcze czterdzieści sekund. Jeden ruch ręka i lalka leci w dół twarzą ku ziemi, by wzbudzić tam odwieczny taniec grozy, żądzę krwi, podniecenia, ciekawości, współczucia i wszystkich innych czarnych i białych emocji. Jeszcze trzydzieści sekund. To samo odbędzie się tutaj w gmachu biurowca, tylko rozciągnięte w czasie i rozpisane na niekończące się dyskusje neurotyczki z brunetką zakochaną w pierwszym Odpowiedzialnym naszego pokoju, na ciche rozważania siwej magazynierki z suteryn i nieskrywane łkania sekretarki Szefa 45 piętra. Na wielodniowe ożywienie całej reszty. Dwadzieścia sekund. Coś podobnego odbędzie się przed telewizorami, przed którymi dzisiaj wieczorem zasiądą jak zwykle miliony. Jeden ruch. Potem, dopóki nie opuszczę gmachu, trzeba się będzie pilnować, żeby nie wykonać niepotrzebnego gestu na korytarzach i w windzie, żeby nie wyrwać się z jakimś niewczesnym ukłonem ani uśmiechem. Dziesięć sekund. Dziewięć. Na litość Boską, gdyby istniało inne, uczciwsze wyjście z tej sytuacji, wymyśliłbym je przecież!

Siedem.

Warszawa - Bródno, Kwiecień 1977 - maj 1979